

Hans Schäufler

PANTERY NAD WISŁĄ

Żołnierze ostatniej godziny



WROBEL
MMX.
VI.

Hans Shäufler

PANTERY NAD WISŁĄ

Żołnierze ostatniej godziny

GKW



Gdańsk 2010

Tytuł oryginału
1945 — PANZER AN DER WEICHSEL
SOLDATEN DER LETZEN STUNDE

Copyright © by Paul Pietsch Verlage Gmbh & Co

Copyright © for Polish language edition
by Maszoperia Literacka, Gdańsk 2010

Tłumaczenie
Wawrzyniec Sawicki

Redakcja, indeks nazw geograficznych i korekta
Izabela Jankowska

Ilustracja na okładce
Jarosław Wróbel

Projekt graficzny
Michał Szwaгуliński

Wydanie I. Gdańsk 2010
ISBN 978-83-62129-85-0

Wydawnictwo Maszoperia Literacka Sp z o.o.
ul. Kopernika 2/1
80-208 Gdańsk
www.maszoperia.org

Dystrybucja
L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza
80-298 Gdańsk, ul. Budowlanych 64 F
tel. (058) 520 35 58, fax (058) 344 13 38
e-mail: wydawnictwo@ll.com.pl
www.ll.com.pl

Druk i oprawa
ARSPOL Sp. z o.o.
ul. Chopina 14
Bydgoszcz

OD WYDAWCY POLSKIEGO

Zdecydowaliśmy się udostępnić polskiemu czytelnikowi wspomnienia Hansa Schäuflera 1945 — *Panzer an der Weichsel. Soldaten der letzten Stunde* (wyd. niemieckie 2003).

Autor, podporucznik łączności w 35. Pułku 4. Dywizji Pancерnej, napisał wspomnienia kilkadziesiąt lat po zakończeniu wojny. Czas, co rozumiało, wywarł wpływ na relację. Zasługą Schäuflera jest wykorzystanie dostępnych mu źródeł archiwalnych, a zwłaszcza wspomnień żyjących jeszcze, choć z każdym rokiem coraz mniej licznych, żołnierzy 35. Pułku Pancерnego.

Wartość historyczna przedstawionych wydarzeń jest, mimo upływu czasu, znaczna. Działania wojenne na Wybrzeżu Gdańskim doczekały się już wielu opracowań naukowych o różnej wartości poznawczej. Obok autorów wykorzystujących dokumenty wszystkich walczących stron, znajdują się, zwłaszcza w grupie opracowań popularnych, publikacje oparte na wąskiej, często jednostronnej podstawie faktograficznej.

Do pełnego poznania przebiegu walk i ich wyniku niezbędna jest w miarę pełna znajomość uwarunkowań i założeń operacyjno-taktycznych każdej ze stron. A tę wiedzę można zdobyć nie tylko i nie wyłącznie z suchych dokumentów przechowywanych w archiwach. Bardzo ważne, a w wielu wypadkach wręcz niezbędne, jest jej wzbogacenie relacjami bezpośrednich uczestników bitew. Obraz jest wówczas barwniejszy i bardziej dynamiczny. Wspomnienia Schäuflera czynią w znacznym stopniu zadość tym wymogom.

Cenne są zamieszczone w książce szkice sytuacyjne i mapki oraz zdjęcia i charakterystyki dowódców. Zasługą autora jest też szczegółowe przedstawienie starć rozgrywających się w różnych, bardzo małych miejscowościach Pomorza Gdańskiego, o jakich inne opracowania nie wspominają.

Nieźle ukazane zostały fortele niemieckich czołgistów, zwłaszcza „Panter w starciach z sowieckimi czołgami. Dość wyczerpująco opisał obronę Mierzei Wiślanej i wybrzeża Bałtyku od Gdańska do Gdyni i Helu, zwłaszcza walki o Gdańsk, o każdą dzielnicę — z atakującymi oddziałami 2. Frontu Białoruskiego.

Głównym celem walk o utrzymanie portów było umożliwienie ewakuacji drogą morską tysięcy uchodźców z Prus i Pomorza. Dlatego czołgiści, mimo małej ich liczby, z uporem bronili każdego metra ziemi na zapleczu portów.

Autor stara się też, chociaż niejednokrotnie przesadnie, ukazać bohaterstwo i humanitaryzm Wehrmachtu. Ot, zwykła rzecz, zgodna z wymogami wojny, gdy gąsienice ich czołgów rozjeżdżają rosyjskich żołnierzy, gdy ogień niemieckiego czołgu wyprzedza atak czołgów sowieckich i palą się żywcem załogi.

Potępia natomiast wezwania Ilji Erenburga — rosyjskiego Żyda, wzywającego radzieckich żołnierzy do zabijania Niemców. Pomija jednak fakt, że radziecki pisarz napisał te słowa wtedy, gdy zobaczył piece krematoryjne Majdanka i Trebłinki, gdzie palono setki tysięcy Żydów z całej Europy.

Pisze o zbrodni lotników angielskich, którzy zbombardowali w Neustädter Bucht statki niemieckie, na których znajdowali się między innymi ewakuowani więźniowie obozu koncentracyjnego ze Stutthofu. Zdaje się nie dostrzegać, że obok niewielkiej grupy więźniów ewakuowanych pod Lubekę, ponad dwadzieścia tysięcy więźniów tego obozu zmarło z głodu i wyziębienia w tak zwanym „marszu śmieci“. A więc różne miary; co wolno Niemcom, tego nie wolno aliancom. Takich przykładów można znaleźć na kartach tych wspomnień więcej. Oto przymusowi robotnicy polscy uciekają wraz z niemieckimi bauerami przed rosyjską armią. Może to sugerować, że ewakuowali się dobrowolnie.

Wszystko to nie pomniejsza jednak sporej wartości poznawczej tej książki. Czytelnik dowie się nie tylko o przebiegu walk, ale i o sprawności niemieckiej administracji w zapewnieniu żywności i transportu dziesiątkom tysięcy uchodźców i walczących żołnierzy. Budzi podziw opis pokonania wzburzonego Bałtyku na niewielkiej łodzi motorowej — aż do niemieckiego wybrzeża.

Autor pokazuje też, że obok bohaterstwa i żołnierskiej solidarności była zwykła podłość i egoizm. Jest to swego rodzaju obraz zmieniającej się mentalności ludności niemieckiej i żołnierzy w końcowym okresie wojny.

Tom zamykają wspomnienia dwóch żołnierzy 4. Dywizji Pancerniej — z internowania w Szwecji i niewoli w Rosji Sowieckiej.

Pantery nad Wisłą, dzięki bardzo osobistym akcentom, niezależnie od wielu fragmentów mogących budzić sprzeciw polskiego czytelnika, są interesującym uzupełnieniem książki Egberta Kiesera *Zatoka Gdańska*, przedstawiającej wydarzenia rozgrywające się nad Bałtykiem przy ujściu Wisły, w ostatnich miesiącach wojny, z punktu widzenia uciekającej ludności cywilnej.

PRZEDMOWA

Ta książka nie jest powieścią, żadną wymyśloną historią, lecz chłodnym sprawozdaniem bez upiększeń, ale i bez pełnych nienawiści tonów.

Każde nazwisko, nazwa każdej miejscowości i miejsca, każdy szczegół jest prawdziwy, wszystkie wydarzenia zgodne z prawdą i przedstawione tak, jak je osobiście widziałem w roku 1945.

Dużo już powiedziano i napisano o ucieczce dwóch milionów ludzi ze Wschodnich i Zachodnich Prus, ale mało kto wspomniał tych, którzy kładąc na szali własne życie i wolność, dokonali największego w historii dzieła ratowania uciekinierów drogą morską:

żołnierzy ostatniej godziny.

Książkę tę napisałem dla uczczenia ich pamięci.

Hans Schäufler

ZAMIAST WPROWADZENIA

Żołnierze ostatniej godziny walczyli w rejonie Gdańska, by uratować powierzoną im armię bezbronných: opuszczonych kobiet, dzieci i ranných; walczyli, mimo iż wiedzieli, że ta wojna była od dawna przegrana.

To na nich koncentrowała się niewyobrażalna nawała ognia Armii Czerwonej. Za poniesione przez tych ludzi ofiary nie dawano orderów ani awansów; wiedzieli natomiast, że niemal na pewno czeka ich śmierć albo sowiecka niewola.

Nikt chętnie nie umiera, a już z pewnością nie wtedy, gdy koniec wojny jest tak bliski. A jednak ci mężczyźni ryzykowali życie, aby chronić bezbronných uciekinierów; czynili to z przyzwyczajenia, miłości bliźniego i z obowiązku wobec ciężko doświadczonej ojczyzny.

Już sam marsz do niewoli tych, którzy przeżyli, był chlubnym przykładem — to szli ludzie niezłomni wewnątrznie, ze śpiewem na ustach, zachowując postawę żołnierzy, z poświęceniem i uczciwie walczących aż do pełnego gorzkości końca.

Za taką postawą kryje się wiara, że męska walka i doświadczane cierpienia, podczas ratowania bezbronných, nie oznaczają zagłady narodu, ale są początkiem drogi do przezwyciężenia ciężkiego losu.

Przyjdzie czas, że pojawi się pokolenie młodzieży, które przypomni sobie o tych czynach i pojmie znaczenie obowiązku, jakim kierowali się tamci ludzie. Niechaj ta książka się do tego przyczyni.

Napisał ją jeden z frontowych żołnierzy, walczących na tej wojnie od początku do końca. Żołnierz, któremu już podczas pierwszej zimy kampanii rosyjskiej, wręczyłem Żelazny Krzyż I Klasy, za samodzielne i odważne działanie na froncie.

Heinrich Eberbach, generał rezerwy broni pancernej

Od 1.9.1938 do 1.7.1941 dowódca 35. Pułku Pancernego,
od 2.7.1941 do 5.1.1942 dowódca 5. Brygady Pancerniej,
od 6.1.1942 do 20.11.1942 dowódca 4. Dywizji Pancerniej.

1 Z KURLANDII DO GDAŃSKA

Działo się to 9 stycznia 1945 roku na Łotwie. Z wolna przemijał impet wielkiej zimowej ofensywy sowieckiej, którą później nazwano trzecią bitwą kurlandzką. Byłem wtedy podporucznikiem i oficerem łączności w 35. Pułku Pancernym. Ku naszemu powszechnemu zdumieniu otrzymaliśmy z dowództwa armii rozkaz, aby wycofać naszą 4. Dywizję Pancerną z frontu pod Dzukste i przerzucić ją w rejon Saldusa, w celu odświeżenia i uzupełnienia sił — o czym nadmieniono dodatkowo w rozkazie z korpusu.

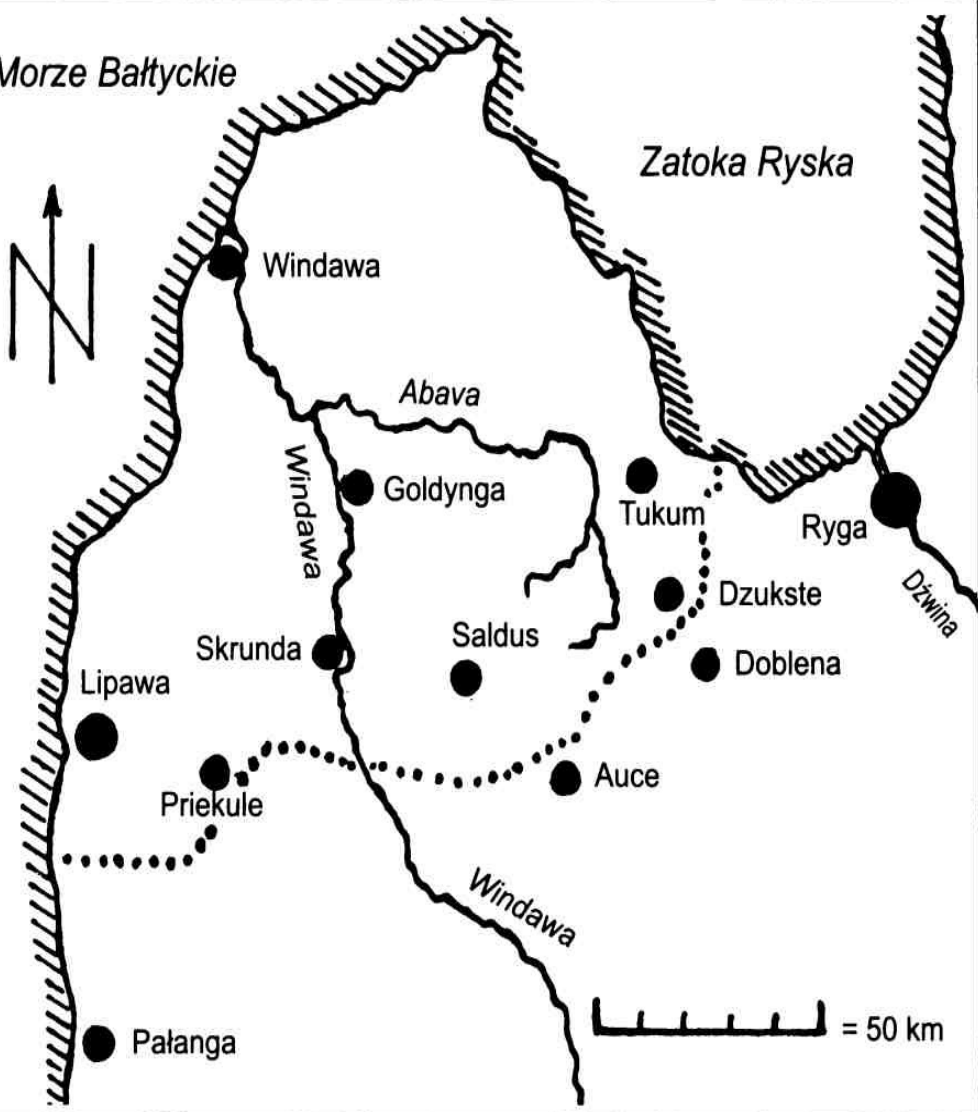
Do pokonania relatywnie krótkiego odcinka drogi wybrano dość ryzykowny transport kolejowy. Ta decyzja potwierdzała, że nasze zaopatrzenie w paliwo było krytyczne. W celu przygotowania transportu musiano stworzyć specjalny pierścień obrony przeciwlotniczej na znajdującej się w pobliżu linii frontu stacji przeładunkowej Biksti, jako że sowiecka przewaga w powietrzu była wprost druzgocąca. Mimo to cały załadunek przebiegł szybko i bez żadnych incydentów. Pierwszy transport dotarł do Saldusa już wczesnym ranem 10 stycznia. Kiedy 16 stycznia zakończona została operacja przerzucenia dywizji, dowództwo wydało rozkaz jak najszybszego osiągnięcia stanu gotowości marszowej.

17 stycznia nadszedł krótki rozkaz z Heeresgruppe Nord^[1]: „4. Dywizja Pancerna natychmiast ładuje się na stacji Saldus do pociągów idących do Lipawy. Stamtąd kontynuacja przerzutu drogą morską. 4. Dywizja Pancerna zostaje wyłączona ze składu Heeresgruppe Nord, pozostawiając na miejscu całą broń ciężką i pojazdy bojowe“.

Kurlandia

Morze Bałtyckie

Zatoka Ryska



..... LINIA PRZEBIEGU FRONTU 1 STYCZNIA 1945

Co prawda, wszystkim nam ulżyło, że możemy opuścić pozycje w Kurlandii,

ale ten pośpiech nas zaskoczył. Na cel naszego marszu wyznaczono leżące w Prusach Zachodnich miasto Grudziądz. Z informacji Wehrmachtu można się było dowiedzieć, że 12 stycznia Armia Czerwona rozpoczęła nad Wisłą i Narwią oczekiwaną wielką ofensywę przeciwko Rzeszy Niemieckiej. Jak się ostrożnie wyrażano, sytuacja zrobiła się niezbyt „sympatyczna”.

Ruszając z nader mieszanymi uczuciami w drogę, na nową scenę teatru wojny, mimowolnie przypomiinałem sobie wydarzenia wojenne w Kurlandii.

10 sierpnia 1944 roku wycofano nas z środkowego odcinka frontu na wschód od Warszawy i w szybkim tempie przewieziono transportami kolejowymi na Łotwę. Naszym zadaniem było odzyskanie przerwanej uprzednio połączenia lądowego na południe od Rygi w celu uwolnienia Heersgruppe Nord odciętej od reszty wojsk.

W czasie ataków doszło więc pod Auce i Dobele do ciężkich walk, które w końcu — 6 września — przyniosły oczekiwane połączenie na wschód od Tukums z odciętą do tej pory Herrsgruppe Nord i jej wycofanie się na obszar Łotwy.

Potem jednak, 8 października, 1. Bałtycki Front Armii Czerwonej dotarł w pobliżu Kłajpedy do Morza Bałtyckiego i po raz drugi przerwał połączenie lądowe między naszymi oddziałami. Powstał wtedy „przyczółek kurlandzki”, do którego można było dotrzeć, a tym samym i zaopatrywać go, jedynie drogą morską.

Na obszar Litwy weszły trzy armie sowieckie, aby od południa zniszczyć zamknięte w Kurlandii niemieckie jednostki. Celem sowieckiej ofensywy była Lipawa, węzeł komunikacyjny położony na wybrzeżu Morza Bałtyckiego, posiadający niezamarzający w zimie port, będący główną bazą dostaw zaopatrzenia dla niemieckich oddziałów w Kurlandii.

Już 16 października w sztabie Heeresgruppe Nord gotowe były, opracowane w najdrobniejszych szczegółach, plany operacyjne przebicia się niemieckich sił na tereny Prus Wschodnich. Tego dnia rozpoczęto również przygotowania do ich realizacji. 24 października pierwsze niemieckie jednostki ruszyły na południe, przebijając się przez rosyjskie umocnienia mocno naszpikowane bronią przeciwpancerną. Rozpoczętą z dużym sukcesem operację niemiecką musiano jednak wkrótce przerwać, gdyż rano 27 października zaczęła się pierwsza wielka bitwa obronna w Kurlandii.

Sowieckie armie rozpoczęły nawałę ognia z 2000 dział, których pociski przez wiele godzin spadały na tworzące 200-kilometrową linię frontu niemieckie stanowiska między Tukums i Lipawą. Tak rozpoczęło się wielkie umieranie w Kurlandii.

Przez cztery tygodnie ziemia łotewska drżała pod uderzeniami potężnej bitwy; dym i płomień ogarnęły tę twierdzę nad Bałtykiem. Jednakże wskutek dzielnej obrony niemieckich oddziałów plany Sowietów zakończyły się dla nich fiaskiem i olbrzymimi stratami.

3 listopada Oberkommando der Wehrmacht^[2] mogło poinformować, że „W rejonie na wschód od Lipawy, dzięki bezprzykładnej postawie naszych oddziałów, które zniszczyły 62 czołgi nieprzyjaciela, powstrzymana została

sowiecka próba przełamania linii naszej obrony... W sumie przeciwnik stracił w październiku 1144 czołgi na terenie Kurlandii”.

Na chwilę Sowietci stracili impet. Nad porozrywaną granatami i bombami ziemią, która w deszczu powoli zamieniała się w morze błota, zapanowała cisza. Obie walczące strony poniosły ciężkie straty. Nasze oddziały były wyczerpane walką niemal do granic wytrzymałości.

A jednak 25 listopada sowieckie dywizje zaatakowały ponownie, rzucając w bój niewyobrażalne ilości materiału wojkowego, tym razem na niemieckie stanowiska obronne w rejonie między Priekule a rzeką Ventą. Walki obronne trwały aż do 7 grudnia. Ale również i na tym odcinku nie udało się Sowietom przełamać obrony niemieckiej. Do historii wojskowości bój ten wszedł pod nazwą drugiej bitwy kurlandzkiej.

W połowie grudnia ziemia w Kurlandii stężała w okowach mrozu. W ciągu jednej nocy błoto i szlam, które spowodowały zakończenie drugiej bitwy kurlandzkiej, zamarzyły na kamień. Teraz już nie tylko drogi, ale także łąki i pola stały się przejezdne dla czołgów. Do tego doszło jeszcze czyste, bezchmurne niebo. Sowietkie szturmowce i bombowce niemal bez przerwy obrzucały bombami i ostrzeliwały z broni pokładowej połowe umocnienia, drogi zaopatrzenia, stanowiska artylerii i kwatery niemieckich oddziałów. Przede wszystkim jednak celem ich ataków były oba porty, przez które docierało zaopatrzenie do Kurlandii, czyli Lipawa i Ventspils.

21 grudnia sowiecka artyleria pokryła huraganowym ogniem odcinek frontu o długości 35 kilometrów; przez trzy godziny, po obu stronach miejscowości Saldus, eksplodowało 170 000 granatów różnego kalibru. Z niemieckich stanowisk obronnych bez przerwy wznosiły się fontanny wytryskującej w niebo ziemi i chmury gęstego dymu. Można by sądzić, że zginęło tam wszelkie życie, gdy o godzinie 9.00 w kierunku naszych linii ruszyła, składająca się z 20 dywizji strzelców, pierwsza fala uderzeniowa Armii Czerwonej.

Generał von Saucken w historii 4. Dywizji Pancерnej napisał, że „tylko ten, kto brał udział w tej próbie wytrzymałości, może wyobrazić sobie niewiarygodną skalę żołnierskich dokonań, jakie miały tam miejsce”.

Tym razem celem sowieckiej ofensywy było rozdzielenie sił Heeresgruppe Nord. Chcieli dokonać przełamania, atakując po obu stronach drogi łączącej Saldus z Lipawą.

4 stycznia skończyła się trzecia bitwa kurlandzka, podczas której także Armia Czerwona nie osiągnęła zamierzonego sukcesu. Jednakże niemieckie jednostki musiały zapłacić za to wielką daninę krwi, i to broniąc zaledwie kilku kilometrów kwadratowych obcej ziemi, podczas gdy zachodni alianci zdobywali w tym czasie w Niemczech, w ich ojczyźnie, jedno miasto za drugim. Niemieckich żołnierzy stopniowo ogarniało coraz silniejsze przygnębienie.

I dlatego większość z nas niemal z ulgą, a w każdym razie z opadającym napięciem, przyjęła chwilę, gdy w Lipawie wchodziliśmy na pokład transportowców, by „wrócić do ojczyzny” i tam wziąć udział w ostatniej bitwie

na niemieckiej ziemi.

Już 19 stycznia na transportowiec „Preussen” zaokrętowano pierwsze jednostki naszej 4. Dywizji Pancernej, a między nimi załogi wozów bojowych 35. Pułku Pancernego. Dowódca naszego pułku, pułkownik Christern, wraz z małym sztabem i radiostacją, popłynął przodem na pokładzie szybkiego okrętu Kriegsmarine, aby zorientować się w sytuacji na poligonie w miejscowości Grupa koło Grudziądza i sprawdzić, jaką i ile broni ciężkiej oraz czołgów przygotowano tam dla nas. Utrzymywaliśmy z nimi stałą łączność radiową, także i w czasie rejsu transportowcem.

Już na początku okrętowania odkryły nas sowieckie samoloty rozpoznawcze i w związku z tym mieliśmy złe przeczucia. Na szczęście niebo zesałało nam nisko wiszące chmury, tak że artyleria przeciwlotnicza nie miała dużo pracy, strzelając tylko od czasu do czasu. Jedynie w trakcie odbijania od brzegu, w sporej odległości od naszego statku, spadło do wody kilka bomb.

Niebawem otoczyły nas okręty eskortowe Kriegsmarine i w silnie chronionym konwoju wypłynęliśmy na wody zimowego Morza Bałtyckiego. Lekkie fale kołysały naszym transportowcem i pierwsi pancerniacy zaczęli cierpieć na chorobę morską. Nie mieli jednak szans, by „wychylić się za reling”, jako że wszelkie tego typu konstrukcje zostały na statku zdemontowane; przez potężny górny pokład przeciągnięto tylko tu i ówdzie stalowe liny, by można było się czegoś przytrzymać, gdyby się ktoś poślizgnął podczas spaceru. Ale mało kto miał teraz ochotę na spacer. Na ogół nasi ludzie byli szczęśliwi, że mogli wyprostować nogi w ciepłych, choć dusznych i trochę śmierdzących kubrykach. Śmierdziało także — głównie mazutem — i w zatłoczonych do granic możliwości korytarzach oraz innych pomieszczeniach. Ale większość z nas pamiętała stare powiedzenie z początków kampanii rosyjskiej: „Nikt jeszcze nie umarł od smrodu, wielu za to zginęło na mrozie!”.

Przed nami, terkocząc silnikami, trałowce przeszukiwały tor wodny, zatrzymując od czasu do czasu konwój. Pozostałe eskortowce okrążały nas nerwowo, ogłaszając alarmy przeciwpodwodne, rzucając bomby głębinowe i nakazując posuwanie się zygzakami. W tym czasie ogłoszono też kilka alarmów przeciwlotniczych. Podczas wydawania kamizelek ratunkowych okazało się jednak, że wystarczy ich tylko dla co trzeciego żołnierza na pokładzie. Przy przydzielaniu nas do szalup ratunkowych sytuacja wyglądała jeszcze bardziej ponuro. Na pokładzie było z całą pewnością trzy razy więcej ludzi, aniżeli przewidywały to przepisy. Niemal bez przerwy czekaliśmy na pierwszy poważny incydent.

Co prawda, plan rejsu ułożono przezornie tak, aby nasz wielki konwój minął zajęte przez Sowieców wybrzeże koło Kłajpedy w godzinach nocnych. Ale dla nas, pancerniaków, i tak podróż tym nietypowym środkiem transportu, na dodatek będącym śmierdzącym przeładowanym statkiem, płynącym po wzburzonym, zaminowanym i kontrolowanym przez sowieckie okręty podwodne Morzu Bałtyckim, nie była w żadnej mierze przyjemnym przeżyciem. Kilkakrotnie w

trakcie tej podróży zaszczyliły nas odwiedzinami sowieckie samoloty torpedowe. Gdyby nasza artyleria przeciwlotnicza nie strzelała tak dobrze, to lepiej nie myśleć, co by się z nami stało. Od czasu do czasu interesowały się nami również bardzo wysoko lecące bombowce, które jednak szybko zawracały, gdy pod ich skrzydłami zaczynały eksplodować pociski naszej artylerii przeciwlotniczej.

W końcu jednak, wczesnym rankiem 21 stycznia, weszliśmy do Zatoki Gdańskiej. Nasza cierpliwość została kolejny raz wystawiona na ciężką próbę, jako że musieliśmy jeszcze długo czekać na statku, zanim pozwolono nam ostatecznie zejść na ląd.

Długie oczekiwanie jednak się w końcu opłacało. I to nawet bardzo, tyle że niestety, na krótko. Zakwaterowano nas bowiem w luksusowym hotelu w renomowanym kąpielisku morskim, w Sopocie. Jeśli dobrze pamiętam, ten położony nad brzegiem morza hotel nazywał się *Savoy*. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów mogliśmy się wyspać na łóżkach z materacami i przykryć puchowymi kołdrami. Na kilka dni mogliśmy więc zapomnieć o wojnie — spacerując promenadą, czuliśmy się jak kuracjusze. Chodziliśmy do kina, korzystając również z innych przyjemności życia. Na te kilka dni naszym hasłem przewodnim stało się: „Koledzy, rozkoszujcie się wojną, bo życie jest rzeczą straszną!”.

Tymczasem informacje, jakie docierały do nas z frontu, owe hiobowe wieści przekazywane szeptem z ust do ust i urzędowe sprawozdania Wehrmachtu, tworzyły bardzo ponurą mozaikę.

STYCZEŃ — KALENDARIUM WYDARZEŃ W PRUSACH ZACHODNICH

- 12.1.45 — 1. Front Białoruski pod dowództwem marszałka Żukowa przeszedł do ofensywy z przyczółka nad Wisłą, na południe od Warszawy; cel ataku: Poznań — Pomorze.
- 13.1.45 — 3. Front Białoruski atakuje Prusy Wschodnie; cel ofensywy — Królewiec.
- 14.1.45 — 2. Front Białoruski pod dowództwem marszałka Rokossowskiego przechodzi do natarcia z pozycji wyjściowych w trójkącie Narwi i Bugu i atakuje 2. Armię niemiecką w Prusach Zachodnich; cel ofensywy — ujście Wisły do Morza Bałtyckiego.
- 20.1.45 — Żołnierze Armii Czerwonej przekraczają pod Inowrocławiem granicę Rzeszy Niemieckiej.
- 23.1.45 — Sowieckie czołgi wdzierają się do Elbląga.
- 25.1.45 — W Piławie, Gdańsku i Gdyni jednostki niemieckiej floty handlowej i wojennej zaczynają ewakuować uciekinierów.
- 27.1.45 — Silne sowieckie oddziały docierają do Tolkmicka nad Zalewem Wiślanym, przecinając w ten sposób niemieckie połączenie lądowe z Prusami Wschodnimi. Armia Czerwona przekracza Wisłę pod Gniewem, 60 kilometrów na południe od Gdańska.
- 36.1.45 — „Wilhelm Gustloff“ (25 848 BRT) zostaje około godziny 22.00 zatopiony przez sowiecki okręt podwodny. Ze znajdujących się na pokładzie około 5000 uciekinierów udaje się uratować tylko 937 osób. Ponad 4000 ludzi tonie w lodowatych wodach Bałtyku.

2 SYTUACJA NAD WISŁĄ

POŁOWA STYCZNIA 1945 ROKU

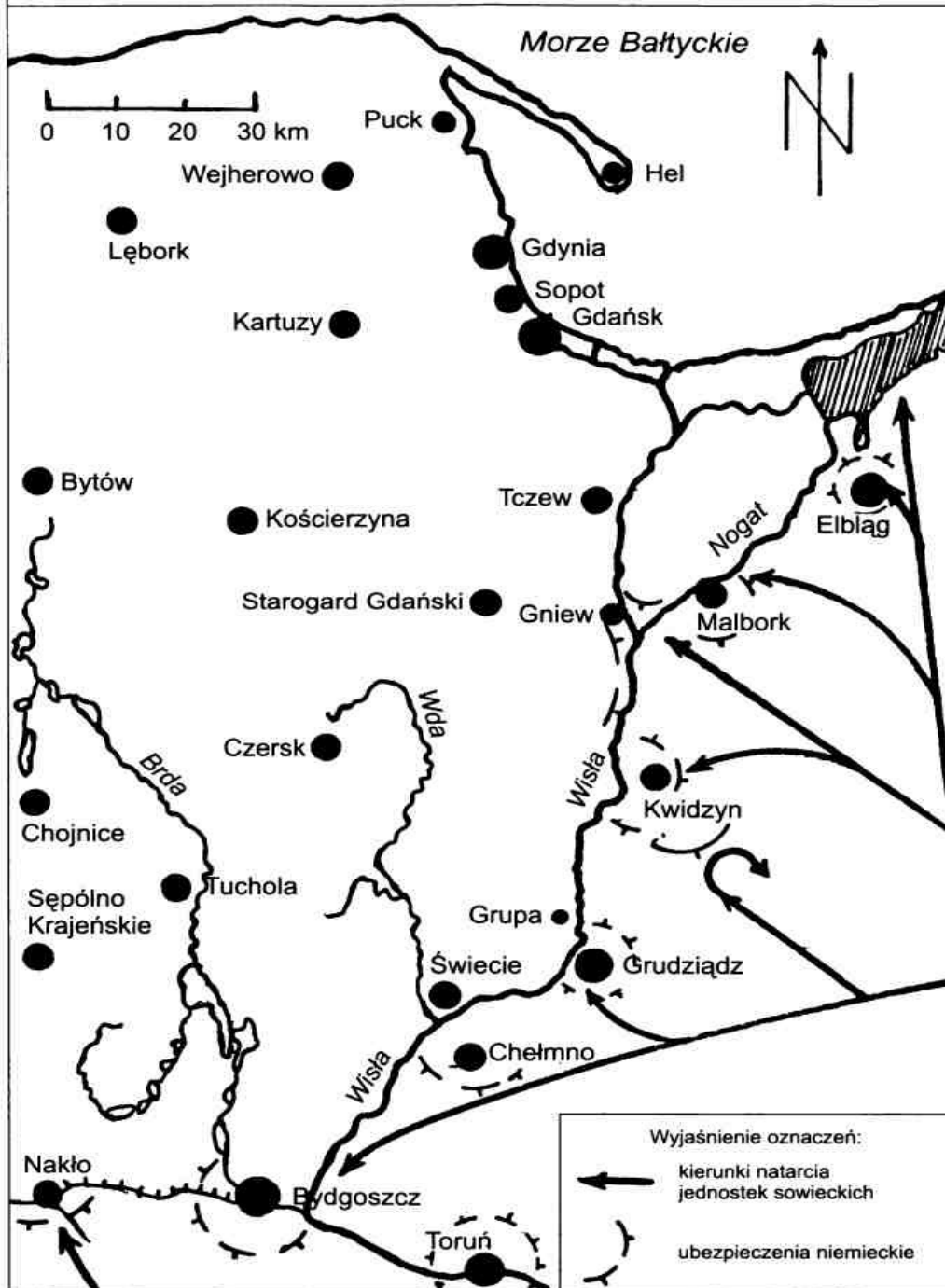
Wraz z nadejściem mrozów, poczynając od 12 stycznia, 200 dywizji Armii Czerwonej w pełnym składzie bojowym rozpoczęło długo przygotowywaną ofensywę przeciwko Rzeszy Niemieckiej na liczącym 600 km froncie wschodnim. Przeciwno sobie Sowietzi mieli 70 nadwerżonych w bojach dywizji niemieckich, które zostały szybko zepchnięte do defensywy, po części zaś rozbite. W efekcie tych działań Rosjanie przełamali front w kilku decydujących miejscach.

Olbrzymi i potężny Związek Radziecki był w stanie skoncentrować całą swoją siłę, skumulowaną niczym zaciśnięta pięść, na tym jednym froncie, używając jej w dowolnym jego punkcie.

Natomiast niemiecki Wehrmacht mógł się bronić na Wschodzie tylko jedną ręką, usiłując drugą powstrzymać gwałtowne natarcie aliantów zachodnich. Poza tym niemieckie dywizje walczyły jeszcze w Norwegii i na Bałkanach. Na dodatek Hitler, całkowicie przeceniając powagę sytuacji, przerzucił silne niemieckie związki pancerne na Węgry.

Olbrzymi potencjał przemysłowy Sowietów, przestawiony na tory produkcji zbrojeniowej, pracował nieprzerwanie na najwyższych obrotach, podczas gdy niemieckie fabryki były zniszczone bombardowaniami, a szlaki komunikacyjne i zaopatrzeniowe znalazły się w obszarze działań wrogich samolotów. Sytuacja zaopatrzeniowa w surowce w Niemczech znajdowała się w stanie katastrofalnym. Niektórzy mieli już powyżej uszu hasła w rodzaju „wojny totalnej” czy o walce do „pięć po dwunastej”. Wrzaski goebbelsowskiej propagandy i bajania o „wunderwaffe”^[3] były bezczelnymi kłamstwami. Od dawna było już „pięć po dwunastej”! Tak myślało wielu Niemców.

SYTUACJA NAD WISŁĄ 26 STYCZNIA 1945 ROKU



Nie należało się więc dziwić, że zaufanie dowódców jednostek do przywódców politycznych, a żołnierzy walczących na froncie do przedstawicieli najwyższego gremium dowódczego Wehrmachtu, zostało mocno naderwane ze względu na kompletnie błędną ocenę faktów. Teraz należało już tylko uchronić niewinne ofiary tej prowadzonej dalej bez sensu wojny przed odwetem dyszących chęcią zemsty, sprawujących władzę nad Armią Czerwoną, sowieckich demagogów.

12 stycznia 1. Front Białoruski — słowo „Front” jest w tym znaczeniu równoznaczne z niemieckim pojęciem „Heeresgruppe”^[4] — po bardzo ciężkim przygotowaniu artyleryjskim, zaatakował z przyczółków nad Wisłą na południe od Warszawy w kierunku Inowrocławia, a dalej Gniezna i Poznania. W trakcie pierwszego ataku Sowieci przełamali front niemieckiej obrony na szerokości 150 kilometrów.

13 stycznia 3. Front Białoruski, na północnym odcinku frontu, otworzył ogień z 350 baterii ciężkiej artylerii i wyrzutni rakietowych „Stalinorgel”^[5] i przeszedł do ataku na Prusy Wschodnie, kierując się w stronę Pojezierza Mazurskiego i Zatoki Kurońskiej. Wzięło w nim udział ze strony sowieckiej 7 armii składających się z 54 dywizji strzelców, 2 korpusów pancernych i 9 samodzielnych związków pancernych. Wyraźnie było widać, że ostatecznym celem tej ofensywy jest Królewiec.

Następnego dnia, w niedzielę 14 stycznia, Sowieci zaatakowali siłami 2. Frontu Białoruskiego również w środkowej części północnego odcinka frontu, wychodząc z pozycji leżących w trójkącie tworzonym przez Narew i Bug w kierunku ujścia Wisły. W skład tego Frontu wchodziło znowu 6 armii z 54 dywizjami strzelców, 6 korpusów pancernych, 1 korpus kawalerii i 9 związków pancernych. Niemieckie oddziały broniły się rozpaczliwie, ale na dłuższą metę nie mogły powstrzymać naporu przygniatających sił sowieckich.

Przy przepięknej, słonecznej, zimowej pogodzie przeciwnik mógł również bez przeszkód i skutecznie użyć swych przeważających sił powietrznych. Rozpadający się front niemiecki oraz jego drogi zaopatrzeniowe i odwrotu były bez przerwy atakowane przez pułki bombowców i samolotów szturmowych produkcji sowieckiej i amerykańskiej. Podczas ataku Sowieci użyli niewyobrażalnej wprost ilości pocisków i bomb.

Jednostki niemieckie, które wytrzymały pierwszy atak Armii Czerwonej, zostały potem wręcz rozjechane i rozstrzelane przez stada sowieckich czołgów, popędzane z kolei do przodu ogniem własnej artylerii. Ta broń pancerna Sowietów wprowadzała niepokój i niepewność na tyłach niemieckiego frontu, w decydujący sposób przyczyniając się do rozluźnienia pozycji. Niemieckie dywizje kurczyły się w oczach. Utworzone z rozbitych jednostek grupy alarmowe nie były już w stanie zamknąć wyrw powstałych w niemieckich liniach obrony i mimo wielkiej odwagi oraz poświęcenia nie zdołały zatrzymać energicznie posuwającego się do przodu przeciwnika.

Front rozpadł się na wiele ognisk oporu. Wszelkie próby utworzenia z nich jednolitej linii obrony początkowo zakończyły się fiaskiem. Przy czyniły się do tego głównie sowieckie czołgi z piechotą jadącą na pancernych. Wdarły się one głęboko na tyły niemieckich linii obrony.

Nadzwyczajna siła ognia i wielokrotna przewaga Armii Czerwone wykorzystującej mobilność swych związków pancernych na zamarzniętej ziemi, i siła liczebna jej dywizji, a przede wszystkim brak rezerw — wywołał wśród niemieckich oddziałów poczucie bezradności i ogromne przygnębienie. W niektórych miejscach odwrót niemiecki zamieniał się w chaotyczną ucieczkę.

Na polecenie gauleiterów, w sposób godny ukarania, władze administracyjne i partyjne w żadnej mierze nie informowały miejscowej ludności cywilnej na zapleczu frontu o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znalazły się wojska niemieckie. Ludność ta nie miała też najmniejszego pojęcia o grożącym jej wielkim niebezpieczeństwie. Czuła się nadal pewnie i bezpiecznie, chroniona przez rzekomy „Ostwall”^[6]. Kiedy więc 23 stycznia, około godziny 17.00, stado sowieckich czołgów wdarło się niespodziewanie do Elbląga, pozostałe na miejscu urzędy administracji lokalnej i partyjnej popadły w stan paraliżującego szoku. Wkrótce Sowietci w wielkiej sile pojawili się nad brzegami Zalewu Wiślanego, przerywając tym samym lądowe połączenie z obszarami Prus Wschodnich.

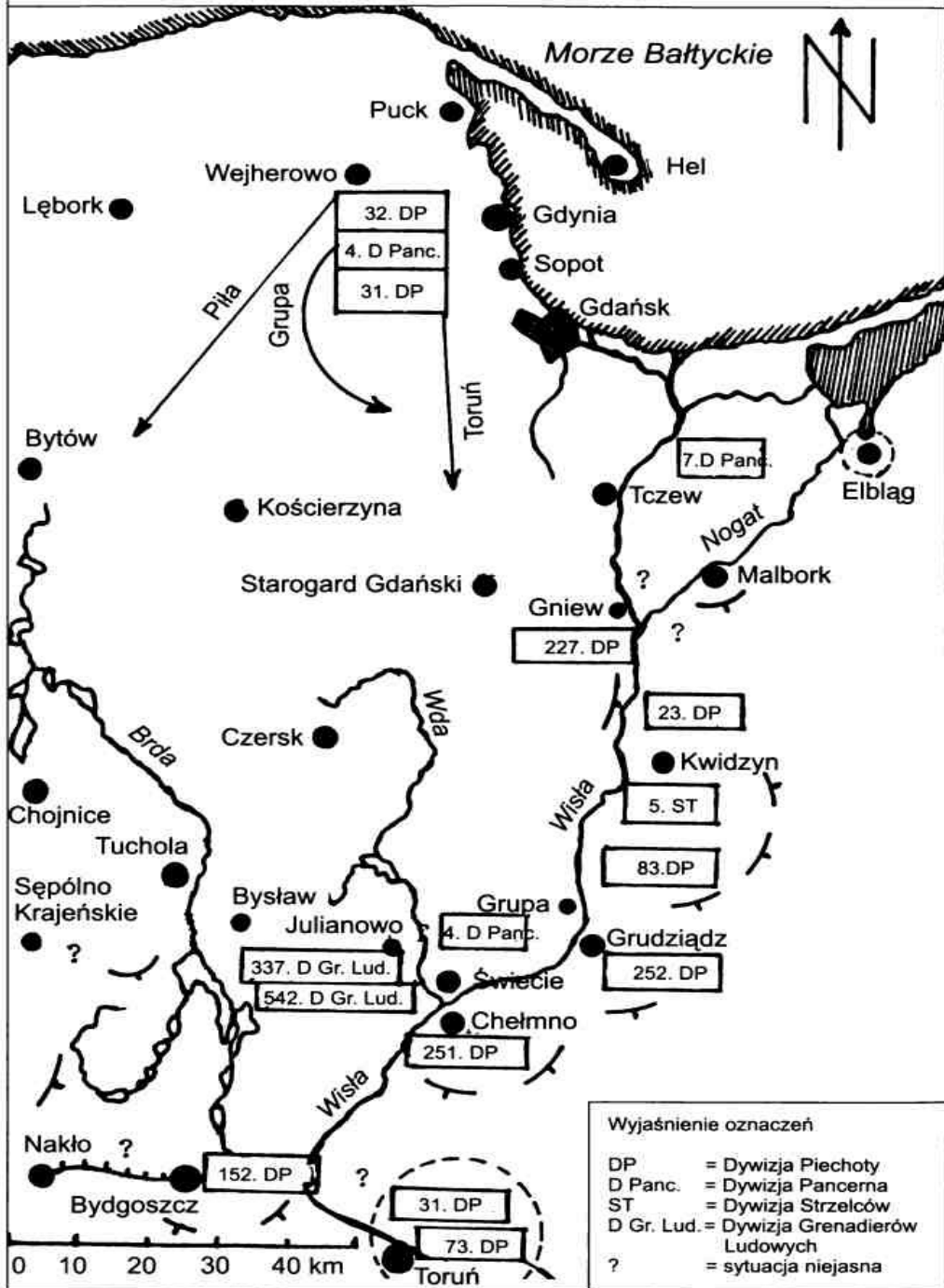
3 POGOŃ ZA CIĘŻKIM UZBROJENIEM

My, pancerniacy bez wozów bojowych, wypoczywaliśmy akurat, ukołtysani złudnym spokojem Sopotu, i mało szlag nas nie trafił, kiedy usłyszeliśmy radiogram, jaki nadszedł od naszego dowódcy pułku: „Sowieckie czołgi przedzierają się na poligon w Grupie. Do naszej dyspozycji jest ograniczona liczba broni ciężkiej, samochodów pancernych i czołgów. Załogi mają natychmiast wyruszyć w drogę!

Sytuacja wokół nas wyglądała groźnie: Sowieci stali już pod Tolkmickiem nad Zalewem Wiślanym i pod Malborkiem, 50 kilometrów na południowy wschód od Gdańska. Miasta Grudziądz, Toruń i Gdańsk zostały ogłoszone twierdzami. Nie, wcale nie mieliśmy ochoty na to, żeby tu, w Sopocie, przejęła nas komenda uzupełnień i włączyła do jakiejś jednostki alarmowej, wykonującej nietypowe zadania piechociarzy. A więc jedziemy do Grupy!

Ludzie z 4. pancernego batalionu rozpoznawczego i z 79. pancernego batalionu łączności byli pierwszymi, którzy już 23 stycznia pomknęli na południe, jako że przywieźli ze sobą z Kurlandii wozy bojowe i samochody-radiostacje. Za nimi pojechali grenadierzy pancerni z 12. i 33. Pułku oraz saperzy z 79. pancernego batalionu saperów. Między nich wsunęli się ludzie z naszego 35. Pułku Pancernego, za którymi z kolei podążyli żołnierze ze 103. Pułku Artylerii, 49. batalionu niszczycieli czołgów i 290. dywizjonu artylerii przeciwlotniczej. Jechaliśmy na południe bez odpoczynku, na pojazdach niskopodłogowych, ciągnikach, samochodach ciężarowych — zorganizowanych i ukradzionych — przez błoto i śnieg, dniem i nocą, ciągle mając po lewej ręce Wisłę, mijając niekończące się kolumny uciekinierów, którzy wszystkimi drogami i ścieżkami ciągnęli na północ.

TWORZENIE NIEMIECKICH LINII OBRONY, STAN NA 27. 1. 1945



Wszyscy już wiedzieli o masakrze, jaka miała miejsce 20 października 1944 w Nemmersdorfie. Sowieccy żołnierze bezlitośnie i w okrutny sposób zamordowali mieszkańców wioski, którzy w niej pozostali. Mijani przez nas po drodze ludzie, przeczuwali, że w Prusach Wschodnich było wiele takich Nemmersdorfów, ale tylko w tym jednym miejscu znaleziono dowody krwawego szaleństwa podburzanych przez komisarzy czerwoarmistów, a to dlatego, że miejscowość ta została odbita przez niemiecki Wehrmacht i sytuacja pozwoliła na to, że międzynarodowa komisja mogła na własne oczy zobaczyć efekty zemsty Armii Czerwonej.

Oczywiście, żadna armia świata nie jest w stanie uchronić się całkowicie przez obecnością w swych szeregach niepewnych elementów, które w ekstremalnych sytuacjach wojennych odreagowują kryminalne skłonności na słabych i bezbronnych cywilach. Ale to, co wydarzyło się w Nemmersdorfie i z pewnością w innych miejscach, nie było wyrazem wykolejenia się jednostek, ale sterowanym, popełnionym z zimną krwią, masowym mordem, do którego, za wiedzą Stalina, wzywał sowieckich żołnierzy Ilja Erenburg. To dlatego ludzie zostawiali tutaj, w Prusach Zachodnich, domy i gospodarstwa, uciekając na łeb, na szyję ze swej starej ojczyzny.

Jeszcze nigdy nie widzieliśmy uciekających Niemców. Na ich widok zaczynało nam krwawić serce: kolumny dzieci prowadzone przez dzielne, młode dziewczęta, przez zakonnice i siostry Czerwonego Krzyża, wozy z chorymi i starcami. I wiele kobiet, niemal same kobiety. A potem znowu ranni, wielu rannych: nieszczęście nad nieszczęściami! I wszyscy ci ludzie, patrząc na nas od czasu do czasu wzrokiem pełnym wyrzutu, prosili w milczeniu, aby za wszelką cenę trzymać od nich z daleka Sowietów, nie zostawiać ich na pastwę losu.

Niekiedy zagradzali nam drogę zmęczeni walką, rozczarowani niemieccy żołnierze, którzy wygrażając zaciśniętymi pięściami, krzyczeli do nas: — Wy durnie! Tylko przedłużacie tę wojnę!

My też zaczynaliśmy wątpić, czy dobrze czynimy, w tej sytuacji bez wyjścia jeszcze raz stając na drodze Sowietów. Od czasu do czasu napotykalismy niemieckie oddziały, które ostatnimi siłami starały się zbudować pozycje obronne w pobliżu drogi.

A potem znowu zobaczyliśmy te nieszczęsne kolumny dzieci, kobiet, starców i rannych, z błagającymi o pomoc oczyma; ich wzrok zobowiązywał nas do zrobienia wszystkiego, by im pomóc.

Wsie leżące dalej na południu wyglądały jak wymarłe. Nie pozostał w nich żaden z mieszkańców. Nikt nie chciał wpaść w ręce Sowietów. Wszyscy szukali ochrony u niemieckich oddziałów.

I tylko my, nie mający o niczym pojęcia żołnierze z Kurlandii, płynęliśmy pod prąd tej rwącej rzeki, przebijając się przez idącą na północ ludzką falę i chcieliśmy, powinniśmy, musieliśmy uczynić ich drogę ucieczki bezpieczną, ochronić tych ludzi i umożliwić im ratunek.

Na widok wymarłych wsi ogarniało nas swego rodzaju dziwne wzruszenie: wszystkie te opuszczone domy i mieszkania były wysprzątane. W żadnym pokoju nie było nieporządku. Domy wyglądały tak, jakby ich mieszkańcy tylko na chwilę wyjechali do miasta na zakupy.

Dalej na południu upiorny półmrok zimowej nocy rozjaśniał blask płonących wsi. Chmury dymu zaciemniały niebo zakryte brzemieniami śniegiem chmurami. Znad Wisły dobiegały echa dalekich wystrzałów na wschodzie.

Tu i ówdzie błąkali się bez celu po okolicy, pozbawieni dowódców pojedynczy niemieccy żołnierze, o twarzach naznaczonych przerażeniem i niepewnością. Byli szczęśliwi, że mogli do nas dołączyć, nawet jeśli poruszaliśmy się w złym, ich zdaniem, kierunku. I ciągle spotykaliśmy naszych towarzyszy, uykających, w przesiąkniętych zaschniętą krwią opatrunkach.

I rzeczywiście — udało nam się dotrzeć przed Sowietami do arsenału broni na poligonie w miejscowości Grupa, na północny wschód od Grudziądza. Wozów bojowych i ciężkiej broni „pilnował” starszy sierżant sztabowy z kilkoma starymi kapralami; przedtem zapewne ten arsenał był zarządzany przez cały pułk technicznych inspektorów, kwatermistrzów i płatników, dając uzasadnienie ich istnieniu. Ale ci „eleganci” dawno już zdążyli się stąd wynieść.

Trzeba w tym miejscu powiedzieć jasno i wyraźnie: relacje między jednostkami frontowymi a służbami tyłowymi od czasu wielkiego odwrotu z Rosji wyraźnie się pogorszyły. Podczas gdy fronty z roku na rok obsadzano coraz mniejszą liczbą żołnierzy, miasta etapowe wprost pęczniały w oczach od rozlicznych służb zaopatrzeniowych, sztabów kwatermistrzowskich, urzędów partyjnych, jednostek specjalnych i rozlicznych urzędników na usługach wojny, którzy natychmiast włączali wsteczny bieg, gdy zaczynały ich dobiegać odgłosy bitewnej wrzawy. Widzących to żołnierzy frontowych w coraz większym stopniu ogarniało rozgoryczenie. Nie darzyli więc sympatią tych ludzi typu „bdnt” — byle daleko na tyłach — którzy na dodatek mieli o sobie bardzo wielkie mniemanie.

Wzięliśmy z arsenału tyle broni i pojazdów bojowych, ile potrzebowaliśmy, i to bez zbędnych formalności. Podstarzali wojownicy, strzegący dotąd tych zapasów, pospiesznie rozpoczęli odwrót z naszym błogosławieństwem, uprzednio wzięwszy od nas odpowiednie dokumenty z naszymi podpisami. Byli w głębi serca szczęśliwi, że z honorem i godnością udało im się wypełnić swoje ostatnie zadanie tej wojny.

Trzeba mieć jednak pecha, i to bardzo wielkiego: okazało się bowiem, że żaden z czołgów nie dysponował kompletnym wyposażeniem radiowym! Najwyraźniej przed nami znaleźli się tu inni „organizatorzy”, którzy wykręcili to, czego potrzebowali. Brakowało też akumulatorów do radiostacji i przetwornic, które znaleźliśmy później w schronach przeciwlotniczych, gdzie używano ich do oświetlania. W zbiornikach nie było też ani kropli paliwa. Jak podkreślali kaprale ze straży w arsenale, wypompowano je na potrzeby pojazdów, które miały wywieźć z zagrożonej strefy szwadrony urzędników z kwatermistrzostwa i administracji. Nie mogliśmy znaleźć kropli paliwa, aby przeprowadzić czołgi na

stanowiska bojowe!

Trzykrotne „hurra!” na cześć dzielnego kapitana Bruno Schalmata, szefa naszych czołgowych warsztatów remontowych! W ostatniej chwili przywiózł nam ciągnikiem górskim tyle paliwa, że mieliśmy zapas na 30 kilometrów. Do dzisiaj też pozostaje dla mnie zagadką, w jaki sposób załogom udało się znaleźć i „zorganizować” wszystkie brakujące części i urządzenia.

W kilka godzin po naszym przybyciu do Grupy na placu manewrowym rozległ się grzmiący huk trzystukonnych silników. Brakowało nam za to radia. Tylko oba wozy szefów kompanii zostały wyposażone w kompletne radiostacje.

Nasze czołgi nie musiały jechać daleko: sowieckie T-34 wyświadczyły nam przysługę i z absolutną pewnością zwycięzców nieostrożnie wyjechały wprost pod lufy naszych dział. Sprawiliśmy im bardzo zimny prysznic: Już podczas pierwszego spotkania na placu boju pozostało 14 płonących T-34.

Ten widok nowo sformowanym, jeszcze nie zgranym ze sobą w przejętych dopiero co czołgach załogom, dodał odwagi do podjęcia pozornie z góry przegranej, nierównej walki z Armią Czerwoną. Nasza obecność skłoniła jednak zbyt beztrosko posuwających się Sowietów do ostrożności. Ta z kolei pozwoliła na to, aby kolumny uciekinierów zdobyły nieco większy dystans do miejsca walki, gdyż każdego dnia pokonywały one kolejne kilometry w drodze na północ, każdego dnia Marynarka mogła ewakuować kolejne tysiące cywilów.

Nasze doskonałe skądinąd czołgowe działa L 48 kalibru 75 mm niewiele mogły uczynić złego bardzo ciężkim sowieckim maszynom typu „Józef Stalin”. Jedynie wyjątkowo celnie wystrzelony pocisk mógł przebić ich gruby pancerz. Z tego powodu dowództwo dywizji wysłało kapitana Kästnera, dowódcę naszego 1. batalionu, do Kurlandii z zadaniem wyrwania stamtąd naszych „Panter” i przetransportowania ich jak najszybciej do Gdańska. Oczywiście, nie wyobrażaliśmy sobie, że uda się nam w jakiś sposób zmienić bieg koła historii, gdyż nawet największy głupiec wiedział od dawna, że ta wojna jest przegrana. Być może, przy dużej dozie szczęścia, uda się nam opóźnić niepokonany napór i ofensywę dywizji Armii Czerwonej, aby w ten sposób dać uciekinierom, powoli tylko posuwającym się zapchanymi drogami, szansę bezpiecznego dotarcia przed oddziałami sowieckimi do bałtyckich portów Gdańska i Gdyni, gdzie czekał na nich ratunek. W ten sposób Marynarka mogła mieć nieco więcej czasu, by wywieźć ich za morze. Zgodnie z prawdą trzeba jednak stwierdzić, że nasze działania były zaledwie ukłuciami komara w potężne cielsko Armii Czerwonej.

Podczas gdy front naszej obrony uformował się już w jakiś widoczny sposób wzdłuż Wisły między Tczewem i Bydgoszczą, na południe od Torunia aż po Piłę ziała wielka dziura, gdzie sytuacja była całkowicie niejasna.

Dlatego, w połowie stycznia, by wzmocnić ciężko walczącą na tamtym obszarze 73. Dywizję Piechoty, rzucono w rejon Torunia 31 Dywizję Piechoty i jednocześnie ściągnięto naszą 4. Dywizję Pancerną oraz 32. Dywizję Piechoty z Kurlandii. Jednakże przy pomocy zbyt wolno i w małej liczbie przerzucanych jednostek początkowo nie można było zbudować trwałego frontu, a jedynie —jak

to ktoś trafnie stwierdził — utworzyć „łańcuch obserwacyjny”, który alarmowałby siły naszej obrony w przypadku zaobserwowania ataków nieprzyjaciela

Ta recepta taktyczna w konsekwencji spowodowała, że oddziały sowieckie, przynajmniej w naszym rejonie walki, mogły posuwać się tylko małymi krokami.

Nadchodzące z Gdańska jednostki 4. Dywizji Pancernej, które właściwie miały się zebrać na poligonie w Grupie w celach wypoczynku i uzupełnienia uzbrojenia w nowe wozy bojowe, rzucano do walki małymi grupkami, tak jak przybywały w tamten rejon, gdyż praktycznie wokół wszędzie się paliło. Żołnierze tych jednostek obserwowali ruchy przeciwnika i walczyli na froncie o szerokości 25 kilometrów od Świecia po Sępólno Krajeńskie.

Od 23 stycznia jednostki 4. pancernego batalionu rozpoznawczego prowadziły obronę ruchomą po obu stronach rzeki Brdy od Chełmna po Nakło. Pancerne jednostki zwiadu zabezpieczały północne skrzydło wzdłuż linii przełamania frontu przez Sowietów, których celem ataku była miejscowość Piła.

24 stycznia 2. batalion grenadierów pancernych z 33. Pułku postawiono w stan alarmu i następnie przekazano do Bydgoszczy, do dyspozycji dowódcy tamtejszego odcinka obrony.

25 stycznia, mając świadomość znaczenia naszej akcji, dowództwo przydzieliło 4. pancernemu batalionowi rozpoznawczemu pewną liczbę 8-kołowych pancernych transporterów rozpoznawczych, wyposażonych w dieslowskie silniki Tatra, i działa czołgowe kalibru 75mm. Miało to dla nas podwójne znaczenie, ponieważ przez pewien okres mieliśmy do dyspozycji wystarczającą ilość oleju dieslowskiego. Próbowano go również przystosować do użytku w silnikach benzynowych, stosując domieszkę czystego alkoholu, którego dużą ilość zabezpieczono w jednej z okolicznych gorzelni. Sukces tych prób należy określić jako średni.

Poza tym nasz batalion rozpoznawczy otrzymał nowe transportery opancerzone, z których część była wyposażona w działa Stummela kalibru 75mm, a pozostałe w działka szybkostrzelne kalibru 20mm oraz granatniki. Ponadto jednostki przyjeżdżające z Kurlandii mogły jeszcze zabrać ze sobą swoje Luchsy — były to szybkie i zwrotne zwiadowcze wozy gaśnicowe, także uzbrojone w szybkostrzelne działka kalibru 20mm. Jeszcze nigdy nasz batalion rozpoznawczy nie dysponował tak dużą siłą ognia. Naturalnie, nasze szczęście miało i swoją złą stronę: prawie nie było paliwa do tych pojazdów, mieliśmy również niewiele amunicji do działek kalibru 20 i 75mm.

26 stycznia docierające do Grupy jednostki 12. Pułku Grenadierów Pancernych i 4. pancernego batalionu rozpoznawczego rozpoczęły walki z oddziałami spadochroniarzy sowieckich 7 kilometrów na zachód od Chełmna.

27 stycznia Nakło i Bydgoszcz dostały się w sowieckie ręce. Zaciekle walczone pod Malborkiem i Tczewem, 60 kilometrów na południe od Gdańska. Po upadku Bydgoszczy przerzucony tam uprzednio 2. batalion 33. Pułku Grenadierów Pancernych przebił się na północ w stronę niemieckiego frontu, a

żołnierze z 79. pancernego batalionu saperów od kilku dni bronili zwiężenia między jeziorami koło Sępólna Krajeńskiego.

Stopniowo nasze dowództwo zaczynało panować nad sytuacją w Prusach Zachodnich.

Zaspy śnieżne i braki paliwa nadal utrudniały ruchliwość naszych pancernych grup bojowych. I tak, 29 stycznia nie można było rzucić do akcji nowo przydzielonych 14 wozów bojowych niszczycieli czołgów Jagdpanzer IV mimo że były one potrzebne praktycznie wszędzie. Musiały stać bezproduktywnie na stacji kolejowej, gdzie wyładowano je z wagonów.

W celu zwalczania superciężkich sowieckich czołgów „Józef Stalin“ 4 Dywizję Pancerną wyposażono 30 stycznia w czołgi typu „Tygrys“. Ale także i ich udział w akcjach zakończył się fiaskiem z powodu trwałego braku paliwa, nie mówiąc o brakach w dostawach amunicji kalibru 75 i 20mm do wozów-niszczycieli czołgów, Luchsów i transporterów opancerzonych.

1 lutego doszło do głębokiego przełamania naszych linii obronnych przez wroga na odcinku pod Świeckiem, bronionym przez 337. Dywizję Grenadierów Ludowych. Ten głęboki wyłom zagroził skrzydłu 2. Armii niemieckiej. W tej sytuacji czekające na paliwo pod Kawęczynem nowo przydzielone czołgi typu Jagdpanzer IV były warte tle złota ile same ważyły. Na rozkaz z korpusu zostały one razem z oddziałem transporterów opancerzonych rzucone do walki z przeciwnikiem któremu udało się przełamać linię naszej obrony.

4 WALKA O CZAS

OD ŚWIECIA DO TUCHOLI

Co prawda, stara prawda strategii mówi, że „Najlepszą obroną jest atak”, ale pesymiści i ludzie nadmiernie ostrożni mogli w tym czasie i w tak krytycznej sytuacji uznać za szaleństwo lub pełne arogancji zarozumiałstwo fakt, że 1 i 2 lutego wszystkie siły będące w zasięgu 4. Dywizji Pancerniej, pod osobistym dowództwem komendanta dywizji generała Betzela, rozpoczęły — jak za dawnych czasów — atak na południowy wschód. Był skierowany na idące na zachód od Świecia w kierunku miejscowości Osie oddziały przeciwnika, któremu udało się przerwać niemiecką linię obrony między pozycjami zajmowanymi przez 251. Dywizję Piechoty i 337. Dywizję Grenadierów Ludowych. Atak ten przeprowadzono na dodatek siłami dwóch słabych kompanii czołgów, które miały w bakach tylko po kilka litrów benzyny i bardzo mało amunicji.

W jednym z czołgów jechał sprawozdawca wojenny Robert Poensgen i tak opisał ten atak:

„2 lutego 1945 — tej nocy na zewnątrz panuje mglista pogoda. Byłem na stanowisku dowodzenia kapitana Küsperta, który dowodził czołgami 35. Pułku Pancernego. Przed nami jechała grupa zwiadowcza, kierując się w stronę cmentarza w Bładzinie. Nasi zwiadowcy zlokalizowali sowiecką jednostkę uderzeniową, jednak przez nią niezauważeni. Żołnierze z 12. Pułku Grenadierów Pancernych ostrożnie się wycofali i zdołali ostrzec nasze posterunki. Natychmiast wskoczyliśmy do swoich prowizorycznych kryjówek. Wokół panowała cisza, jak makiem zasiał. Sowieccy żołnierze ostrożnie posuwali się do

LUTY — KALENDARIUM WYDARZEŃ W PRUSACH ZACHODNICH

- 1.2.45 — Oddziały Armii Czerwonej docierają do Odry pod Kostrzyniem.
- 2.2.45 — Utracona zostaje twierdza Toruń. Załoga twierdzy — 73. i 31. Dywizje Piechoty przerywają pierścień okrążenia i przebijają się do linii niemieckich.
- 5.2.45 — Mierzeja Kurońska dostaje się w ręce sowieckie.
- 10.2.45 — O godz. 05.00 sowiecki okręt podwodny zatapia niemiecki statek szpitalny „Generał Steuben” z 1467 ciężko rannymi, 1213 lżej rannymi i 900 uciekinierami, lekarzami, siostrami szpitalnymi i członkami załogi na pokładzie. Uratowano zaledwie 630 rozbitków.
Miasto Elbląg zajmują Rosjanie.
- 13.2.45 — Sowieci zdobywają miasto Świecie.
- 15.2.45 — Tuchola i Piła zostają zajęte przez oddziały sowieckie.
- 18.2.45 — Rosjanie zajmują Chojnice.
- 24.2.45 — Oddziały sowieckie zajmują Poznań.
- 28.2.45 — Rosjanie zdobywają miasto Człuchów leżące na obszarze Pomorza Tylnego.

przodu. Nagle z lewej dobiegły nas odgłosy wystrzałów; słychać było głuchy stukot serii z sowieckich ciężkich karabinów maszynowych. Od czasu do czasu zaszczekało działo czołgowe i rozlegało się stęknienie granatnika. Przez pięć minut trwała chaotyczna strzelanina, a potem znowu zapadła grobowa cisza. Na stanowisko dowodzenia przybiegł zdyszany goniec:

— Wrogą grupę uderzeniową odrzucono, wzięto jednego jeńca — zameldował. Wziętego do niewoli czerwonoarmistę przyprowadzono do kapitana Küsperta. Był ranny i dopiero na naszym stanowisku porządnie go opatrzono. Wyglądał na głodnego, więc daliśmy mu chleb, papierosa i kubek wódki. Wtedy się ożywił i wygłosił do nas wielką przemowę, ale jej nie zrozumieliśmy. Potem samochodem, który przywiózł nam gorącą kawę, jeńca przewieziono na stanowisko dowodzenia pułku.

Później dotarli do nas, kuśtykając, ranni żołnierze z 12. Pułku Grenadierów Pancernych. Na końcu szedł młodzieńki chłopiec, podpierając się kawałkiem kija. Opadł ciężko na słomę rozłożoną na podłodze w oświetlonym kagankami pomieszczeniu dowodzenia. Zagryzł zęby i wskazał na nogawkę spodni całkowicie przesiąkniętą krwią. Ostrożnie ściągnęliśmy mu spodnie. W prawym udzie, tuż pod pachwiną, ziała w nodze spora dziura, w którą spokojnie można było włożyć zaciśniętą pięść: chłopak dostał rykoszetem. Musiał stracić dużo krwi, ale był zaskakująco dzielny. Kiedy go opatrywano, podtrzymałem mu głowę, mówiąc doń, aby odwrócić jego uwagę. Nie miał jeszcze 18 lat i była to jego pierwsza akcja bojowa.

— Nie miałem pojęcia, że tak to szybko pójdzie. Przecież nic jeszcze nie widziałem z tej wojny! — Sprawiał wrażenie, że był to w tej chwili jego największy problem. Biedny chłopak! Zapytał mnie, czy rana jest poważna i chciał ją koniecznie obejrzeć. Odwracaliśmy jego uwagę, gdyż głęboka dziura w mięśniach sprawiała okropne wrażenie. Gdyby ją zobaczył, z pewnością straciłby przytomność.

Kiedy został opatrzony, zaczął się skarżyć na ból w lewej nodze. Zbadaliśmy ją i stwierdziliśmy po lewej stronie podbrzusza kolejną głęboką ranę, która jednak nie wyglądała na zagrażającą życiu. Po prostu brakowało tylko sporego kawałka ciała. Przy całym tym nieszczęściu chłopak miał piekielny fart — co też mu wyjaśniliśmy, życząc miłego powrotu do ojczyzny. Pochodził z Ingolstadtu.

Potem przespałem się chwilę, siedząc na jakimś połamanym gracie, opierając głowę o kamienny garnek z zasolonym mięsem, już zepsutym i okrutnie śmierdzącym. Byłem jednak tak zmęczony, że przegapiłem nawet powrót kapitana Küsperta i obudziłem się dopiero wtedy, kiedy wszyscy wyszli na zewnątrz. Zmierzchało już. Za pół godziny mieliśmy rozpocząć atak.

Zameldowałem się u kapitana Küsperta jako sprawozdawca wojenny i poprosiłem go o pozwolenie towarzyszenia mu w jego wozie dowodzenia, w starym czołgu typu Panzer IV z nieruchomą wieżyczką i atrapą działa.

Czułem się obrzydliwie i przy najlepszych chęciach nie byłoby w stanie przełknąć ani kęsa. Nasze czołgi powoli przesuwały się przez przydomowe

ogródki na pozycje wyjściowe. Ze stanowisk zajętych podczas nocy, z uderzeniem godziny 08.00 czołgi ruszyły ze skraju lasu rosnącego przy linii kolejowej w kierunku Bładzina, pędząc w szybkim tempie przez zaśnieżone pola. Od strony wsi rozpoczął się silny ostrzał. Stojąc w ukryciu za zaroślami, obserwowaliśmy przebieg ataku przez lornetki.

Siedząc na skraju wjazdu wieżyczki, kapitan Küspert wydał rozkaz otwarcia ognia, gdyż po rozbłyskach z luf dział rozpoznaliśmy wyraźnie stanowiskach artylerii przeciwpancernej. Również i nasze czołgi strzelały jak szalone w stronę wsi, która zaczęła się palić w wielu miejscach. Na pokrytym śniegiem polu widzieliśmy pojawiające się jeden za drugim czarne punkty: były to miejsca upadku sowieckich granatów; ich wybuchy pokrywały śnieg prochową sadzą.

Prochowy dym kładł się nad polami i łąkami mgłą, przez którą prześwitywały jaskrawoczerwone błyski ognia wylatującego z armatnich luf. Za toczącymi się czołgami rzadką tyralierą biegła piechota. Tu ówdzie widać było jednego czy dwóch żołnierzy, zrywających się z ziemi, przebiegających kilka metrów i znowu padających na pokrywający ziemię śnieg. Kilku z nich już z niego nie wstało.

Kiedy skrajne lewe skrzydło atakujących czołgów dotarło do wsi, kapitan Küspert wydał rozkaz ataku prawemu skrzydłu. Czołgi wysunęły się z zamaskowanych stanowisk, obok nich atakowali grenadierzy.

Miałem cichą nadzieję, że kapitan zostanie z wozem dowodzenia tutaj, w miejscu, gdzie między domami byliśmy dobrze ukryci. Ale Küspert nie był dowódcą dowodzącym na odległość. Nasz czołg, warcząc silnikiem i kołysząc się, podjechał na skraj zarośli. Za nami stał mały kościół. Teraz i my dostaliśmy się pod gwałtowny ogień. Po huku pocisków przeciwpancernych można było wyraźnie odróżnić, czy działa przeciwnika strzelały do nas, czy też brały za cel inne czołgi. Ciężkie granaty ze stęknieniem uderzały w domy stojące za nami; w powietrzu latały kawałki cegieł, a wybuchy pocisków wzbijały w całej okolicy chmury czerwonego kurzu.

Jeden z naszych czołgów, oddalony od nas 50 metrów, został trafiony w burtę. Potem rozległ się ogłuszający huk. Przycisnąłem się do wieżyczki niczym pluskwa do ściany, starając się być jak najmniejszy. Kapitan Küspert, który jeszcze przed chwilę wychylał się całą górną połową ciała z luku wieżyczki, zniknął nagle jakby trafiony piorunem. Z luku wystawało już tylko jego ramię. Na moment wokół mnie zrobiło się całkiem ciemno. O pancerz czołgu były niczym grad bryły zbitej ziemi i śniegu. Słychać było też uderzające o stal odłamki: jeden z nich przedziurawił moją rękawiczkę, omijając o milimetr palec wskazujący. Pół metra obok prawego koła napędowego naszego czołgu wybuchł pocisk kalibru 122mm.

Nasz czołg cofnął się i zatrzymał obok kościoła. Znowu rozległ się głośny huk, potem spadł na nas deszcz odłamków. Słychać było łomot uderzeń. Tym razem pocisk uderzył w kościół, dziesięć metrów od nas. Zasypały mnie czerwone odłamki cegieł. W luku wieżyczki pojawił się teraz adiutant: kapitan Küspert został ranny — chociaż błyskawicznie zniknął w luku, to kilka małych odłamków trafiło go w ramię.

Nasze czołgi szły dalej do przodu, lewe skrzydło 35. Pułku Pancernego toczyło już ciężkie walki na wiejskiej ulicy. Sowieci strzelali do nas ze wszystkich domów. Mimo wściekłego ognia także i nasze prawe skrzydło zbliżało się coraz bardziej do wioski. Z dachów jej domów strzelały w niebo słupy ognia, nad którymi unosiły się chmury czarnego dymu.

Za czołgami jechał wóz dowódcy. Szybkim tempem, kołyszając się gwałtownie na boki, podjechaliśmy do cmentarza, całkowicie zrytego wybuchami granatów. Rzuciło się w oczy, że czołgi nie uszkodziły ani jednego grobu, mimo że cała ziemia wokół pełna była śladów gąsienic.

Ogień artylerii zaczął gwałtownie cichnąć, sowieckie baterie u wyjścia z wioski zostały zmuszone do milczenia. Tylko z daleka dobiegały nas odgłosy pojedynczych wystrzałów. Najwyraźniej wyglądało na to, że sowiecki system kierowania ogniem został zakłócony, pociski bowiem uderzały w okolicy zupełnie chaotycznie.

Potem znaleźliśmy się u wjazdu do wsi Bładzin, skąd zobaczyliśmy nasze czołgi po jej drugiej stronie. Gołym okiem można było dojrzeć opuszczone i rozbite działa sowieckie, zarówno artylerii przeciwpancernej, jak i piechoty.

Przejechaliśmy tuż obok jednego z takich stanowisk. Nasze czołgi celowały wręcz doskonale. Ziemia wokół niego była zryta wybuchami, a stojące za nim drzewa niemal całkowicie zniszczone. Wokół leżało wiele ciał zabitych żołnierzy, a same działa były całkowicie rozbite. Nieopodal stanowisk artyleryjskich stały samochody amunicyjne, były to bez wyjątku amerykańskie Studebakery.

Odgłosy bitwy we wsi powoli zamierały. Podjechaliśmy jeszcze kawałek do przodu, do miejsca, skąd mogliśmy zobaczyć następną miejscowość — Ostrowite. Zobaczyliśmy wyjeżdżającego stamtąd sowieckiego potężnego kolosa, „Józef Stalin“, którego nasze Panzer IV nie zdołały zniszczyć.

Czerwonoarmiści usiłowali uciekać z pola bitwy. Ponieważ ciężarówki i ciągniki dział nie mogły korzystać z drogi, więc jadąc polami, utknęły w głębokim śniegu. Teraz Sowieci, odcinający się od śniegu czarnymi punktami, uciekali przez poła na piechotę, niekiedy ciągnąc za sobą sanki.

Trzy nasze czołgi, stojące dotąd jeszcze przy drodze koło leśniczówki, weszły teraz również do akcji i ruszyły przez las. O godzinie 11.00 zaatakowano z trzech stron i po krótkiej chwili zajęto ważne skrzyżowanie dróg położone 20 kilometrów na północny zachód od Świecia. Z miejsca naszego postoju nie mogliśmy obserwować przebiegu tej akcji. Pojechaliśmy więc z powrotem i minąwszy cmentarz, wjechaliśmy ponownie do wioski.

Nasi grenadierzy pancerni uruchomili już kilka rosyjsko-amerykańskich ciężarówek, a z pozostałych, uszkodzonych wozów, spuścili bezcenną dla nas benzynę. Wjechaliśmy do wioski — wszędzie leżały bogate łupy, mnóstwo dobrych rzeczy, które Sowieci musieli zostawić. Przeważnie były to towary zdobyte przez nich w ruchomych niemieckich kantynach: konserwy owocowe, puszki z mięsem, papierosy i tytoń, czyli niemal wszystko, czego pragnie żołnierskie serce. W wiejskich domach natomiast stały na stołach ugotowane

kurczęta jako że towarzysze sowieccy wyróżnili wszystkie domowe zwierzęta i drób, choć chyba nawet nie przypuszczali, że Niemcy tu powrócą i zjedzą im to wszystko.

Siedzieliśmy więc nad dymiącymi talerzami i napychaliśmy sobie brzuchy podczas gdy na zewnątrz słychać było trzask i huk szalejących pożarów. Wcale nam nie przeszkadzało, że z kątów pomieszczeń dochodził smród pozostawionych przez Rosjan odchodów.

Po tej „przekąsce” wsiedliśmy do naszych czołgów i ruszyliśmy z powrotem do głównej drogi, a potem w morderczym tempie pognaliśmy przez las w kierunku skrzyżowania dróg. Wkrótce natknęliśmy się na nasze czołowe czołgi. Po lewej ręce paliły się jasnym ogniem dwie zagrody. Na chwilę zajęli w nich stanowiska obronne Sowietci, którzy powitali nasze czołgi silnym ogniem. Zobaczyliśmy dymiące jeszcze kłębami czarnego, gęstego dymu wraki dwóch T-34 i jednego działa szturmowego.

Kapitan Küspert wypytał dowódców czołgów o sytuację, a potem wydał rozkaz do dalszego ataku. Z lewej strony pojawiła się grupa czołgów, podczas gdy pojazdy obok nas obserwowały skraj lasu i przy pojawiającym się oporze natychmiast wspierały ogniem nasze atakujące wozy. Kołyszące się czołgi poruszały się przed nami jak na poligonie, na przemian pędząc do przodu i strzelając. Kiedy przekroczyły drogę prowadzącą do Ostrowite, zakręciły szerokim łukiem na prawo, w kierunku płonących zabudowań gospodarczych. Zobaczyliśmy, że jadący na ich pancierzach grenadierzy zeskoczyli na ziemię i zaczęli przeszukiwać budynki, podczas gdy czołgi wolno jechały za nimi, tocząc się niczym walce przez płoty i zarośla.

My również przejechaliśmy przez skrzyżowanie dróg i mijając inne czołgi, wjechaliśmy do lasu już oczyszczonego z przeciwnika. Tutaj stworzono swego rodzaju pierścień bezpieczeństwa, wewnątrz którego zatrzymaliśmy się na noc”.

Tyle relacja Roberta Poensgena.

Nasz atak przyniósł nam sporą zdobycz terenu, a przede wszystkim zmusił Sowietów atakujących do tej pory bez zastanowienia, do zmiany nastawienia. Ale nasza akcja nie była jeszcze zakończona. Powróciwszy z narady w sztabie dywizji, dowódca naszego pułku, pułkownik Christern, wyjaśnił nową sytuację, w jakiej się znaleźliśmy:

— Dużymi siłami piechoty i jednostek pancernych Sowietci ruszyli do ataku na zachód od Wisły, posuwając się na północ. Ich celem jest zniszczenie naszych linii obronnych od tyłu oraz odcięcie pod Grudziądzem dywizji niemieckich walczących dalej na wschód od rzeki.

Ogłoszone twierdzą i oblegane od dwóch tygodni przez Sowietów miasto Toruń, leżące już 40 kilometrów przed liniami niemieckimi, zostało poddane. Dzielna załoga twierdzy, głównie siły 73. i 31. Dywizji Piechoty, nie poddały się Sowietom, ale wyrwały ze stalowego pierścienia i jako wędrujące wyspy oporu zbliżały się do niemieckich linii obronnych na Wiśle, akurat w tym momencie znajdujących się w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Należało więc działać

bardzo szybko i zdecydowanie.

Dlatego też dowództwo dywizji rozkazało wykonać następnego dnia atak grupy pancernej na wschód, w kierunku Julianowa, z potrójnym celem: odwrócenia uwagi Sowietów, odciążenia uwikłanej w trudnym boju 542. Dywizji Grenadierów Ludowych i otwarcia oraz utrzymania przejścia dla przebijającej się w stronę naszych linii Grupy Toruń.

O świcie 3 lutego pancerna grupa bojowa 4. Dywizji Pancernej, której przydzielono rezerwy paliwa całego korpusu, wyruszyła z rejonu Błądzina w kierunku wschodnim. Mimo gwałtownej obrony przeciwpancernej udało się nam osiągnąć wyznaczony cel, jednakże wraz z zapadnięciem zmierzchu grupa bojowa musiała powrócić z Julianowa do Ostrowite, ponieważ na jej tyłach pojawiły się silne sowieckie związki pancerne, składające się głównie z czołgów typu „Józef Stalin”.

Z tego powodu na dzień 4 lutego podporządkowano dywizji 664. batalion ciężkich czołgów. Dzięki temu udało się powiększyć zdobycze terytorialne w kierunku wschodnim i utrzymać je 5 i 6 lutego.

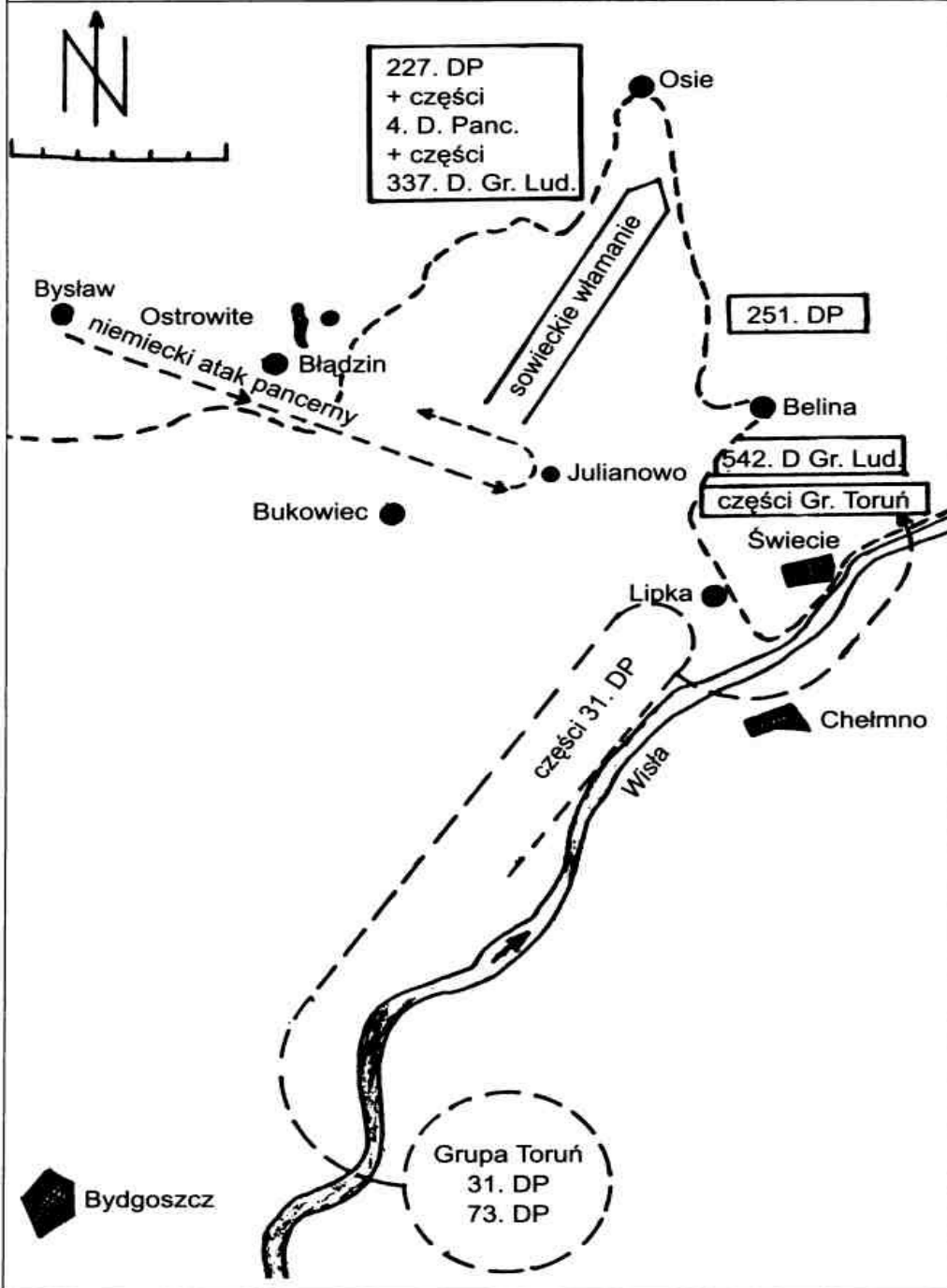
7 lutego Grupę Toruń skierowano przez radio w stronę Lipki, położonej 3 kilometry na południe od Świecia, aby pod ochroną naszego ataku przebiła się do niemieckich linii obrony.

8 lutego do skrajnego lewego skrzydła naszych linii obrony dotarło 80 ludzi z załogi twierdzy Toruń. Ściągała ich lawina ognia: salwy z dział i granatników, a nawet bomby zrzucone przez samoloty wroga.

10 lutego odcinek broniony przez naszą 4. Dywizję Pancerną, sięgający od Osi po Sępólno Krajeńskie, został zaatakowany przez dwie sowieckie dywizje strzelców wspieranych przez mniej więcej 50 czołgów. Sowieckie szturmowce strzelały do wszystkiego, co się ruszało się na ziemi, utrudniając komunikację z tyłami. Celem ich niemal nieprzerwanych ataków była przede wszystkim tak ważna dla dostaw zaopatrzenia stacja kolejowa w Tucholi.

Na szczęście, w końcu w nocy na 11 lutego dotarła do niemieckich linii obrony reszta załogi twierdzy Toruń. Dłużej nasze oddziały nie były już stanie powstrzymać sowieckiego naporu.

SYTUACJA W DNIU 5. 2. 45 POD ŚWIECIEM GRUPA TORUŃ



„Na najwyższe uznanie zasługują dokonania dzielnego, sprytnie prowadzonego oddziału, któremu udało się dotrzeć do niemieckiego frontu. Ten wyczyn był możliwy jedynie dzięki silnej woli i wielkiej dyscyplinie, które nie pozwoliły tym żołnierzom zwątpić i oddać się do niewoli“ — tymi słowami, zapisanymi w historii 4. Dywizji Pancernej, generał von Saucken, późniejszy naczelny dowódca 2. Armii, docenił działania części 73. i 31. Dywizji Piechoty.

12 lutego gwałtownie poprawiła się sytuacja sprzętowa naszych jednostek bojowych. Wszystkie kompanie 12. Pułku Grenadierów Pancernych wyposażono w transportery opancerzone, tak samo jak sztab pułku i pluton łączności.

Z kolei do naszego 35. Pułku Pancernego dotarły — przydzielone już dawno na papierze — czołgi Panzer IV i Jagdpanzer IV, a 103. Pułk Artylerii wzmocniono brakującymi działami.

Jednak co się tyczy sytuacji personalnej, to pozostawała nadal katastrofalna. Co prawda, z uzupełnień dotarło do dywizji 400 żołnierzy, ale nasze straty były wielokrotnie większe. I tak na przykład 33. Pułk Grenadierów Pancernych liczył 11 lutego tylko 12 żołnierzy, którzy na dodatek byli krańcowo wyczerpani. I tych 12 ludzi miało bronić odcinka frontu o długości 12 kilometrów. Z tego właśnie powodu bieżąca obrona frontu była po prostu niemożliwa. W konsekwencji na początku lutego utracono kontakt z przerzuconą również z Kurlandii 32 Dywizją Piechoty, która walczyła na zachód od naszej 4. Dywizji Pancernej.

Zamiary Sowietów rysowały się wyraźnie: dzień i noc ich bombowce oraz samoloty szturmowe atakowały stacje kolejowe w Tucholi i Chojnicach, w ten sposób paraliżując całkowicie ruch na torach. Nasza 4. Dywizja Pancerna otrzymała na początek zadanie przeszkodzenia ofensywie Sowietów w kierunku Tucholi, ponieważ na skutek braku paliwa oddziały niemieckie skazane były głównie na transport kolejowy. Oczywiście, Sowietci też o tym wiedzieli.

Losy bitwy o Tucholę przechylały się raz w jedną, raz w drugą stronę. Z powodu braków kadrowych, obrona niemiecka była tylko punktowa, opierająca się na pojedynczych, bazowych punktach oporu. Nieobsadzoną linię obrony między tymi ogniskami oporu przerwały sowieckie czołgi z piechotą na burtach, zagrażając obrońcom atakiem od tyłu. Wysłany wieczorem 12 lutego radiogram 4. batalionu rozpoznawczego naświetla nam ówczesną, rozpaczliwą pokazując jednocześnie twardą wolę powstrzymania wroga: „Powrót do Oswalden. Obrona okrężna oddziałami rozproszonymi“.

W lukę, jaka powstała między 32. Dywizją Piechoty i 4. Dywizją Pancerną, wprowadzono ściągniętą właśnie przez Gdańsk, mocno nadwerężoną 389. Dywizję Piechoty. Tu i ówdzie front zaczynał znowu pękać, ale kolejny radiogram dodał wszystkim nowym siłom, by przetrzymać tę trudną sytuację: „Nadchodzi 7. Dywizja Pancerna!“.

Tak ważna dla dostaw zaopatrzenia stacja kolejowa w Tucholi musiała wstrzymać pracę 13 lutego, nie tylko z powodu stałych ataków sowieckich samolotów szturmowych, ale również i permanentnego, skomasowanego ognia

nieprzyjacielskich granatników i ciężkich dział. Nie można było już przeładowywać zaopatrzenia ani odprawiać transportów z rannymi. Energicznie przeprowadzony kontratak 32. Dywizji Piechoty na zachód od naszych pozycji dał nam chwilę wytchnienia, przede wszystkim w rejonie na południe od Chojnic. Teraz jednak przerwana została komunikacja z rejonami położonymi na wschód — z 227. Dywizją Piechoty. Niebawem, w efekcie kontrataku naszego 35. Pułku Pancernego, połączenie to znowu nawiązano. Impet sowieckiego ataku utrzymywał się nadal w ciągu 14 i 15 lutego. Szeregi niemieckie przerzedzały się jednak w coraz większym stopniu, głównie z powodu materiałowej przewagi przeciwnika. W celu uniknięcia walk w mieście, które pociągnęłyby za sobą potężne straty, w nocy na 15 lutego oddano Tucholę bez walki.

O bezwzględności tej walki o czas świadczyć mogą następujące dane liczbowe: w okresie od 10 do 14 lutego w rejonie Tucholi 4. Dywizja Pancerna zniszczyła 99 wrogich czołgów, 12 dział szturmowych, 2 czołgi zwiadowcze i 41 dział artylerii przeciwpancernej.

O wiele ważniejsze były jednak inne fakty: w znaczny sposób opóźniona została ofensywa Armii Czerwonej w kierunku północnym, udało się też zapobiec ostatecznemu przełamaniu frontu, co przyniosło efekty w postaci zdobytego czasu, tak ważnego dla w miarę bezpiecznego marszu fali uciekinierów do portów nadbałtyckich i ich transportu do Szlezwika-Holsztynu. Niestety, i ta fala uciekinierów poniosła znaczne straty wskutek stałych ataków sowieckich samolotów szturmowych i bombowców.

16 lutego niemieckie linie obrony przebiegały około 3 kilometrów na północ od Tucholi. Jednostki niemieckie miały znowu połączenie ze wschodem i zachodem. Krótka chwila oddechu dobrze zrobiła nam wszystkim.

4. batalion rozpoznawczy do 16 lutego samodzielnie bronił miejscowości Chojnice, aż w końcu zastąpiła go przerzucona wreszcie w ten rejon 7. Dywizja Pancerna, która jednak była w stanie bronić Chojnic tylko do 18 lutego. Tego właśnie dnia kapitan Kästner zameldował z Gdańska o przybyciu z Kurlandii 27 czołgów „Panter” i przydziale drogą administracyjną kolejnych 23 sztuk czołgów tego typu. „Pantery”, noszące również nazwę Panzer V, były ciężkimi wozami bojowymi najnowszego typu, wyposażonymi w silniki o mocy 700 PS i bardzo precyzyjne, długie działo kalibru 75mm, mogące zniszczyć także czołgi typu „Józef Stalin”. Ale nowo przydzielone czołgi dotarły do jednostki transportem kolejowym przez Czersk do Karsina dopiero 24 lutego.

W czołgi te został wyposażony 1. batalion naszego 35. Pułku Pancernego pod dowództwem kapitana Kästnera, który używał ich niemal wyłącznie również i w Kurlandii. Byliśmy więc teraz znowu pułkiem pancernym o prawie pełnym stanie bojowym, z dwoma batalionami o tak dużej sile ognia, jak rzadko kiedy do tej pory.

Ponieważ należało oczekiwać, że także i w przyszłości oba bataliony walczyć będą oddzielnie w różnych ważnych miejscach, ich radiostacje zaś pracujące na falach ultrakrótkich miały zasięg tylko od 10 do 15 kilometrów, każdemu

batalionowi przydzielono pułkowy czołg dowodzenia „Panterę”. Oprócz radiostacji pracującej na falach ultrakrótkich „Pantery” dysponowały także radiostacją o mocy 80 watów, mającą o wiele większy zasięg. Pułkownik Christern siadł wraz ze swoją załogą dawnego wozu dowodzenia do wyposażonego w radiostację transportera opancerzonego, w którym było również i moje miejsce.

Nasza 4. Dywizja Pancerna została podzielona i jej części włączono jako armijną rezerwę kontratakującą, do różnych grup bojowych. Jak można się było obawiać, poszczególne części naszego 35. Pułku Pancernego przydzielano do poszczególnych grup, w tym również jednostek piechoty, którym często brakowało doświadczenia w odpowiednim zastosowaniu tej bardzo cennej broni.

Z TUCHOLI DO STAROGARDU GDAŃSKIEGO

Właściwie powinniśmy mieć teraz możliwość sprawdzenia i ewentualnej naprawy sprzętu technicznego, ale 20 lutego Sowietci zaatakowali dużymi siłami na wschód od Czarska linie naszego frontu bronione przez 251. Dywizję Piechoty i przysporzyli jej tak dużych strat, że ta się kompletnie „rozleciała”, jak się wyrażono w Korpusie.

Grupa bojowa kapitana Kelscha zaatakowała skomasowaną siłą ogniową, wchodząc w powstałą w linii frontu lukę, idąc naprzeciw napierającym Sowiecom; doszło do zderzenia z wrogiem właśnie w chwili, gdy ten miał zamiar przekroczyć most pod Zimnymi Ździejami. Sowietci zostali odepchnięci, ponosząc ciężkie straty, a most wysadzony. W ten sposób stworzono możliwość odparcia wszystkich późniejszych ataków nieprzyjaciela.

Grupa bojowa pułkownika Hoffmanna uderzyła w tym czasie na Rosjan od tyłu, odbijając niedawno utraconą miejscowość Klaniny.

W czasie dalszych kontrataków, jakie miały miejsce 21 lutego, ponownie nawiązano przerwany uprzednio kontakt z 73. Dywizją Piechoty i przeprowadzono 251. Dywizję Piechoty na stanowiska obronne.

Razem z naszymi czołgami grupa bojowa Hoffmanna uderzyła potem dalej, wychodząc z Czarnej Wody i kierując się na południowy zachód aż od Łągu. Następny kontratak wykonany tego samego popołudnia, siłami 2. batalionu 35. Pułku Pancernego, 4. pancernego batalionu rozpoznawczego i 1. batalionu grenadierów pancernych 12. Pułku, znowu pod dowództwem pułkownika Hoffmanna, wyprowadzony z Karsina w kierunku południowym, przyniósł sukces w postaci odzyskania położonych na zachód od Czarska miejscowości Gutowiec i Rytel. W ten sposób udało się zamknąć lukę wyrwaną w naszych liniach obronnych.

22 lutego 4. batalion rozpoznawczy musiał ponownie zamykać wyłom, jakiego dokonał nieprzyjaciel, w pasie obrony 251. Dywizji Piechoty. Na rozkaz z Korpusu 73. Dywizję Piechoty wzmocniono jedną z naszych kompanii czołgów.

Wbrew wyobrażeniom szefa kompanii, czołgów użyto w sposób całkowicie nieodpowiedni, mianowicie na terenach leśnych, rozciągających się na północ od miejscowości Jastrzębie, na dodatek pozbawiając je eskorty piechoty. Fiasko tego przedsięwzięcia nastąpiło niemal natychmiast — dwa czołgi Panzer IV zostały zniszczone przez Sowietów, zanim w ogóle weszły do akcji.

23 lutego pancerna grupa Hoffmanna musiała przyjść z pomocą mocno naciskanej 227. Dywizji Piechoty, atakując z Zawady. Niestety, również i tutaj nie wykazano zrozumienia dla specyfiki działań broni pancernej, mianowicie tego, iż czołgi mogą walczyć skutecznie tylko w grupie. Dowodził tego rozkaz bojowy:

„2 czołgi Panzer IV z plutonem grenadierów jako prawym sąsiadem, 3 czołgi Panzer IV i jedno działo szturmowe na wysokości punktu 147 do ataku na Łąg Kolonię. 2 czołgi Panzer IV jako zabezpieczenie linii kolejowej na południe od Starego Łągu”. Efekt: 23 lutego cała ta pancerna grupa bojowa miała już tylko 8 zdolnych do działania czołgów.

Myślą przewodnią generała-pułkownika Guderiana było: „Nie bawić się drobiazgami, tylko bić na odlew z całej siły!”, tyle, że mimo doświadczeń, zasada ta była ciągle łamana.

Czołgi były wysoko rozwiniętymi technicznie pojazdami z bardzo wrażliwymi, ulegającymi łatwo uszkodzeniom urządzeniami, które wymagały stałej kontroli i napraw. Najmniejsze uszkodzenie w czasie walki mogło prowadzić do całkowitego wyłączenia czołgu z akcji i utraty cennej broni. Z braku zrozumienia technicznych problemów braku wiedzy o możliwościach zastosowania broni pancernej, sposobu walki czołgów i granic ich możliwości, po części jednak z powodu egoistycznego i ograniczonego myślenia, a w pewnych przypadkach nawet brutalnego wykorzystywania posiadanej władzy, przekazywanie jednostek czołgowych do oddziałów niezmotoryzowanych prowadziło do strat i porażek, za które później chętnie winą obciążano załogi czołgów. Z tego też względu każdemu dowódcy czołgu przechodził dreszcz po plecach, gdy słyszał rozkaz podporządkowania się piechocie.

Od 1 lutego nasz 35. Pułk Pancerny walczył bez przerwy we wszystkich krytycznych miejscach toczących się w tamtym rejonie ów bez możliwości dokonywania koniecznych napraw czy konserwacji sprzętu. Na skutek tego dochodziło do wielu awarii, których można było uniknąć. Liczba nadających się do akcji czołgów zmniejszała bez przerwy w sposób istotny. Dalszą przeszkodą w akcjach był jeszcze oczywiście permanentny brak paliwa i amunicji.

Mimo to, bez przerwy na odpoczynek, musieliśmy pomagać w miejscach, gdzie się akurat paliło, na przykład pod Toruniem, idąc na odsiecz zdziesiątkowanej 73. Dywizji Piechoty czy znajdującym się w poważnych tarapatkach 251. i 227. Dywizjom Piechoty. Na skutek ciągłego działania jako „straż pożarna”, podczas śnieżycy i przy rozmiękłej ziemi, nasze załogi były bardzo zmęczone i wyczerpane.

25 lutego do walki weszły po raz pierwszy przydzielone do 1. batalionu czołgi „Pantery” i Jagdpanther. Terenem zaciętych walk stały się teraz rejony w okolicy

Starogardu Gdańskiego i na południe od Kościerzyny.

Hermann Bix, starszy sierżant i dowódca plutonu w 1. batalionie 35. Pułku Pancernego, tak opisuje jeden z wielu ataków, jakie wówczas przeprowadzano:

„Byliśmy bardzo niezadowoleni, gdy zamiast znanych nam i obiecanych czołgów Panzer otrzymaliśmy maszyny Jagdpanther, które w panującym ogólnym zamieszaniu nie dotarły tam, gdzie były przewidziane, czyli do batalionu dział szturmowych.

Potem jednak przyjrzeliliśmy się nieco bliżej tym maszynom: wozy nie miały obrotowych wież i należało ustawiać się do strzału całym czołgiem, więc było się zbyt długo wystawionym na widok przeciwnika.

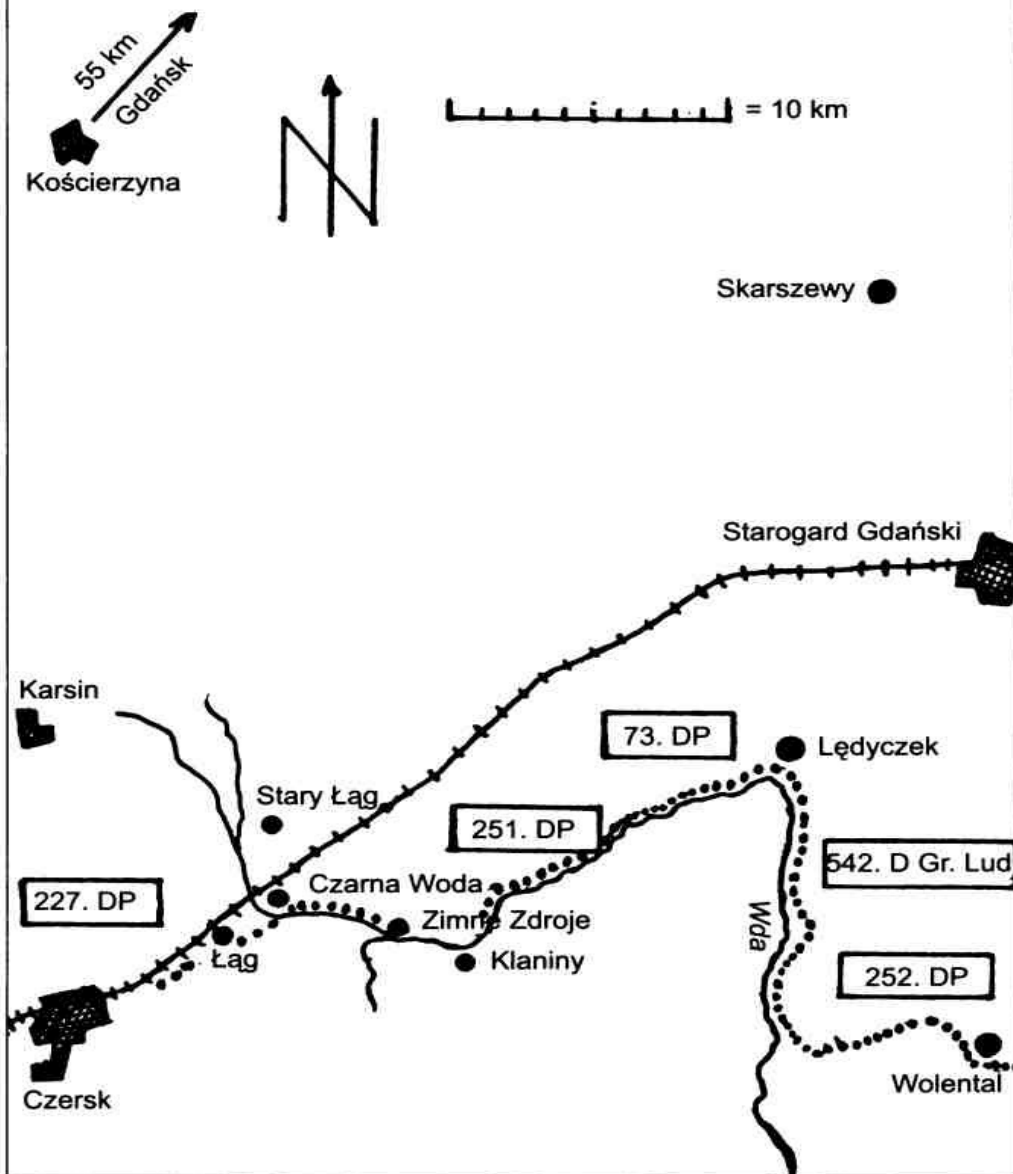
Patrząc jednak z innej strony, ten stalowy kolos o bardzo niskim zawieszeniu dysponował doskonałą armatą kalibru 88 mm o bardzo dużej sile przebicia, bajecznym zasięgu i niezawodnej celności. Tak więc szybko zapomnieliśmy o nietypowych i nieznanym nam do tej pory cechach Jagdpanther i zabraliśmy się intensywnie do zapoznawania się z ich zaletami. Niebawem mieliśmy mieć okazję, by je wykorzystać.

Był koniec lutego 1945 roku. Wraz z trzema takimi czołgami typu Jagdpanther stałem na południe od Starogardu Gdańskiego, zabezpieczając zbiórkę grenadierów i tworzenie nowych linii obronnych. Wszyscy się cofnęli, a na białym tle leżącego śniegu widać było tylko ciemną plamę małego wzgórzka — opuszczonych niemieckich okopów. Z moim Jagdpanther stałem w jakiejś małej wiosce, ukryty za kupą nawozu tak, że akurat mogłem coś ponad nią widzieć; ponad nią wystawała też jeszcze lufa mojego działa. Płaska pokrywa wieżyczki wystawała tylko kilka centymetrów ponad nasze schronienie.

Za mną stał starszy sierżant Dehm i jeszcze jeden Jagdpanther. Oba czołgi nie miały już prawie amunicji. Bez granatów jednak obie załogi były dla mnie tylko obciążeniem. Poleciałem im więc, aby się nieco wycofali.

Kiedy mgła wolno się uniosła, pojawiły się przed nami dwa sowieckie czołgi, które powoli i ostrożnie zaczęły się do nas zbliżać. Gdy były oddalone od nas już tylko o 1200 metrów, zorientowałem się, że nie są to T-34 ani KW-1, tylko czołgi produkcji amerykańskiej. Wiedziałem z doświadczenia, że łatwo je było uszkodzić z tej odległości. Bez problemów więc nasze pociski zapaliły oba czołgi i przez pewien czas żaden Iwan nie odważył się wystawić nosa zbyt daleko ze swych kryjówek.

SYTUACJA W REJONIE MIĘDZY CZERSKIEM
I STAROGARDEM GDAŃSKIM
21 LUTEGO 1945



niemiecka przednia linia obrony;

DP = Dywizja Piechoty

D Gr. Lud. = Dywizja Grenadierów Ludowych

W wiosce z kolei, pozycje obronne zajęli ludzie z naszych załóg, które utraciły czołgi; w ten sposób byłem zabezpieczony przed niespodziankami z prawej i lewej strony, jako że z czołgu ma się dość ograniczone pole widzenia, a poza tym nie można mieć oczu naokoło głowy.

Mniej więcej pół godziny po zniszczeniu dwóch czołgów sowieckich usłyszałem odgłosy silników z prawej strony, z odległości około 1000 metrów. Niebawem zobaczyłem dwa nieprzyjacielskie pojazdy, które chciały objechać naszą wioskę. Moje działo kalibru 88 mm strzelało na tę odległość tak dokładnie, że w zasadzie nie zdarzyły nam się strzały niecelne. Wkrótce oba sowieckie czołgi paliły się gwałtownym ogniem.

Zrozumiałem szybko, że Sowietci szukają naszego słabego miejsca, aby dokonać w nim wyłomu. Należało więc zachować czujność na całym froncie, ponieważ byłem praktycznie sam w tym szerokim korytarzu. Oba pozostałe Jagdpanther wycofały się za moją zgodą, praktycznie nie miały już amunicji. Mój celowniczy zameldował natomiast, że mamy w zapasie jeszcze 5 granatów odłamkowo-burzących i 20 pocisków przeciwpancernych.

Gdzieś w okolicy musiał stać ze swymi Panterami mój dowódca kompanii, podporucznik Tautorus. Zgłosiłem mu przez radio miejsce postoju oraz małe zapasy amunicji i w odpowiedzi usłyszałem rozkaz powstrzymywania Sowietów tak długo, jak to tylko możliwe, ponieważ piechota jeszcze nie skończyła budowy umocnień.

W tym czasie zabezpieczające nas grupy spieszonych pancerniaków i piechoty musiały się wycofać z wioski, aby nie stracić kontaktu z resztą oddziałów. W tej sytuacji więc nie mogłem dokładnie obserwować, co się dzieje po mojej prawej i lewej stronie. Gdyby Sowietci wmaszerowali tam czwórkami i krokiem defiladowym, nikt z nas by ich nie zauważył.

Biorąc to pod uwagę, tym dokładniej obserwowałem leżące naprzeciwko mnie wzniesienie; wkrótce zauważyłem, że na jego zboczu Sowietci bez żenady utworzyli dwa stanowiska dział przeciwpancernych. Czyżby chcieli w ten sposób złapać mnie za gardło? Kazałem załadować granat burzący, podałem namiary i: łup! — w powietrze wyleciały szczątki drewnianych umocnień i kawałki jakichś szmat. A więc chłopcy chcieli nas wprowadzić w błąd i zbudowali tam atrapy, aby takim wybiegiem ściągnąć na nie ogień. Wcale sprytnie! A my dumie natychmiast daliśmy się nabrać na ten podstęp. Drugi raz mi się to nie zdarzy. Żałowałem tylko cennego granatu, który wystrzeliliśmy bezsensownie.

Zachowywałem się więc cichutko jak myszka, kładąc nawet cofnąć mój czołg o kilka metrów, aby nie było nas widać od przodu. Teraz, gdy wystawiłem głowę z wieżyczki, mogłem już cokolwiek zobaczyć.

Po chwili prawie nie mogłem uwierzyć własnym oczom: prosto na mnie jechała długa kolumna pancerna. Pierwszy z czołgów był oddalony już tylko o 1200 metrów, a za maszynami bojowymi jechały wozy zaopatrzenia.

Już przedtem ustaliłem w okolicy kilka punktów odniesienia i na wszelki

wypadek obliczyłem odległości do nich. Mogłem się więc teraz odważyć na strzelanie pociskami przeciwpancernymi do czołgów jadących na czele, gdy pierwszy z nich zbliżył się do punktu oddalonego ode mnie o 800 metrów.

Nie wiem, dlaczego, lecz mój zazwyczaj doskonały celowniczy nie trafił za pierwszym strzałem w nieprzyjacielski czołg, ale w potężne drzewo stojące obok, na skraju drogi. Pień złamał się wpół, a korona spadła na prowadzący czołg, którego kierowca stracił orientację, gdy gałęzie nagle zasłoniły mu widok; ześliznął się przodem do głębokiego rowu i utknął w nim bez ruchu.

Idące za nim kolejne czołgi podeszły blisko niego i zatrzymały się, nie zauważając mnie jednak. Ich wieżyczki skrzyły po kolei w prawo, a działa zaczęły strzelać beładnie do odcinających się od śniegu ciemnych kretowisk opuszczonych przez naszą piechotę okopów.

Teraz nadeszła nasza kolej — mieliśmy w zasadzie łatwą sprawę, ponieważ wieżyczki czołgów przeciwnika były odwrócone do nas szerszymi bokami. Musieliśmy tylko starannie celować, jako że mieliśmy bardzo ograniczone zapasy pocisków. Jeśli pozostałby cały choćby tylko jeden czołg przeciwnika, a my wystrzelilibyśmy całą amunicję mogłoby się to dla nas źle skończyć.

Dlatego kazałem najpierw ostrzelać czołg jadący w środku kolumny, który po pierwszym strzale natychmiast stanął w płomieniach. Następnie przyszła kolej na czołg jadący na końcu. Strzał — także i on stał w ogniu. A potem strzelaliśmy już z łatwością po kolei do następnych Iwanów, jako że teraz mieliśmy ich przed sobą jak na strzelnicy.

W ciągu dziesięciu minut zniszczyliśmy 11 czołgów sowieckich jadących w tej kolumnie. Reszta, w panice, usiłując zawrócić, powjeżdżała do rowów, gdzie oślepił je dym i płomień długiego szeregu palących się pozostałych czołgów.

Wydałem rozkaz ostrzelenia także i ciężarówek z zaopatrzeniem, jednak celowniczy zgłosił, że mamy już tylko dwa granaty. Wystrzelaliśmy również całą amunicję do karabinów maszynowych. Najwyższy czas, aby zniknąć ze sceny, gdyż bez amunicji nawet najlepszy czołg jest bez wartości.

Powoli zaczęliśmy się wycofywać, ale ziemia w tym miejscu była bardzo miękka, jakby to grzęzawisko wcale nie miało dna; nie można tu było zakręcić czołgiem. Mogliśmy tylko bardzo ostrożnie cofać się — metr za metrem — aby wyjść z pola widzenia wrogiej kolumny pancernej, która powoli stawała się znowu coraz bardziej odważna.

Ciężki silnik naszego czołgu zawył głośno z wysiłku. Byliśmy oddaleni od twardego gruntu już tylko o kilka metrów. Jednak gdy tylko kierowca dodawał trochę gazu, gąsienice zaczynały mieć błoto w miejscu. W pewnej chwili ogarnęło mnie przerażenie, paraliżując niemal wszystkie moje członki — przed nami, z prawej strony, w odległości 300 metrów, stał we wsi w całej okazałości sowiecki czołg. Niezauważony przez nas, jakimś cudem prześliznął się przez okolice, przemykając między domami; sam też nie spodziewał się zastać tutaj niemieckiego czołgu.

Bez względu na to, jak to się stało, w każdym razie Iwan nas zauważył — i ja

musiałem beczynn timer przyglądać się, jak wieżyczka wolno zaczęła się obracać w naszym kierunku. Nie mogliśmy zrobić tego samego, jak wszystkie bowiem, skądinąd doskonale niszczyciele czołgów, nasz Jagdpanther miał nieruchomą wieżę.

A potem sowiecki czołg się zatrzymał. Doskonale wiedziałem, że znalazł się w sytuacji strzeleckiej. Zacząłem wykrzykiwać, nie, wyrzaskiwać rozkazy:

— Z powrotem i skręć w lewo! Stój! W miejscu skręć w lewo!

Ale nasz wóz ugrzązł w błocie i reagował wolno, bardzo wolno, na pociągnięcia drążka kierowniczego. Bardzo się zdenerwowałem, a mój niepokój przeniósł się od razu na resztę załogi. Ładowniczy, który jako pierwszy poczuł, co się święci, przypomniał mi:

— Mamy jeszcze tylko dwa pociski przeciwpancerne.

Serce biło mi coraz mocniej. Poczułem się bardzo dziwnie — nie mogliśmy ustawić się w pozycji strzeleckiej. Tylko mój kierowca wiedział, co się działo, gdyż dobrze znał sposób wydawania przeze mnie rozkazów, gdy chodziło o ustawienie czołgu w pozycji do oddania strzału.

Nie chciałem się do tego przyznać, ale wiedziałem już, że nie uda się poruszyć naszego stalowego kłosa, który w głębokim błocie posuwał się tylko centymetr za centymetrem. A działo sowieckiego czołgu było już wycelowane dokładnie w nas. Spojrzałem w prawo — czyżbym miał omamy? sowiecki czołg stał trochę za wysoko!

Drgnąłem gwałtownie i poczułem nagłe szansę ratunku. Uważnie przyglądałem się każdemu ruchowi Rosjanina. Nie umknął mi najmniejszy drobniaczek. A potem mój przeciwnik popełnił zasadnicze błęd. Jego kierowca, sądząc, że może sobie pozwolić na powolne działanie, postanowił ruszyć się nieco bardziej do przodu, ponieważ jego czołg opadł z tyłu trochę zbyt nisko. I w tym momencie jego gąsienice zaczęły się z tyłu zagrzebywać coraz bardziej w błocie, w tamtym miejscu również bardzo głębokim.

Jeszcze kilka sekund wcześniej gotów byłem się poddać: „Hermann zrób szybko rachunek sumienia! Zaraz będzie po wszystkim!”. Teraz jednak zobaczyłem dla nas szansę ratunku. „Zachowaj spokój!” — nakazałem sobie. Nasz czołg wolno skręcał w miejscu i po chwili znaleźliśmy się w pozycji strzeleckiej. Działo znajdowało się na odpowiedniej wysokości i było gotowe do oddania strzału. Celowniczy dokładnie sprawdził odległość. Nasz przeciwnik coraz bardziej zapadał się tyłem w błoto i robił wszystko, naprawdę wszystko, stosując wszelkie tricki, aby maksymalnie opuścić lufę swojego działa.

Nagle we wrogim czołgu otworzył się gwałtownie luk wieżyczki. Pojawiły się w nim dwie ręce, które zaczęły do nas machać. Czy jego załoga chciała się poddać, czy też miała zamiar nas zwozić? Byliśmy przyzwyczajeni do różnych podstępów. Nie, nie wolno mi było ryzykować. Dlatego wystrzeliliśmy nasz przedostatni pocisk w burtę przeciwnika. Dla pewności i na wszelki wypadek. Jego załoga zaczęła szybko wyskakiwać: jeden, dwóch, trzech, czterech. Teraz wszystko w porządku: *charaszo!*

Na koniec wystrzeliliśmy ostatni granat do sowieckiego czołgu, który natychmiast stanął w ogniu: To był nasz szesnasty sowiecki czołg zniszczony tego przedpołudnia.

A potem całą moc ą ruszyliśmy do tyłu. Czołg bez amunicji nie był w szóstym roku wojny wart feniga.

Tak, na wojnie człowiek musi mieć szczęście. I oczy wokół głowy... i jeszcze czołg Jagdpanther... no i taaaką załogę”

Uwaga końcowa: starszy sierżant Hermann Bix był w 35. Pułku Pancernym dwudziestym trzecim żołnierzem, który za zniszczenie 75 nieprzyjacielskich czołgów podczas kampanii wschodniej został 22 marca 1945 roku odznaczony Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego.

MARZEC — KALENDARIUM WYDARZEŃ W PRUSACH ZACHODNICH

- 3.3.45 — Oddziały Armii Czerwonej docierają do ujścia Odry pod Szczecinem.
- 5.3.45 — Jednostki sowieckie docierają na wybrzeże Morza Bałtyckiego na Pomorzu. W ten sposób 2. Armia niemiecka zostaje odcięta w Prusach Zachodnich; jej zaopatrzenie jest możliwe tylko drogą morską przez Bałtyk. Twierdza Grudziądz wpadła w ręce Sowietów, podobnie Gniew — podpora nowego frontu nad Wisłą.
- 8.3.45 — Sowietci zdobywają Słupsk i Ustkę.
- 9.3.45 — Jednostki niemieckie opuszczają Malbork okrążony przez Sowietów od 25 stycznia.
- 10.3.45 — Niemiecka Kriegsmarine, wykorzystując okręty „Prinz Eugen”, „Schlesien” i „Leipzig”, włącza się po raz pierwszy do walk lądowych nad Zatoką Gdańską.
- 11.3.45 — Niemieckie jednostki wycofują się z Kartuz. Sowietci zdobywają Tczew. Generał v. Saucken przejmuje dowództwo naczelne nad 2. Armią niemiecką.
- 13.3.45 — Sowietci docierają pod Puckiem do Zatoki Gdańskiej i przerywają lądowe połączenie z Półwyspem Helskim. W ręce Sowietów dostają się Wejherowo i Szemud. Coraz większe transporty uciekinierów wychodzą drogą morską z portów w Gdańsku i Gdyni. 2. Front Białoruski pod dowództwem marszałka Rokossowskiego atakuje pięcioma armiami w kierunku Gdańska i Gdyni.

5 WYŚCIG DO GDAŃSKA

4 marca naszą 4. Dywizję Pancerną zaskakująco, z godziny na godzinę, przerzucono rozkazem z jej rejonu działania na północ od Czerska pod odległy o 50 kilometrów Bytów, aby „uspokoić sytuację”, w jakiej znalazła 32. Dywizja Piechoty.

Już 5 marca 35. Pułk Pancerny musiał w zdecydowany sposób wziąć udział w ciężkich walkach obronnych koło Tuchomia, 12 kilometrów na południe od Bytowa, ponieważ operująca tam nasza piechota — jak to określił rozkaz z Korpusu — „prawie nie była w stanie utrzymać pozycji”. Wozy bojowe pułku zniszczyły 12 sowieckich czołgów i jedno działo szturmowe. Konieczność wycofania się zauważono jednak również w przypadku kolejnych dywizji sąsiadujących z pułkiem na zachodzie. Front w tym rejonie zaczynał pękać.

W tej krytycznej sytuacji, 5 marca wieczorem o godz. 23.30, nadszedł do 4. Dywizji Pancerniej rozkaz z dowództwa Armii: „Utworzyć pancerną grupę bojową gotową do transportu drogą kolejową z miejscem wyjazdu w Dąbrówce, 6 kilometrów na zachód od Bytowa, dowództwo obejmuje — pułkownik Christern!”. A więc sytuacja musiała się gdzieś dramatycznie zaostriżyć. W tym momencie nie przeczuwaliśmy jeszcze, że właśnie 5 marca czołówki Armii Czerwonej dotarły do pomorskiego wybrzeża Morza Bałtyckiego koło Koszalina i nasza 2. Armia została odcięta od ojczyzny, tak że transport zaopatrzenia był już możliwy tylko drogą morską.

6 marca, o godz. 06.00, Grupa Christern została wyłączona z pułku i stała przygotowana do transportu kolejowego w Bytowie. W jej skład wchodziły: 1. batalion 12. Pułku Grenadierów Pancernych i wszystkie nadające się do użytku czołgi 35. Pułku Pancernego. Na miejscu musiały pozostać tylko niszcyciele czołgów Jagdpanzer IV Wszystkie pojazdy kołowe, zgodnie z rozkazem z Korpusu, miały być odstawione do rejonu zamkniętego miejscowościami Bukowa — Sierakowice — Mirowo. Nie brzmiało to zbyt pięknie.

Jak wyjaśniał rozkaz z dowództwa Korpusu: „4. Dywizja Pancerna znajduje się w obliczu szeroko zakrojonej operacji dyslokacyjnej. Nie należy liczyć jednak na dostawy potrzebnej ilości paliwa do wszystkich pojazdów. Nowy rejon działania znajduje się w okolicy Wejherowa w Prusach Zachodnich”.

Potem znowu nadmieniono, że niewielkie ilości paliwa mają być przeznaczone dla tak niezastąpionych, ważnych dla życia dywizji pojazdów, jak kuchnie polowe i sanitarki, i dostarczone będą po południu 6 marca na stację kolejową w Bytowie. Z racji tych ponurych prognoz nasza przyszłość wyglądała naprawdę czarno.

Padał śnieg, kiedy około godziny 09.00 pociąg towarowy z naszym

transportem opuszczał stację w Bytowie. Z każdą chwilą widoczność była coraz gorsza. Miało to też i swoją dobrą stronę, taka pogoda bowiem chroniła nas przez atakami sowieckich samolotów szturmowych i bombowców. Wjeżdżaliśmy jednak w mglistą niepewność, z bardzo mieszanymi uczuciami. Sytuacja była absolutnie niejasna, jako że nie wiedzieliśmy nic o przeciwniku. Nie prowadziliśmy już rozpoznania lotniczego, a nawet działań zwiadowczych bliskiego zasięgu wykonywanych przez batalion rozpoznania, ponieważ nie mieliśmy potrzebnego do tego celu paliwa. Prawie nie było również zeznań jeńców.

Z tego powodu wydano rozkaz, aby podczas transportu kolejną wszystkie czołgi i inne wozy bojowe obsadzono załogami i utrzymywano w gotowości bojowej, gdyż mogło się zdarzyć, że konieczne będzie dokonanie ataku bezpośrednio z wagonów kolejowych. Wszystkie radiostacje nastawiono na odbiór, ale nakazano zachowanie ścisłej „ciszy radiowej, co oznaczało, że nie wolno było nadawać, aby informacje przetrzucie naszych jednostek oraz o ich aktualnym miejscu pobytu nie zostały podsłuchane przez sowieckie stacje nasłuchowe i namiarowe. Sprawdzono również urządzenia wytwarzające zasłonę dymną w czołgach, żeby w razie niebezpieczeństwa błyskawicznie postawić ścianę mgły.

Pociąg towarowy z naszym transportem jechał powoli, niekiedy w tempie maszerującego człowieka, kierując się na północ. Stacje kolejowe, jakie mijaliśmy, były puste i opuszczone nawet przez kolejarzy. Z prawej i lewej strony torów nie widzieliśmy żadnej żywej istoty. Niczym upiorne zjawisko najeżony lufami transport przemykał przez śnieżycę. Lokomotywa znajdowała się w środku składu, a każdy czołg jadący na otwartej platformie miał przydzielony swój odcinek obserwacyjny i ogniowy. Urządzenia rozładunkowe leżały na każdym wagonie przygotowane do natychmiastowego użycia w otwartym terenie. Przez wszystkie lata tej wojny nie jechaliśmy jeszcze w taki sposób.

Na dodatek mieliśmy w zbiornikach paliwa tylko na 30 kilometrów i bardzo niewiele pocisków w zapasie. Krótko mówiąc: sytuacja była gówniana, a nasz nastrój opadł do punktu zerowego. Nikt nie miał w tym czasie żadnych dokładniejszych informacji, także i o tym, że kilka nadających się jeszcze do walki niemieckich grup bojowych prowadziło brzemienne w skutki wyścig z sowieckimi dywizjami o to, kto pierwszy dotrze do wybrzeża Morza Bałtyckiego.

Radiogram, jaki nadszedł późnym popołudniem z Korpusu, zaognił jeszcze rozchodzące się pogłoski: „Wróg przełamał obronę XXIII Korpusu Armijnego. Maszeruje w kierunku Gdańska. Utrzymywać w stanie gotowości bojowej pancerną grupę bojową 4. Dywizji Pancernej!”

W ciemnościach nocy nasz pociąg stanął dobrze ukryty w miejscu, gdzie tory przebiegały w zagłębieniu terenu. Kiedy wczesnym ranem 7 marca transport zbliżył się do leżącej 25 kilometrów na południe od Lęborka stacji kolejowej Dąbrówka, podsłuchaliśmy następującą informację przesłaną radiogramem: „Dąbrówka zajęta przez silne jednostki wroga”. Pułkownik Christern kazał

zatrzymać transport w miejscu, w którym przebywający w Dąbrówce nieprzyjaciel nie mógł nas zauważyć. Z oddali dobiegał hałas toczącej się bitwy. Ale istniała także miejscowość Dąbrówka, położona między Bytowem a Tucholą, i ta dzień wcześniej znalazła się na ustach wszystkich. Teraz nie mieliśmy pojęcia, która z tych dwóch Dąbrówek znajdowała się na naszej trasie kolejowej, a zapytać nie mogliśmy, jako że nadal obowiązywał nakaz absolutnej „ciszy radiowej”.

Pułkownikowi nie pozostało nic innego, jak w szczerym polu wyładować z wagonu swoją „jaskółkę” — samochód zwiadowczy wyposażony w radiostację — i udać się wraz z jej załogą na rozpoznanie, ponieważ nie mógł podjąć ryzyka dalszej jazdy pociągiem ani skierować do akcji swych czołgów przy tak ograniczonych możliwościach zaopatrzenia w paliwo. Wyjeżdżając na zwiad, Christern przekazał dowództwo nad grupą pancerną swemu adiutantowi, kapitanowi Petrellemu.

Jadąc szczerym polem, nasz prowadzący czołg dotarł do szerokiej, asfaltowej szosy wiodącej do Dąbrówki. Z początku jechaliśmy bardzo ostrożnie, a potem, stopniowo, coraz szybciej. Przez dwa kilometry nie zauważyliśmy dosłownie nikogo: żadnego wroga czy przyjaciela przebywających w tym szerokim korytarzu. Rzadko kiedy podczas tej wojny widziałem okolicę, w której nie słychać było huku nawet jednego wystrzału ani jakiegokolwiek dźwięku. Tak całkowicie wymarła okolica zaczynała stopniowo napełniać mnie grozą.

Ogarnęły mnie wątpliwości.

— Coś tu się nie zgadza!. Z pewnością nie ma tu już więcej niemieckich oddziałów, w przeciwnym razie gdzieś byłyby konwoje zaopatrzeniowe albo inne tego typu pojazdy transportowe — powiedziałem do dowódcy. Pułkownik Christern, człowiek bardzo energiczny i odważny, niekiedy nawet za bardzo jak na mój gust, machnął tylko lekceważąco ręką.

Jechaliśmy więc dalej i jechaliśmy, ciągle mając przed oczami ten sam obraz. Nagle zauważyłem po obu stronach szosy zamaskowane śniegiem świeże nasypy ziemne i zarośla, które absolutnie nie pasowały do tego zimowego krajobrazu.

— Panie pułkowniku, proszę spojrzeć przez lornetkę w tamto miejsce!

— Pewnie ma pan pełno w spodniach ze strachu, co Schüfler?! — usłyszałem w odpowiedzi ni to pytanie, ni to stwierdzenie. W trakcie wojny odzwyczaiłem się od tego, by okazywać zbytnią wrażliwość, ale na takie słowa nie mógł sobie pozwolić nawet mój dowódca. Stąd odpowiedź jaka mi się wyrwała, była bardziej drastyczna i głośniejsza aniżeli tego chciałem:

— Na Boga, nie! Ale po ostatnim razie mam już tego powyżej dziurek w nosie — podczas ostatniego bowiem, podobnego samodzielnego „wyczynu” naszego pułkownika, omal wszyscy nie zginęliśmy. Zupełnie niepotrzebnie poległ przy tym starszy wachmistrz Wegener, a ja zachowałem na pamiątkę mały odłamek w szczęce, a także dziurę w błonie bębenkowej.

Pułkownik Christern twardy wojownik, który był przyzwyczajony do dowodzenia 35. Pułkiem Pancernym z pierwszej linii, a przy tym nie mający do tej

pory pretensji o to, co mówię, spojrział nieco przerażony w moją stronę. Nie miałem jednak czasu na żadne usprawiedliwienia swojego wysoku, gdyż nagle odkryłem ukryte w rzadkich zaroślach sowieckie hełmy... i na dodatek potężną łufę ciężkiego działa przeciwpancernego, wycelowanego w nas.

— Jesteśmy w środku Rosjan! — wrzasnąłem do ucha zaskoczonego pułkownika. Ten niepoprawny optymista nadal był jednak pełen wątpliwości. Nachyliłem się więc do pleców kierowcy: — Na lewo do zagłębienia ze żwirem! Wjeżdżamy tam całym gazem! — wykrzyknąłem.

Pułkownik zaczął się głośno sprzeciwiać, pytając, kto tutaj właściwie dowodzi, ale pretensje utknęły mu w gardle, w powietrzu bowiem rozległ się świst pierwszych granatów przeciwpancernych przelatujących nad naszymi głowami. Kierowca nadepnął do końca na pedał gazu i popędził... a właściwie dosłownie poleciał całym czołgiem przez zaśnieżone pole, by za moment zahamować gwałtownie. Zaczęliśmy się zsuwać po stromym zboczu żwirowni, podczas gdy nad nami rozpętał się prawdziwy huragan ognia.

Dowódca pułku, nie będący zwolennikiem nadmiernie pospiesznej improwizacji, przez krótką chwilę patrzył mi w oczy, oszołomiony i niepewny. Ale już za moment życie wróciło do jego masywnej postaci.

— Schäufler, pan się zajmie tym! — wykrzyknął, wskazując brodą na radiostację.

Błyskawicznie nałożyłem na uszy słuchawki, przerzuciłem przełącznik na „nadawanie”, podczas gdy reszta załogi zgodnie z poleceniami dowódcy szybko zdjęła karabin maszynowy z obsady, by potem, uzbrojona w pistolety maszynowe i granaty ręczne, wedrzeć się na skraj wyrobiska i stamtąd zacząć gwałtowny ostrzał. Każdy z tych czterech mężczyzn wiedział, że następne minuty zadecydują o życiu nas wszystkich, a to w tej chwili naprawdę nie było wiele warte.

— Alpenrose, alpenrose, alpenrose! Pilnie zgłoś się! — W końcu w słuchawkach zapisało i ktoś zaskrzeczał: — Tu alpenrose. Co się stało?

Mój rozmówca z pewnością też już usłyszał odgłosy strzelaniny.

— Zostaliśmy tuż przed Dąbrówką okrążeni przez Rosjan i pilnie potrzebujemy pomocy. Przyślijcie tu kilka czołgów!

— Alpenrose, zrozumiałem. Jakie dokładnie jest wasze miejsce pobytu? Trzy czołgi są już w drodze i słuchają nas na tej częstotliwości.

— Jesteśmy w wyrobisku żwiru po prawej stronie szosy, kilometr przed wjazdem do miejscowości; znajdujemy się pod ciężkim ostrzałem. Jedźcie asfaltową szosą, ile macie mocy w silnikach! Strzelamy czerwone rakiety sygnalizacyjne!

Ponad krawędzią żwirowiska rzucono już granaty ręczne, sowieckie karabiny maszynowe terkotały w niewielkiej odległości. W żwirowisku eksplodowały pociski wystrzeliwane z granatników, a wybuchając, trafiały odłamkami w burty czołgu.

— Alpenrose, gdzie jesteście? Wystrzelę jeszcze kilka czerwonych rakiet czy je widzicie?

W tym momencie do rozmowy radiowej włączył się z wyraźną radością w głosie i diabolicznym śmiechem nasz rosyjski Saksończyk:

— Hej alpenrose, zmówiliście już modlitwę za swoje dusze? Zaraz przyjdzie po was diabeł!

Nie, pomyślałem sobie, żywcem nas nie dostaną. Ten nędzny typ z saksońskim akcentem prześladował nas głupimi tekstami już od Świecia.

— Trzy czołgi są w drodze do nas! — zawołałem do pułkownika. — Muszą się tu zaraz pojawić!

Christern tylko leniwie uniósł dłoń i dalej strzelał z pistoletu maszynowego. Znowu panował nad sytuacją.

Wydawało mi się, że wśród strzelaniny słyszę odgłosy ciężko pracujących silników.

— Alpenrose, strzelajcie z waszych rur, ile macie siły, aby ci braciszkanie na chwilę o nas zapomnieli.

Wzdłuż szosy świszczały przelatujące granaty burzące. Jeszcze przez krótki czas słychać było ogień naszej załogi, a potem wystrzały Sowieców nagle ucichły.

Odrzuciłem słuchawkę i poczołgałem się w górę, na brzeg żwirowiska... Mój Boże, cóż za widok! Trzy nasze czołgi gnały, ile mocy w silnikach, przez zaśnieżone pole, strzelając ze wszystkiego, co miały na pokładzie. Bez wahania rzuciły się na stanowiska dział przeciwpancernych, rozjeżdżając je tak, że w powietrzu latały tylko jakieś strzępy. A przed nimi uciekało całe stado Sowieców. Zbyt późno zauważyli nasze czołgi i nie mieli w ogóle czasu, by oddać do nich choćby jeden celny strzał.

Pobiegłem do radiostacji, z której dochodził nadal wesoły głos naszego Iwana — jak się czujecie w ostatnich chwilach? Czy diabeł już przybył po was?

Przez pięć tygodni udawało mi się powstrzymywać, aby nie odpowiedzieć temu typowi, udając, jakbym go w ogóle nie słyszał. Teraz jednak tylko z dużym trudem zdołałem powstrzymać okrzyk radości, gdy zawołałem do mikrofonu: — A głównie wam się udało!

Obaj radiotelegrafiści i kierowca podeszli do wozu dowodzenia i ciężko dysząc, wsiedli do środka. Ja natomiast patrzyłem na górze na rozgrywający się przed moimi oczyma cud. Nasze trzy czołgi potężnie rozrabiwały; znajdując się tak blisko katastrofy, człowiek nie mógł się powstrzymać od uśmiechu radości z cudzej klęski.

Pułkownik szybkim krokiem podszedł do mnie, uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem, potem nazwał niewychowanym Bawarczykiem i poklepał po piersi, co było z jego strony propozycją zawarcia pokoju.

Ponieważ zakaz ciszy radiowej został złamany, przekazaliśmy przez radio krótki meldunek o sytuacji do dowództwa 4. Dywizji Pancerniej, która musiała się dowiedzieć, że Sowieci są już w Dąbrówce.

W odpowiedzi otrzymaliśmy pilny radiogram: „Nowa sytuacja: czołgi sowieckie atakują Kartuzy. Natychmiast przywrócić stan gotowości marszowej i jak najszybciej przebiec się do Kartuz!”.

Trzy czołgi, które przysłyły nam z pomocą i dotarły na skraj Dąbrówki, zostały odwołane rozkazem przekazanym przez radio. Kapitan Petrelli, słuchający wszystkich rozmów radiowych, zameldował, że pociąg z transportem już rozładowano i wszystkie pojazdy są gotowe do wymarszu.

Kartuzy? Kartuzy leżą przecież prawie 50 kilometrów na wschód od nas, u wrót Gdańska. To nie może być prawda!

Po krótkiej naradzie zakończonej wydaniem rozkazów, pancerna grupa bojowa Christern pojechała szeroką asfaltową szosą wiodącą ze Słupska do Gdańska w kierunku wschodnim. Początkowo szosa była pusta, niebawem jednak napotkaliśmy idące z naprzeciwka pierwsze grupy uciekinierów. Im dalej posuwaliśmy się w kierunku wschodnim, tym więcej było na niej błądzących ludzi. Nagle znaleźliśmy się w samym środku chaosu i utknęliśmy w tłumie. Jedni szli z Kartuz w kierunku Słupska, inni chcieli się dostać tą samą drogą właśnie do Kartuz. Z bocznych dróg usiłowały się wcisnąć na główną szosę kolumny uciekinierów idących z południa, z kolei inne drogi zapchane były ludźmi uciekającymi z północy. W takich warunkach nawet pojazdy gąsienicowe nie mogły się poruszać. Wyglądało na to, że w drodze była cała ludność Zachodnich Prus.

Pancerna grupa zwiadu składająca się z trzech pojazdów, w celu zapewnienia bezpieczeństwa uciekinierom otrzymała zadanie pozostania na skrzyżowaniu koło Sierakowic. Miała też szybko zaprowadzić porządek i rozwiązać ten węzeł, a także zbadać możliwości drogi ucieczki na północny wschód, a potem ewentualnie ją oznakować. Czołgom natomiast nie pozostało nic innego, jak jechać dalej na przełaj przez pola, nawet jeśli będzie to oznaczało większe zużycie paliwa.

Dla dowódcy pułku nasz marsz był jednak zbyt wolny, jako że wyglądało na to, iż w Kartuzach szykuje się katastrofa w wielkim stylu. Stąd pułkownik pojechał naprzód swym wyposażonym w radiostację wozem dowodzenia i z plutonem transporterów opancerzonych z 4. pancernego batalionu rozpoznawczego.

Dotarłszy do Kartuz, pułkownik zameldował się u komendanta miasta. Był nim starszy wiekiem pułkownik rezerwy, kompletnie bezradny zdenerwowany i najwyraźniej nie dający sobie rady z zagmatwaną i niejasną sytuacją. Dlatego dowódca naszego pułku został po południu 7 marca mianowany przez Korpus nowym wojennym Komendantem Kartuz. Automatycznie, z ludźmi z batalionu łączności naszego pułku, odpowiadałem w tej sytuacji za niezbędną komunikację radiową i telefoniczną w rejonie walk.

Jako pierwsze linię obrony zaczęły tworzyć pojazdy 4. pancernego batalionu rozpoznawczego, zajmując pozycje na skraju miasta, na drogach wylotowych prowadzących na południe i południowy wschód. W samym mieście panował kompletny chaos. Drogi wjazdowe i wyjazdowe były całkowicie zapchane kolumnami uciekinierów i konwojami samochodów zaopatrzeniowych. Na skutek braku znajomości sytuacji zagubieni ludzie błądzili we wszystkich kierunkach.

Dodatkowo ruch wstrzymywały pojazdy, które stanęły na drodze z braku paliwa. W konsekwencji wszyscy nie mieli najmniejszej szansy ani poruszania się do przodu, ani cofnięcia. Trzeba było coś z tym chaosem natychmiast zrobić.

Pułkownik Christern nakazał wszystkim będącym w zasięgu ręki oficerom i podoficerom, aby na piechotę zajęli się rygorystycznym regulowaniem ruchu na drogach. Utworzyliśmy połączenia telefoniczne ze wszystkimi skrzyżowaniami, wyjściami z miasta i innymi ważnymi miejscami. Udało się nam to w miarę szybko i bez nadmiernego zużycia kabli, jako że miejscowa sieć telefoniczna jeszcze funkcjonowała. Jej centrala była obsługiwana przez żołnierzy.

Skontrolowano i opisano boczne drogi, przeznacając je dla wozów konnych i kierując tam bez dyskusji kolumny uciekinierów. Wyścig do portów w Gdańsku i Gdyni znalazł się na końcowym, bardzo dramatycznym etapie.

Jedna Hiobowa wieść goniała drugą: nasze czołgi zameldowały, że stanęły z powodu braku paliwa pod Mojuszem, 15 kilometrów na zachód od Kartuz. Pozostałe jednostki 4. Dywizji Pancерnej poruszały się bardzo wolno naprzód, razem z kolumnami uciekinierów na drodze z Bytowa w stronę północy. Czołowe grupy podały jako swoje miejsce postoju miejscowość Sierakowice, znajdującą się około 25 kilometrów na zachód od Kartuz. Dostawa paliwa była raczej niemożliwa z powodu całkowicie zapchanych uciekinierami dróg.

W tym czasie oddziały Armii Czerwonej dawno zostawiły za sobą jednostki niemieckie i wieczorem 7 marca stały już 5 kilometrów na południowy wschód od Kartuz, u wejścia do miejscowości Dzierżążno. Nasz warsztat naprawczy zdążył jeszcze w ostatniej chwili zmienić miejsce postoju na Sopot.

Wszystkie nasze wozy krzyczały o paliwo. Do czego przydatne są czołgi, jeśli stoją gdzieś na wiejskiej drodze, niezdolne do ruchu i akcji?! I wtedy zgłosił się właściciel cywilnej stacji benzynowej, który oddał do naszej dyspozycji ukryte żelazne zapasy, a także i znajomość okolicy. Dwoma transporterami opancerzonymi zawieziono leśnymi drogami cztery beczki z benzyną do naszych czołgów stojących w Mojuszu. Naturalnie, była to tylko kropla w morzu potrzeb, ale może wystarczy, by dotarły do Kartuz.

Przed południem 8 marca pierwsze czołgi zameldowały się u wjazdu do miasta. Zostały natychmiast wysłane do Dzierżążna... i z ostatnią kroplą paliwa odbiły tę miejscowość Sowietom, którzy tymczasem zdobyli za to również Borkowo, leżące 6 kilometrów na wschód od Kartuz. Pluton z 4. pancernego batalionu rozpoznawczego niespodziewanym atakiem zdobył Żukowo, leżące już tylko 20 kilometrów przed Gdańskiem. Sytuacja była tak bardzo zagmatwana, jak nigdy do tej pory.

Między Dzierżążnem a Borkowem ziała we froncie wielka luka, przez którą 8 i 9 marca sowieckie jednostki pancerne i piechoty pomaszerowały na północ. I nikt im w tym nie przeszkadzał. Zdobyły Kobysewo i Przodkowo, blokując drogę prowadzącą bezpośrednio w kierunku Gdańska, Sopotu i Gdyni.

Nie byliśmy im w stanie w tym przeszkodzić, mogliśmy się tylko beczynnie przyglądać, ponieważ jednostki 4. Dywizji Pancерnej, a także sąsiednich dywizji

stały bez ruchu, jako że mało który z naszych wozów bojowych miał w zbiorniku paliwo. Kierowcy i ładowniczy, podporucznicy i sierżanci z Krzyżami Rycerskimi biegali wokół z kanistrami w rękach, aby u kierowców samochodów zaopatrzeniowych wyżebrać po kilka litrów benzyny, żeby przynajmniej móc postawić czołgi w pozycji strzeleckiej. Można się było dosłownie popłakać z rozpaczy.

Na drogach oraz ulicach, w mieście i wokół Kartuz, również i 9 marca panowało beznadziejne zamieszanie. Z przerażonymi ludźmi trudno było się porozumieć. Mieszkańcy Prus Zachodnich z okolic Tucholi. Chojnic, Kościerzyny chcieli bezpośrednio dostać się do Gdańska i nie mogli uwierzyć, że jest to już niemożliwe, nie przyjmując do wiadomości, iż mogą się dostać do celu tylko okrężną drogą przez Szemud. Uciekinierzy z Prus Wschodnich, będący w drodze już od 6 tygodni, skierowani tutaj na odpoczynek, cisnęli się tak, jak im dawniej zalecono, z całą siłą polnymi drogami dalej w kierunku Pomorza. ponieważ nawet w koszmarnych snach nie sądzili, że ta droga została już dawno przecięta przez jednostki Armii Czerwonej. A ci najbiedniejsi z biednych, którzy uciekając na Pomorze, zostali przepędzeni przez Sowietów z powrotem, a którym — mimo koszmarnych doświadczeń — udało się przeżyć, prawie mechanicznie dreptali noga za nogą znowu na wschód i nie słuchali już w ogóle niczego.

Miejscowe władze administracyjne i partyjne, które mogły i musiały pomagać oraz dawać wskazówki, wielokrotnie jako pierwsze pakowały manatki i uciekły w bezpieczniejsze rejony. Rzeki uciekinierów bez celu, bez przywództwa i planu, wpływały z różnych stron do Kartuz, węzła komunikacyjnego leżącego u wrót Gdańska, zderzając się ze sobą, tworząc wielką falę niemieckiego odwrotu.

Ścigały ich sowieckie samoloty szturmowe. Matki dźwigały omdlałych ramiona martwe już dzieci. Na ciągniętych przez konie wozach, pomiędzy szybko spakowanym dobytkiem, obok rannych i chorych leżały poszarpane ciała już martwych i jeszcze umierających. Z ich twarzy można było wyczytać, jak wiele wycierpieli w drodze. Przez śnieżyce i lodowate wiatry szli po lodzie Zalewu Wiślanego, pękającym pod ogniem sowieckich dział. Wielu, bardzo wielu z nich zginęło podczas tej drogi, umierając pod bombami i granatami. W oczach pozostałych widniało przerażenie, a niekiedy już i szaleństwo.

A na żołnierzy Armii Czerwonej bez przerwy spadał deszcz milionów ulotek zrzucanych przez sowieckie bombowce. Część z nich wiatr przywiewał również i do nas: — *Żołnierze Armii Czerwonej!* — *Zabijajcie Niemców!* — *Zabijajcie wszystkich Niemców!* — *Zabijajcie!* — *Zabijajcie!* — *Zabijajcie!* — To wezwanie Ilji Erenburga zostało podpisane przez Józefa Stalina.

Ponieważ wielu z nas walczyło przez długie trzy lata w Rosji, a w każdej z kompanii razem z nami biło się przynajmniej kilku rosyjskich ochotników, więc bez trudu mogliśmy przeczytać to wezwanie skierowane do żołnierzy Armii Czerwonej: *Zabijajcie!* — *Zabijajcie!*

Nas zaś od tygodni zaopatrywano wszelkimi możliwymi sposobami w „przepustki” o następującej treści: *Niemiecy żołnierze! Zaprzestańcie oporu!*

Poddajcie się Armii Czerwonej! Gwarantujemy wam dobre traktowanie i natychmiastowy powrót do domu po wojnie, jeśli jednak będziecie dalej walczyć, nigdy nie zobaczycie już swojej ojczyzny itd...

Czy odpowiedzialni za tę akcję Sowietci uważali nas już za kompletnych durniów?

Tylko niewielu z żołnierzy z naszej dywizji porzuciło broń w efekcie tego wezwania i zostawiło kobiety, dzieci i towarzyszy na pastwę losu. Musieli potem gorzko żałować swojego postępowania, gdyż także i oni poszli na długie lata do sowieckich obozów jenieckich.

W tym czasie nawet najgłupszy wiedzieli, że ta wojna została przegrana. Nic nie można już było na niej wygrać, żadnych wojskowych honorów, żadnych orderów, awansów czy specjalnego urlopu — można było tylko dorobić się zbitego tyłka, jak to trafnie określali w tamtych dniach zwykli żołnierze.

Była to bezlitosna walka o przeżycie, o własną, nagą egzystencję, i życie tych setek tysięcy, którzy nam jeszcze ufali, którzy chcieli się dostać przed sowieckimi czołgami do Gdańska czy Gdyni, gdzie czekały na nich statki, mające ich zawieźć na zachód, ku czekającej ich wolności.

Zabijajcie!... Zabijajcie!... Zabijajcie! — mając wolną rękę i glejt na mordowanie w kieszeni, żołnierze Armii Czerwonej, upojeni zwycięstwem, atakowali nasze linie i szli w kierunku Gdańska.

By oddać honor sowieckim oddziałom trzeba też przyznać, że przeważająca część ich żołnierzy zachowywała się jak ludzie i działała inaczej, niż wymagał od nich najbardziej z nieludzkich rozkazów, jaki wydano podczas tej okrutnej wojny.

W końcu, rano 9 marca, miejscowość Kartuzy i jej okolice na północ i wschód zostały opróżnione ze zgromadzonych tam kolumn i konwojów z uciekinierami oraz wycofujących się jednostek zaopatrzeniowych. Tylko na południu i zachodzie tłoczyły się kolumny samochodów ciężarowych, które bez przerwy były celem sowieckich ataków z powietrza. Korpus ciągle naciskał przez radio: „Wszystkie jednostki 4. Dywizji Pancernej mają jak najszybciej zebrać się w Kartuzach jeśli to konieczne, nawet pieszo”. Zamiarem dowództwa było przebicie się do Gdańska szeroką szosą prowadzącą przez Żukowo.

Dowodzona przez majora Tölke jedna z grup bojowych, w skład której wchodziły czołgi 25. Pułku Pancernego z 7. Dywizji Pancernie plutonu z naszego pancernego batalionu rozpoznania i część 73. Dywizji Piechoty, wychodząc z Kartuz, atakowała od godziny 06.00 rano w dwóch grupach na wschód.

Co prawda, jednej z grup udało się odbić Kobysewo, innej zaś zniszczyć pięć nieprzyjacielskich czołgów, ale próba przebicia się do Żukowa zakończyła się fiaskiem. Sowietci byli w tym rejonie po prostu zbyt silni. Niezrażeni niemieckim atakiem wyszli z miejscowości Przockowo i parli na północ i północny wschód w kierunku Kielna i Chwaszczyna.

Ich plan był jasny: Kartuzy interesowały ich tylko przy okazji — chcieli nas tutaj zatrzymać i odciąć od reszty wojsk. Celem ich był Gdańsk i zajęcie portów w Zatoce Gdańskiej.

Mimo że czas naglił, koncentracja 4. Dywizji Pancерnej w Kartuzach bardzo się przeciągała. Po fiasku ataku określono nową marszrutę odwrotu: Kartuzy — Kobysewo — Wilanowo — Łebno — Szemud — Kamień — Koleczkowo. Zgodnie z rozkazem z 2. Armii za wszelką cenę należało utrzymać rejon wzgórz na zachód od Koleczkowa, 20 kilometrów na południowy zachód od Gdyni, i potraktować go jako obszar przechwycenia nieprzyjacielskich ataków.

W dowództwie 4. Dywizji Pancерnej panowała opinia, o czym poinformowano również Korpus, iż nawet jeśli uda się otworzyć korytarz na drodze prowadzącej przez Żukowo, trzeba będzie zostawić większość pojazdów, którym zabraknie paliwa do dalszej jazdy. W odpowiedzi Korpus wydał rozkaz: „Zatrzymać tylko najbardziej cenne i potrzebne pojazdy. Wszystkie pozostałe wysadzić!”. Sytuacja rzeczywiście musiała wyglądać bardzo ponuro.

Już rano 9 marca Sowieci zdobyli dużą miejscowość Kiełpino, położona 6 kilometrów na południe od Kartuz. Nasz atak, mający na celu zamknięcie luki w liniach frontu obrony między Borkowem i Dzierżążnem, mógł się zacząć dopiero późnym popołudniem, ponieważ do tej pory tylko niewielu jednostkom 4. Dywizji Pancерnej udało się dotrzeć w rejon Kartuz. Po rozpoznaniu nowej sytuacji i ogłoszeniu nowego planu odwrotu zrezygnowano z niego niebawem z powodu całkowitego fiaska tego przedsięwzięcia. Oddziały Armii Czerwonej nadal maszerowały bez przeszkód na północ, w stronę Gdańska.

Z godziny na godzinę sytuacja stawała się coraz bardziej groźna. Różnego rodzaju rozliczne pogłoski jeszcze bardziej zaciemniały jej fatalny obraz. Szeptano z ucha do ucha, że Iwan od dawna siedzi już w Gdańsku, w nocy zaś z 9 na 10 marca megafony sowieckiej propagandy krzyczały do nas ze szczytów okolicznych wzgórz: *Niemieccy żołnierze! Zostaliście okrążeni. Nie macie już amunicji ani paliwa. Poddajcie się Armii Czerwonej! Gwarantujemy wam...* Czyli ciągle ta sama stara śpiewka, której nie mogliśmy już słuchać. Jednakże, biorąc pod uwagę zagmatwaną sytuację, te słowa działały nam mocno na nerwy. Po raz pierwszy zaczęliśmy walczyć z coraz bardziej ogarniającym nas zwątpieniem i zniechęceniem. A Sowieci nieustępliwie nalegali, mając nas „przepustkami” i wygłaszając przez głośniki odezwy.

My jednak nadal czekaliśmy, łudząc się nadzieją, że już za chwilę nadejdzie obiecane paliwo... i na cud, zanim pułapka zatrzaśnie się za nami ostatecznie. Wszystkie wozy bojowe, znajdujące się jeszcze na trasie na zachód od Kartuz, skierowano na nowy szlak. Wykonując rozkaz z Korpusu, wszystkie niepotrzebne lub uszkodzone pojazdy spychano do przydrożnych rowów i niszczone. Przedtem jednak odsysano z nich każdy litr paliwa i zbierano do beczek. Na niektórych, całkowicie zbędnych, samochodach taborowych znajdowaliśmy kanistry pełne benzyny, schowane „na wszelki wypadek”. Na drogach panowało już prawo pięści — ociągających się i maruderów zmiotano. Pancerniacy i grenadierzy poświęcili część pojazdów zaopatrzeniowych i resztę swego wyposażenia, aby tylko wozy bojowe mogły dostać kilka litrów paliwa.

10 marca o godzinie 05.00 jednostki w pojazdach kołowych zameldowały się

z drogi, na odcinku między Łebnem i Kamieniem. Za to czołgi ciągle jeszcze stały grupami — z pustymi bakami — między Kobysewem a Łebnem.

Pułkownik Christern, będący nadal komendantem wojennym Kartuz, pozostał z małym sztabem w mieście, w którym — po całym zamieszczeniu — panowała teraz niemal niesamowita cisza. Na wyludnionych ulicach nie było widać ani jednego człowieka. Obraz miasta zmienił się przez jedną noc całkowicie. Przy drogach wychodzących z miasta stały słabe posterunki niemieckie połączone z nami drogą radiową. Wywiadowcze wypadki Sowietów odpieraliśmy z dużym hałasem. Od czasu do czasu trochę ostrzału artyleryjskiego, kilka nalotów sowieckich bombowców. Poza tym wyglądało to tak, jakby wszyscy zapomnieli o Kartuzach, nie zauważali naszego zgrupowania względnie spisali je na straty.

Jak zameldowano nam przez radio, stanowisko dowodzenia dywizji przeniosło się w tym czasie do Łężyc, 15 kilometrów na zachód od Gdyni. Im się więc już udało!

O godzinie 17.15 kapitan Lange, z którym mieliśmy tylko od czasu do czasu kontakt radiowy, zameldował, że czołowe oddziały 2. batalionu naszego 35. Pułku Pancernego dotarły do Szemudu, ale dwadzieścia jeden wozów bojowych musiało z powodu braku paliwa pozostać w rejonie Donimierza, między Łużycami a Szemudem.

Z dywizji nadszedł radiogram bez komentarza: „Nieprzyjaciel w Kielnie“. Miejscowość Kielno leżała w połowie drogi między Kartuzami i Sopotem.

— No to na zdrowie! — reakcja pułkownika Christerna była typowa dla niego.

Także i 11 marca w Kartuzach nie wydarzyło się nic nowego! Dowódca 2. batalionu, kapitan Lange, który swoim wozem dowodzenia musiał wjeżdżać na każde wzgórze, gdy chciał, abyśmy słyszeli jego nadajnik pracujący na falach ultrakrótkich, zameldował: „Stanowisko moich czołgów bez zmian. Nie dotarła żadna dostawa paliwa. Walczymy z sowieckimi czołgami pod Szemudem”.

I znowu kolejny, krótki radiogram z 4. Dywizji Pancerniej: „Nieprzyjacielskie czołgi w Donas!“. Miejscowość Donas leży około 6 kilometrów za planowaną pozycją obronną koło Koleczkowa. Tym razem pułkownikowi Christernowi nie udało się wypowiedzieć jego sakramentalnego „Na zdrowie!“. Wszystkie czołgi dwóch dywizji pancernych 2. Armii niemieckiej stały niezdolne do ruchu daleko przed frontem, porzucane grupami po lasach między Kartuzami i Szemudem. To się nie mogło dobrze skończyć!

Pewnym małym światełkiem mogącym wyjaśnić sytuację, był radiogram skierowany do wojennego komendanta Kartuz oraz grupy pancerniej Tölke, którą znowu podporządkowano rozkazom 4. Dywizji Pancerniej: „Paliwo, jakie niebawem zostanie dostarczone do Szemudu, rozdzielić tak, aby możliwie wszystkie pojazdy bojowe, przede wszystkim czołgi, transportery opancerzone i broń ciężka 4. Dywizji Pancerniej i 25. Pułku Pancernego mogły się dostać za nową linię obrony”.

Wszystko pięknie i dobrze, ale Szemud leżał od nas 25 kilometrów na północ. My, razem z czołgami 1. batalionu, staliśmy ciągle jeszcze wokół Kartuz i Kobysewa, a wozy bojowe grupy Tölke zatrzymały się na drodze prowadzącej do Wilanowa.

W trakcie narad, wyrażanych obaw i zawierania zakładów, nadjechały z lasu, z pracującymi na najwyższych obrotach silnikami, dwa ciągniki z niskopokładowymi platformami z naszych warsztatów naprawczych, wyładowane kanistrami z benzyną. To był niemal cud, że tym ludziom udało się znaleźć drogę do nas, nie nadziewając się przy tym na Sowietów.

Zatankowanie czołgów i wysłanie ich w drogę było kwestią godziny: o godzinie 17.00 ich załogi zameldowały się już na południe od Szemudu.

O godzinie 19.00 nadeszła pierwsza z hiobowych wieści: 5. kompania 33. Pułku Grenadierów Pancernych dotarła tylko do Łębna, gdzie została zaskoczona przez mocne siły sowieckie i rozbita. Straciła wszystkie pojazdy, całą broń ciężką i wielu żołnierzy.

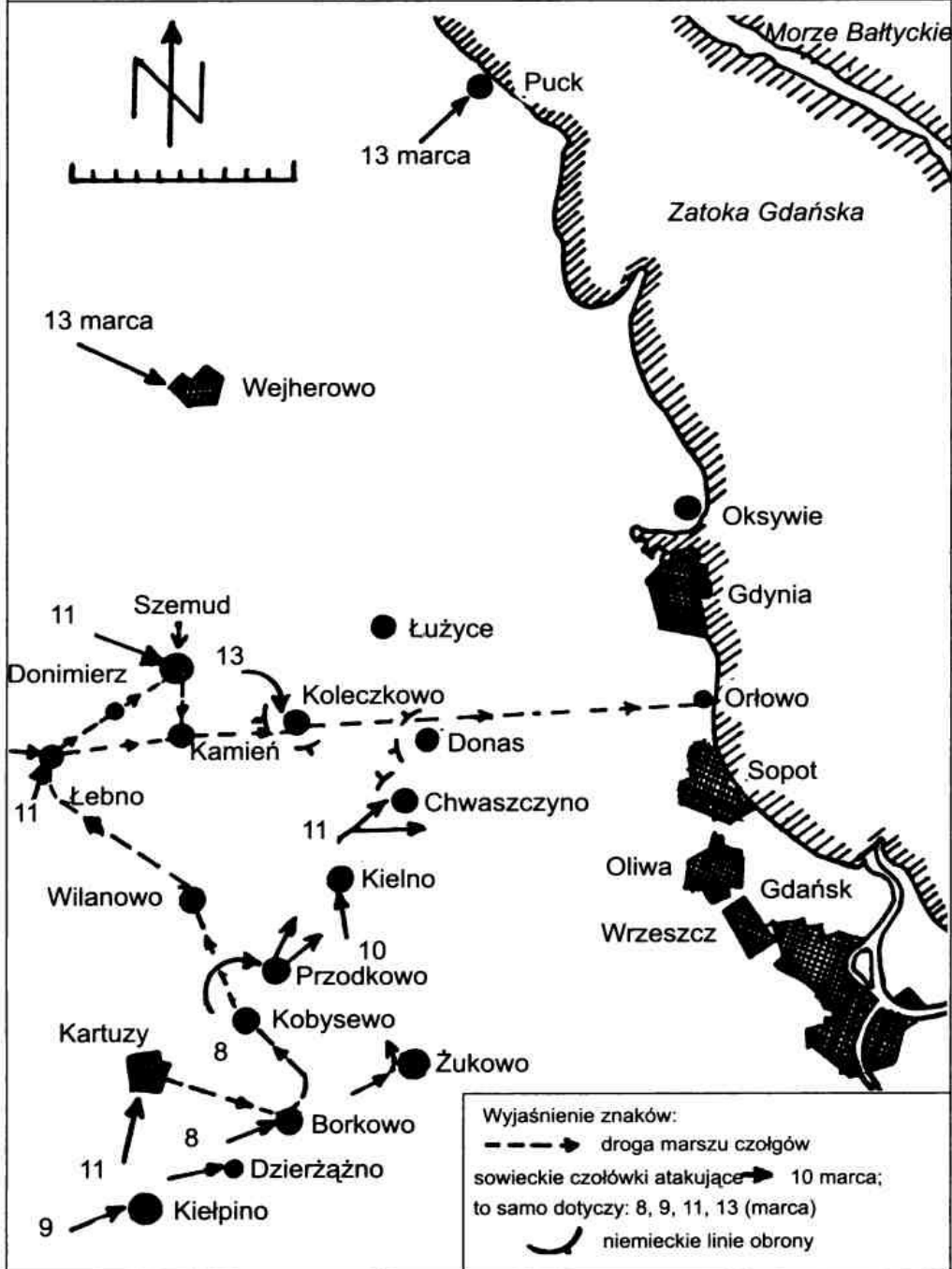
I niemal o tej samej porze, na zachód od Wejherowa, zabezpieczający tamten odcinek linii obrony 1. batalion tego samego pułku otoczyły nieprzyjacielskie czołgi i niemal całkowicie rozbiły.

Na rozkaz Korpusu w nocy na 12 marca pułkownik Christern opuścił Kartuzy wraz ze wszystkimi jednostkami broniącymi tego miasta i przeniósł się do Kobysewa, gdzie zajęliśmy stanowiska obrony okrężnej.

Jeszcze 11 marca, o godzinie 20.09 dotarł do nas radiogram z 4. Dywizji Pancerniej informujący, iż: „Paliwo w drodze do Szemudu. Odbierający kapitan Lange. Zadanie: po zatankowaniu wszystkie oddziały przebijają się na wschód do Koleczkowa, by połączyć się tam z naszymi siłami”. Te informacje brzmiały z jednej strony bardzo pięknie, z drugiej zaś fatalnie.

12 marca o godzinie 05.25 przekłęty transport paliwa wreszcie dotarł w końcu na stanowisko dowodzenia dywizji w Łużycach, 6 kilometrów na wschód od Szemudu.

DROGA ODCIĘTYCH CZOŁGÓW NIEMIECKICH DO STANOWISK OBRONNYCH POD KOLECZKOWEM



W tym czasie kapitan Lange z czołgami 2. batalionu walczył w i wokół Szemudu z atakującymi ze wszystkich stron czołgami sowieckimi, utrzymując miejscowość do chwili dotarcia samochodów-cystern. Ludzie z 2. batalionu odpierali wściekłe ataki czołgów sowieckich do chwili zatankowania ostatniego z pojazdów i wyjścia z Szemudu ostatniego niemieckiego czołgu, co trwało jeszcze do godzin południowych 13 marca.

Pułkownik Christern, z małą grupą pancerną, dołączył do ariergardy koło Wilanowa; my zaś weszliśmy do Szemudu w godzinach przedpołudniowych.

13 marca o godzinie 12.20 przekroczyliśmy niemieckie linie obrony koło Koleczkowa razem z ostatnim oddziałem 4. pancernego batalionu rozpoznawczego. W tym samym czasie tamtejsze stanowiska obrony niemieckiej zostały zaatakowane przez mocne siły pancerne Sowietów, idących od północnego zachodu.

Manewr uratowania z okrążenia niemieckich czołgów z beznadziejnej wręcz sytuacji stanowił bezprzykładny dowód koleżeńskich działań wszystkich biorących udział w tej operacji. Nikt nie uważał tego za wyjątkową ofiarność, ale dla każdego było to działanie samo przez się zrozumiałe. To była właśnie cecha łącząca wszystkich frontowców — wspólne działanie bez warunków wstępnych, bez pretensji do uznawania czyichś specjalnych zasług.

Szczególnie należy podkreślić energiczne działanie pancernej grupy zwiadu z 4. pancernego batalionu rozpoznawczego, która zatrzymała Sowietów pod Żukowem, dzielną i wytrwałą postawę podczas obrony 73. Dywizji Piechoty, walczącej na stanowiskach leżących na wzgórzach pod miejscowościami Donas i Chwaszczyno, oraz odparcie wszystkich ataków nieprzyjaciela przez 2. batalion z tak bardzo wyczerpanego 33. Pułku Grenadierów Pancernych. Przede wszystkim jednak należy wyrazić wdzięczność za bezinteresowną ofiarność ludziom z 2. batalionu naszego 35. Pułku Pancernego pod dowództwem kapitana Lange, bez którego ta operacja nigdy by się nie udała.

Ci ludzie mieli odwagę podjąć walkę z mającymi przygniatającą przewagę siłami przeciwnika, skierować na siebie uwagę Sowietów, bronić się przed atakami ze wszystkich stron, utrzymując jednocześnie wolną drogę dla nadjeżdżających cystern i wycofujących się wozów bojowych.

Nie należy zapominać o odważnym działaniu załóg obu ciągników, które dostarczyły paliwo do stojących bardziej na południu czołgów, naprawiając przy okazji kilka drobnych awarii i ratując jeszcze niejedną maszynę. Dwa kolejne ciągniki wraz z platformami przedostały się nawet przez linie obrony.

Wraz z pułkownikiem Christernem dojechaliliśmy do wielkich, aczkolwiek już opuszczonych stanowisk artylerii przeciwlotniczej w Orłowie koło Sopotu, gdzie wyspaliliśmy się gruntownie przez całą noc w potężnych bunkrach.

Dopiero o wiele, wiele później dowiedzieliśmy się, że dowódca pułku musiał twardo walczyć o te kilka godzin naszego snu, gdyż niecierpliwie oczekiwano od nas, abyśmy wzięli udział w kolejnej akcji w rejonie Gdańska Oliwy. Dywizje

Armii Czerwonej stały już bowiem u wrót Gdańska.

6 GDAŃSK 1945

13 DO 30 MARCA 1945 — Z OLIWY NA STOGI

Pancerne dywizje 1. Frontu Białoruskiego pod dowództwem marszałka Żukowa przetoczyły się przez Pomorze na zachód, by 3 marca dotrzeć do ujścia Odry pod Szczecinem.

Od południa, południowego zachodu i zachodu 2. Front Białoruski pod dowództwem marszałka Rokossowskiego z pięcioma armiami rozpoczął wielką ofensywę skierowaną w rejon Gdańska, z którego wszelkimi dostępnymi statkami bezustannie ewakuowano przez Morze Bałtyckie na zachód transporty uciekinierów. W portach w Gdańsku i Gdyni tłoczyły się nieprzebrane masy ludzkie gnane nadzieją, że uda im się na pokładzie statków uciec przed groźących nieszczęściem. Któż chciałby jeszcze pozostać w kraju, gdy bezlitosny przeciwnik popędza swoich żołnierzy hasłem: „Zabijacie! Zabijajcie! Zabijajcie!”?! Któż chciałby zdać się na łaskę i niełaskę takiej armii?! Któż pozostawiłby kobiety i dzieci na łasce takiego pozbawionego skrupułów przeciwnika?

Mianowany 12 marca naczelnym dowódcą 2. Armii niemieckiej, generał broni pancernej Dietrich von Saucken, pochodzący z Prus Wschodnich był dowódcą 4. Dywizji Pancernej, próbował wykrwawionymi dywizjami tak długo stawiać opór potężnemu naporowi Armii Czerwonej, aż wszyscy uciekinierzy znajdują się w bezpiecznym miejscu.

Z odwagą, wspartą rozpaczą, wykrwawione resztki 4. Dywizji Policyjnej SS, 7. Dywizji Pancernej, 215., 32., 227. i 73. Dywizji Piechoty, 4. Dywizji Pancernej, 389. i 252. Dywizji Piechoty, 12. Dywizji

KALENDARIUM GDAŃSKIE OD 13 DO 30 MARCA 1945

- 13 do 15.3.45 — Tworzenie linii obronnych na wzgórzach ciągnących się na zachód od Gdańska i Gdyni.
- 20.3.45 — Po trzygodzinnym przygotowaniu artyleryjskim Sowieci rozpoczynają atak między Żukowem a Rębiechowem.
- 23.3.45 — Sowieci zdobywają Sopot. Przyczółek gdański zostaje podzielony na trzy części.
Dywizje 2. Frontu Białoruskiego pod dowództwem marszałka Rokossowskiego, po olbrzymiej nawale ogniowej, rozpoczynają atak na Gdańsk.
- 24.3.45 — Marszałek Rokossowski kieruje do żołnierzy 2. Armii niemieckiej odezwę nawołującą do zaprzestania walk.
- 25.3.45 — Ponieważ powyższa odezwa nie przynosi efektów, Rokossowski każe zbombardować i zniszczyć gdańską Starówkę.
Ostatni niemiecki transportowiec „Ubena“ zabiera z gdańskiego Nowego Portu ostatnią partię uciekinierów.
- 26.3.45 — Po ciężkich i zaciekłych walkach Oliwa przechodzi w ręce sowieckie.
- 27.3.45 — Wrzeszcz zostaje oddany bez walki.
Dowódca 4. Dywizji Pancerniej, generał Betzel, ginie podczas walk pod Bramą Oliwską w Gdańsku.
Na rozkaz armii zostają otwarte śluzy w Gdańsku, a saperzy wysadzają wały ochronne. W ten sposób Żuławki Elbląskie zostały zalane aż po Zalew Wiślany, by chronić jednostki niemieckie.
- 28.3.45 — Zachodnia część Gdańska zostaje oddana Sowiecom. Linia Motławy jest utrzymywana tak długo, aż oddziały wojskowe i kolumny uciekinierów dotrą do lasów w okolicach Stogów.
- 9.3.45 — Końcowy etap walk o Gdańsk. Oddziały niemieckie wycofują się za Wisłę.
- 30.3.45 — Utrata Gdańska. Ostatnie jednostki niemieckie opuszczają miasto w nocy na 30 marca.
- 31.3.45 — Dowództwo 2. Armii niemieckiej rozkazuje zniszczyć wszystkie pojazdy. Temu rozkazowi nie podporządkowuje się 4. Dywizja Pancerna, pozostając do ostatniej godziny wojny „dywizją pancerną“.

Polowej Luftwaffe, 542. Dywizji Grenadierów Ludowych, 337., 35., 83., i 23. Dywizji Piechoty — otworzyły szeroki łuk obrony wokół Gdyni i Gdańska, broniąc ich przed nieprzyjacielem. Między Wisłą a Zalewem Wiślanym stała jeszcze 7. Dywizja Piechoty.

W ramach ograniczonych zapasów amunicji oddziały te były wspierane od morza przez: ciężki krążownik „Prinz Eugen”, stary okręt liniowy „Schlesien” i lekki krążownik „Leipzig”. Salwy z ciężkich dział okrętowych przelatywały z wyciem nad Gdańskiem, uderzając z zaskakującą celnością w gęste szeregi szturmujących Sowietów i przynosząc chwilowe odciążenie obrońcom.

14 marca dowodzona przez pułkownika Christerna grupa bojowa 4. Dywizji Pancernej była gotowa do ataku w rejonie Klukowa, około 6 kilometrów na południowy zachód od Gdańska Oliwy, w celu zamknięcia wyrwy we froncie, jaka powstała między Pępowem a Żukowem. Powinniśmy więc ze wschodu dotrzeć tam, dokąd przed pięcioma dniami nie mogliśmy dojść od zachodu.

Na potrzeby tego ataku przyrzeczono nam 15 marca wsparcie ogniowe artylerii okrętowej, gdyż nasz dywizyjny 103. Pułk Artylerii Pancernej prawie nie dysponował amunicją. Kierujący ogniem oficer Kriegsmarine już zameldował się u pułkownika Christerna, gdy tymczasem w Zatoce Gdańskiej groźnie rysowały się ciemne sylwety okrętów wojennych. W przygotowaniu artyleryjskim miała wziąć udział również stała bateria artylerii obrony wybrzeża, szczególnie w miejscu, gdzie mogła obrócić lufy dział skierowane do tej pory w stronę morza. Ponadto do dyspozycji była także bateria ciężkiej artylerii przeciwlotniczej, należąca do pasa obrony Gdańska przed atakami z powietrza.

Ale sytuacja zmieniła się: na odcinku naszego 12. Pułku Grenadierów Pancernych Sowietci zaatakowali siłami od dwóch do trzech dywizji strzelców. Podczas zaciętej obrony, przy pomocy wspomnianych wyżej jednostek artylerii, udało się utrzymać pozycje. Pod Pępowem podporucznik hrabia Moltke sam zniszczył sześć sowieckich czołgów. Panowała piękna pogoda, więc Sowietci mogli nieprzerwanie rzucać do akcji szturmowce, którym nie mogliśmy przeciwstawić absolutnie niczego. Niemiecka Luftwaffe bowiem już nie istniała. Artyleria przeciwlotnicza używana była podczas walk naziemnych i nie miała pozwolenia, by marnować cenną amunicję do obrony przed atakami z powietrza.

Oddziały Armii Czerwonej miały za to amunicji, ile dusza zapragnie — i wcale jej nie oszczędzały. Wyładowywali ją niemal na naszych oczach na stacji kolejowej w Żukowie, wiedząc doskonale, że nie zdołamy im w tym przeszkodzić. Rosyjskie jednostki specjalne w zaskakująco szybkim czasie doprowadziły do stanu używalności zniszczoną sieć niemieckich linii kolejowych.

Sowieckie ataki bez przerwy sunęły na linii obrony naszych grenadierów pancernych. Na szczęście udało nam się przeszkodzić na tym odcinku przełamaniu w kierunku Gdańska. Dlatego Sowietci przesunęli ataki bardziej na północ, na pozycje bronione przez sąsiadującą z nami dywizję.

Taka była sytuacja, kiedy 15 marca porucznik Gerlach z 35. Pułku Pancernego otrzymał od pułkownika Christerna rozkaz, by pojechać nadającymi się jeszcze do

akcji „Panterami” swojej kompanii w rejon Rębiechowa — Oruni — Nowego Świata, by wraz z walczącą tam 389. Dywizją Piechoty odeprzeć mający nastąpić atak sowieckich czołgów.

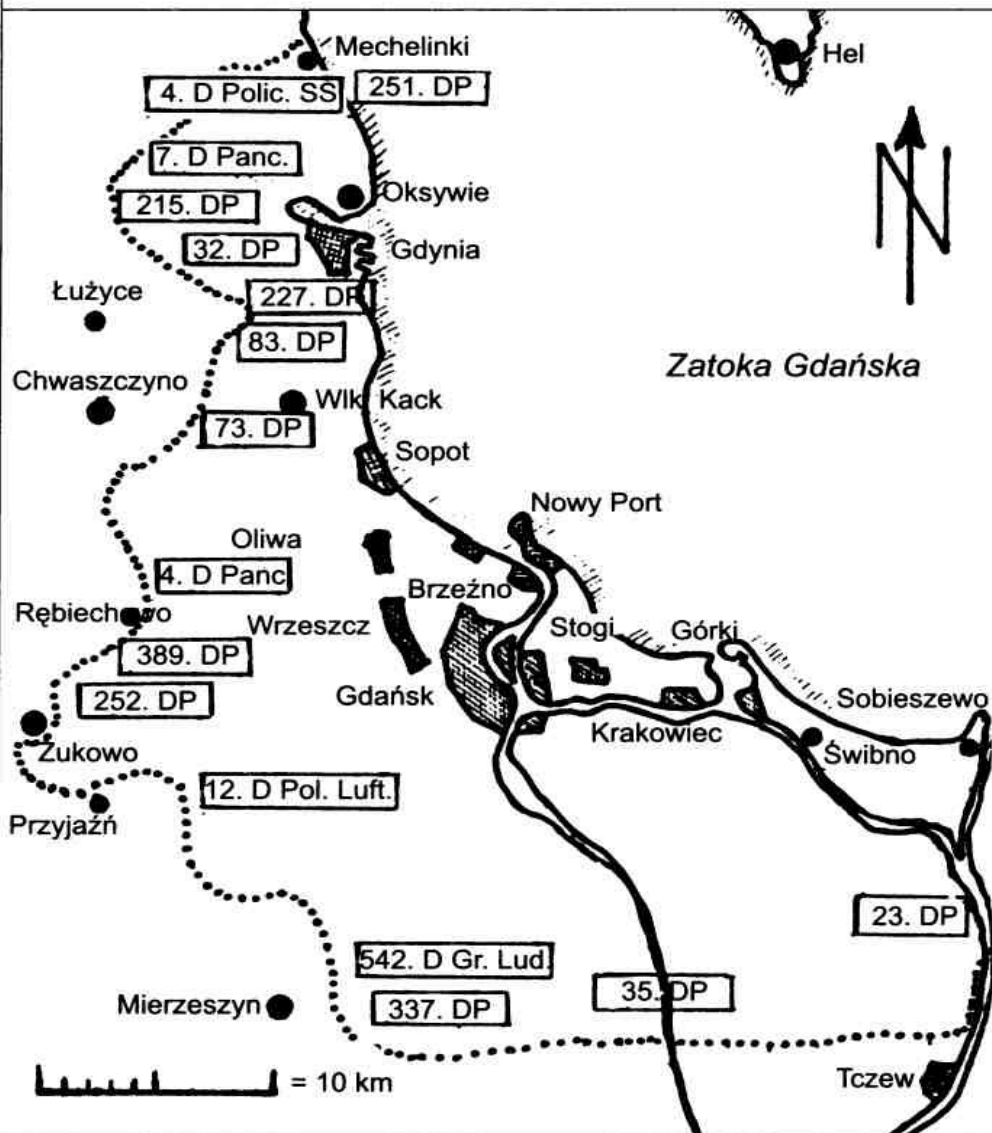
Robert Poensgen, ówczesny sprawozdawca wojenny przy 4. Dywizji Pancерnej, tak opisał tamte wydarzenia:

„Tuż przed rozpoczęciem marszu jedna z „Panter” musiała być przekazana do innej grupy bojowej pułku, na której odcinku obrony zameldowano o pojawieniu się ciężkich sowieckich czołgów typu „Józef Stalin”. Podczas marszu dyslokacyjnego uległy awarii dwie Pantery”, gdyż w zatankowanej przez nie benzynie było zbyt wiele wody. Tuż przed zapadnięciem zmierzchu porucznik Gerlach dotarł z dwoma tylko „Panterami” w rejon przeznaczenia i otrzymał rozkaz Towarzyszenia nocnemu atakowi batalionu fizylierów na wieś Nowy Świat i po zniszczeniu zlokalizowanych tam nieprzyjacielskich czołgów zamknięcia zwężenia między jeziorami.

Około godziny 20.00 pojawili się fizylierzy. Było już całkiem ciemno. Atakujący napotkali silny ogień nieprzyjaciela. Wyraźnie słyszeli wystrzały wielu armat czołgowych.

W tym czasie dowiedzieliśmy się, że we wsi Nowy Świat znajdowało się nie mniej niż 24 nieprzyjacielskie czołgi, w tym 8 typu „Józef i Stalin”. I przeciwko tym czającym się w zasadzce, przeważającym siłom, Gerlach miał walczyć z dwoma tylko „Panterami”! Wszelkimi dostępnymi środkami porucznik starał się przygotować tę operację, która jednak przy całej odwadze z dużym prawdopodobieństwem będzie musiała zakończyć się sukcesem Sowietów. Ale atak na wieś musi być wykonany, bez względu na straty, bo jak twierdzono — tego wymagała sytuacja.

PRZEBIEG FRONTU I DYSLOKACJA JEDNOSTEK 15.3.1945



Wyjaśnienie oznaczeń:

- ... przednie linie niemieckie
- DP = Dywizja Piechoty
- D Panc. = Dywizja Pancerna
- D Pol. Luft. = Dywizja Polna Luftwaffe
- D Gr. Lud. = Dywizja Grenadierów Ludowych
- D Polic. SS = Dywizja Policyjna SS

— Napiszcie testamenty, koledzy! — to była jedyna rada, jaką Gerlach mógł dać swoim pancerniakom. I nie był z pewnością żadnym czarownikiem czy kunktatorem. Miał już za sobą niemal 150 ataków, jakie wykonał w czołgu. Ale ta akcja wydawała mu się być klasycznym *himmelfahrtskommando*^[7]. Na pewno jednak w obu „Panterach” nie siedzieli żadni nowicjusze, lecz wypróbowani w walkach, przebiegli pancerniaczy, którzy dawno już pożegnali się z życiem i byli gotowi wypełnić swój obowiązek do samego końca.

Kiedy fizylierzy z 389. Dywizji Piechoty zbliżyli się do wsi, natychmiast zniszczyli pancerfaustami nieprzyjacielski czołg i jedno działo przeciwpancerne. Potem jednak dostali się pod tak silny ostrzał, że musieli się cofnąć. I akurat w tym niekorzystnym momencie czołg dowodzenia porucznika Gerlacha uległ awarii z przyczyn technicznych. W ostatnim czasie wozy bojowe jednostki były poddane wielkim obciążeniom, brakowało za to czasu, by dokonać odpowiednich przeglądów. Porucznik musiał więc odesłać „Panterę” wraz z załogą, aby nie stracić jej raz na zawsze. Sam zaś, wraz ze swym doświadczoneym kierowcą, podoficerem Kupferem, przesiadł się do drugiej i ostatniej „Pantery”, w której przy dalmierzu siedział młody, niedoświadczony żołnierz. Poza nim na stanowiskach bojowych byli sami wyjadacze — celowniczy: podoficer Lang, ładowniczy: starszy strzelec Heinrich i kierowca: kapral Bauer.

Sama jak palec „Pantera” skradała się wzdłuż toru kolejowego w stronę wsi. Silnik pracował cicho na niskich obrotach, aby nie zdradzić się przed nieprzyjacielem.

Jako stary lis, doświadczony w walkach pancernych, Gerlach wiedział zbyt dobrze, że musi sobie stworzyć doskonałą pozycję wyjściową do ataku, jeśli chce przeżyć tę nierówną walkę. Przed wzrokiem nieprzyjaciela chronił go zasypany śniegiem płot wzdłuż torów. Na torze po jego lewej ręce stały wagony towarowe, tak że nawet o świcie sylwetka czołgu nie byłaby widoczna na tle horyzontu.

Gerlach był oddalony od wsi jeszcze około 400 metrów, kiedy zakopała się w miękkiej ziemi. Kierowca musiał się wykazać największymi umiejętnościami, aby znowu wyprowadzić czołg na twardy grunt. Ale wskutek nieuniknionego zwiększenia obrotów Sowietci zwrócili uwagę na głośnie pracę silnika i na ślepo zaczęli strzelać w podejrzanym kierunku, nie widząc jednak dobrze ukrytego czołgu, nie mówiąc już o jego trafieniu.

Celowniczy Lang wystrzelił, orientując się na ogień wylotowy z lufy przeciwnika i od razu przy pierwszym strzale trafił bezpośrednio działo szturmowe, które natychmiast się zapaliło wraz ze stojącą za nim stodołą, oświetlając jasno całą okolicę. W okolicy stodoły rozpoznano dalsze trzy sowieckie czołgi, zajmujące na skraju wsi stanowiska zabezpieczające.

Ponieważ „Pantera” dostała się teraz pod silny, a przede wszystkim celniejszy ogień, Gerlach cofnął się na tyle daleko, aby przez lornetę nożycową jeszcze widzieć zajętą przez nieprzyjaciela wieś. Między jej domami stały stłoczone sowieckie czołgi. Ostrzał z dział i granatników był coraz silniejszy, ponieważ

sowieccy żołnierze wcale nie musieli oszczędzać amunicji.

16 marca, około południa, przyjechała ze wsparciem druga „Pantera” pod dowództwem starszego sierżanta Palma, zwanego „otwieraczem czołgów”. Jeszcze w ciągu tego popołudnia Palm zapalił dwie nieprzyjacielskie maszyny, w tym jednego „Józefa Stalina”, uszkodził kolejnego „Stalina” i zniszczył ciężkie działko szturmowe. Wyłączył też z akcji kilka dział przeciwpancernych.

Tak minęła reszta tego dnia i noc na 17 marca. Sowietci nie odważali się już beztrąsko wychylać ze swych stanowisk. Dopiero o świcie następnego dnia spróbowali ataku bardziej z prawej strony odcinka, używając dużych sił piechoty. Gerlach natychmiast pojechał do zagrożonego rejonu.

Od razu wziął na siebie obowiązek zwalczania pojawiających się wrogich czołgów, natomiast jego podoficer-radiotelegrafista zajął się koordynacją ognia karabinów maszynowych, mających przyciskać sowiecką piechotę do ziemi.

Obie niemieckie „Pantery” podczas tej bitwy nie tylko odrzuciły atakującą rosyjską kompanię strzelców, ale mając dobre pozycje strzeleckie, zniszczyły jeszcze pięć czołgów „Józef Stalin”, kolejny ciężki czołg innego typu, trzy działka szturmowe i ciężką armatę przeciwpancerną. Również i następnego dnia, 18 marca, Gerlach walczył na tym samym odcinku linii obrony 389. Dywizji Piechoty. Z położonego wysoko, korzystnego stanowiska strzeleckiego, podczas zażartych pojedynków ogniowych zniszczył następnego „Józefa Stalina”, dwa działka szturmowe i dwa działka przeciwpancerne, a także zapalił trzy kolejne nieprzyjacielskie czołgi.

Jak bardzo była wyczerpująca i jakie wyzwania stawiała taka, trwająca dzień i noc, walka na śmierć i życie, pokazuje najlepiej fakt, że zazwyczaj bardzo przytomny porucznik Gerlach zasnął natychmiast podczas jednej z narad na stanowisku dowodzenia pułku piechoty.

Sukces tych trzech dni walki: bez strat własnych zniszczono dwadzieścia jeden ciężkich i najcięższych czołgów nieprzyjaciela.

Zwycięstwo osiągnięto nie tylko dzięki sprytnemu sposobowi dowodzenia, przebiegającej bez przeszkód współpracy starych i doświadczonych pancerniaków, ale w pierwszym rzędzie dzięki żelaznej woli tych dziesięciu ludzi ukrytych za stalowymi płytami, utrzymujących dla kobiet, dzieci i rannych towarzyszy wolną drogę ratującą ich życie, co może dzisiaj brzmieć banalnie w uszach co poniektórych“. Tyle sprawozdanie Roberta Poensgena.

Większość sił 4. Dywizji Pancerniej prowadziła w tym czasie ciężkie walki obronne między Rębichowem a Żukowem, około 16 kilometrów na zachód od Gdańska. Nasze czołgi bardzo skutecznie wspierały bijących się tam grenadierów. Od 16 marca od godziny 09.00 Sowietci zaczęli atakować bez przerwy, rzucając do boju dwie dywizje strzelców i siły pancerne. Podporucznik hrabia Moltke, z małą grupą pancerną, odparł do godziny 17.00 wszystkie ataki wroga, mszcząc przy tym dziewięć sowieckich czołgów. Trzy kolejne zostały zniszczone za pomocą pancerafaustów, dwa z nich poszły na konto kaprała Schöbela z 5. kompanii 12. Pułku Grenadierów Pancernych.

Straty ludzkie po obu stronach były bardzo wysokie. Ubytki w szeregach grenadierów pancernych wyrównywano liczbowo z pozornie niewyczerpanych „zasobów” obrońców miasta Gdańska, gdzie patrole żandarmerii polowej odbywały „polowania na bohaterów”.

W mieście i okolicy były liczne urzędy i stanowiska administracyjne, które od dawna nie miały już czym zarządzać, w ciszy i spokoju egzystowały służby zaopatrzeniowe, mimo że od wielu dni wszystkie drogi zaopatrzenia były już przerwane, funkcjonowało całe mnóstwo sztabów, które straciły sens swego dowodzenia, bo ich jednostki już nie istniały. Krótko mówiąc, Gdańsk był przepełniony żołnierzami służb tyłowych, niepotrzebnych na zapleczu. Wszyscy zostali teraz włączeni jako rezerwy i uzupełnienia oddziałów walczących na froncie. Codziennie do grenadierów pancernych docierały duże grupy tych „zaprawionych w bojach” żołnierzy.

„Zanim udało nam się zapisać ich nazwiska, część z nich została już ranna albo po prostu zniknęła. Doświadczony kapral z dwoma czy trzema żołnierzami lepiej bronił swojego odcinka aniżeli trzydziestu takich niewyćwiczonych ludzi bez doświadczenia frontowego” — tak brzmiała ocena grenadierów, jeśli idzie o jakość tych uzupełnień.

Pewnego dnia do 12. Pułku Grenadierów Pancernych przydzielono kompanię niszczycieli czołgów: czternastu członków Hitlerjugend z Gdańska, wyposażonych w rowery i pancerfausty. Chłopcy starali się robić bardzo męskie wrażenie, będąc pod wrażeniem wagi przydzielonego im zadania. Na ich dziecięcych twarzach rysowała się wielka powaga. Grenadierzy nakarmili ich, delikatnie zabrali pancerfausty i pozwolili na długi sen na stanowiskach obrony. A potem wysłali do domów, do matek, gdzie było ich miejsce.

Mając do dyspozycji tylko niewielkie rezerwy amunicyjne, nasz 103. Pułk Artylerii Pancerniej walczył ze związkami nieprzyjaciela w Żukowie i w okolicy tamtejszej stacji kolejowej. 290. batalion obrony przeciwlotniczej otrzymał pozwolenie na zwalczanie beztrąsko atakujących nas sowieckich szturmowców i zestrzelił swój siedemdziesiąty piąty samolot.

Co prawda, 16 marca stracono Rębiechowo, jednak główną linię obrony udało się w przeważającej części utrzymać.

Ewakuacja uciekinierów i rannych z Gdyni i Gdańska przez morze trwała na najwyższych obrotach, mimo że nabrzeża przeładunkowe były bez przerwy atakowane przez sowieckie bombowce i samoloty szturmowe.

17 marca Oberkommando der Wehrmacht podało do wiadomości, że dowódca 4. Dywizji Pancerniej, generał Clemens Betzel, został odznaczony Liściami Dębowymi Krzyża Rycerskiego Krzyża Żelaznego. W dywizyjnym rozkazie dziennym generał podziękował swym żołnierzom za bezprzykładne męstwo, które stało się podstawą przyznania tego wysokiego odznaczenia.

Znamiennym przykładem gorączkowych działań tamtych dni była nagana przekazana do Korpusu przez oficera sztabu dowodzącego generała akurat 18 marca, kiedy większość 33. Pułku Grenadierów Pancernych i część 35. Pułku

Pancernego przekazano do wsparcia 252. Dywizji Piechoty, a „Pantery” 35. Pułku Pancernego ciągle jeszcze z sukcesami walczyły na odcinku bronionym przez 389. Dywizję Piechoty: Dowodzący generał jest rozzarowany, że 389. Dywizja Piechoty, mając wsparcie 30 czołgów, mogła obronić swoje pozycje, a 4. Dywizja Pancerna nie była w stanie zdobyć wzgórza 164,9.

W odpowiedzi generał Betzel zameldował po prostu: „Bataliony i większość pozostałych jednostek dywizji zostały przydzielone do wsparcia sąsiednich dywizji. W samej dywizji są tylko dwa czołgi nadające się do walki. Biorąc pod uwagę stan zapasów amunicji, artyleria dywizyjna doskonale wypełniła swoje zadanie, wspierając sąsiadów. Jednak bez jednostek i żołnierzy zdobycie wzgórza 164,9 nie było możliwe”.

W nocy na 19 marca, na przepelniony kolumnami uciekinierów Gdańsk dokonano straszliwego w skutkach nalotu bombowego, używając do niego 300 do 400 amerykańskich samolotów typu „latająca forteca”. Z położonych na zachód od miasta naszych pozycji na wzgórzach bezczynnie musieliśmy się przyglądać rozgrywającemu się na naszych oczach tańcowi śmierci; na nasze pozycje nie spadła ani jedna bomba. Samoloty nadleciały z zachodu, a po bombardowaniu poleciały na wschód. W nocy 20 marca bombowce nadleciały ze wschodu, niemal bez przeszkód zrzuciły swoje bomby na miasto i poleciały na zachód. Nędzna obrona przeciwlotnicza miasta nie zdołała się im przeciwstawić.

W ciągu dnia sowieckie samoloty były niemal bez przerwy w powietrzu. Szturmowce z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach ostrzeliwały z broni pokładowej każdy pojazd na drogach i ulicach, demolując przednie linie naszej obrony rakietami. Ludność Gdańska mogła opuszczać schrony przeciwlotnicze dosłownie tylko na kilka minut.

20 marca, po wielogodzinnym przygotowaniu artyleryjskim, Sowieci zaatakowali nowo ściągniętymi na front siłami trzech dywizji strzelców i trzydziestu czołgów cały odcinek frontu broniony przez naszą dywizję między Bysewem a Leźnem (Lipowcem). Atak ten kontynuowano z taką samą gwałtownością także 21 marca. Sowieci od dawna wiedzieli już o naszych kłopotach z zaopatrzeniem w amunicję i wręcz prowokująco poruszali się na zapleczu linii frontu, otwarcie dowożąc zaopatrzenie na pozycje oddziałów szturmowych.

Ograniczenia w dostawach amunicji i paliwa dla niemieckich jednostek frontowych tylko po części wynikały z rzeczywistego ich braku. Z pewnością służby magazynowe otrzymały polecenie bezwzględnego oszczędzania istniejących zapasów, jako że było niepewne, czy można w ogóle oczekiwać dalszych dostaw z bombardowanych bez przerwy Niemiec centralnych. Poza tym każdy transport z wybuchowym ładunkiem do jednostek frontowych przy takiej sowieckiej przewadze w powietrzu był klasycznym *himmelfahrtskommando*. Dostawy były utrudniane i opóźniane również przez surowe i ścisłe kontrole drogowe, aczkolwiek ich obecność w tej sytuacji rozumiano.

Co prawda, bez przerwy dochodziło do drobnych przełamania niemieckich linii

obronnych, ale cel, do jakiego dążył przeciwnik, czyli otwarcie korytarza do Gdańska, nie został osiągnięty, dzięki dzielnej postawie broniących się oddziałów.

Chodziło również o to, by możliwie jak najdłużej utrzymać dywizję Armii Czerwonej na dystans od Morza Bałtyckiego, aby nieustannie napływająca rzeka uciekinierów i tłumy zbierające się przy nabrzeżach nie znalazły się pod ogniem sowieckiej artylerii.

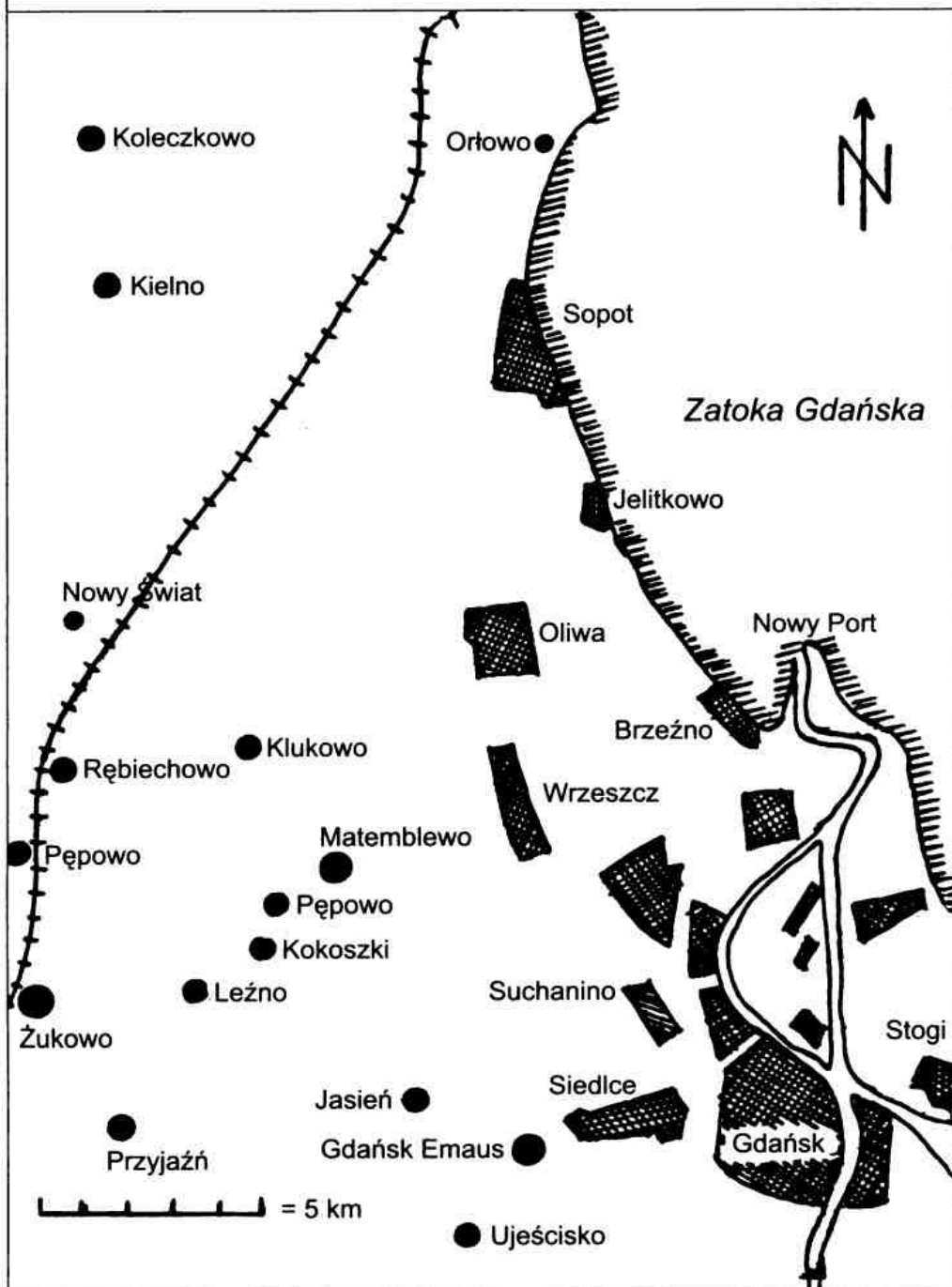
Rozpaczliwe walki obronne na wzgórzach na zachód od Gdańska z ciągle atakującymi, przeważającymi siłami nieprzyjaciela dysponującego bronią ciężką, czołgami i niewyczerpanymi zapasami amunicji, wygrywającego swoją liczbową i materialną przewagę, kosztowała stronę niemiecką wiele krwi. Niektóre kompanie jednostek frontowych liczyły tylko dziesięciu do dwudziestu żołnierzy. Bataliony grenadierów pancernych miały już przeważnie stan osobowy zaledwie jednej kompanii. Wysokie straty nie mogły być uzupełnione rezerwami, jakie doprowadzano na front w efekcie operacji „polowania na bohaterów“.

Jednocześnie w niebezpieczeństwie znalazł się także personel transportowy, sztabowy i warsztatów remontowych, gdyż ich członkowie mogli być „zarekwirowani” przez patrole żandarmerii polowej i przydzieleni do jakiegokolwiek, obcej jednostki piechoty czy kompanii alarmowej i „sprzedani” poniżej swej wartości. W tej sytuacji jednostki frontowe musiały coś wymyślić, ponieważ ci już starsi przeważnie wiekiem żołnierze absolutnie sobie na to nie zasłużyli.

103. Pułk Artylerii Pancerniej ze swych kanonierów, którzy stracili działa, stworzył „kompanię artylerii”; została ona podporządkowana 12. Pułkowi Grenadierów Pancernych i miała brać udział w walkach jako piechota. W ten sposób żołnierze ci pozostali w składzie dywizji i mogli walczyć pod dowództwem znanych im oficerów i podoficerów.

Z kolei pozbawione wozów bojowych załogi czołgów z naszego 35. Pułku Pancernego zebrano w kompanię niszcycieli czołgów; jej żołnierzy uzbrojono w karabiny i pistolety maszynowe, pistolety i pancerna fausty. Byłymi czołgistami dowodził podporucznik Klaus Schiller, który z początkiem wojny utracił w bojach rękę, a mimo to teraz zameldował się jako ochotnik na front.

REJON WALK NA WZGÓRZACH NA ZACHÓD OD GDAŃSKA



21 marca Sowieci kontynuowali ataki na całym gdańskim odcinku Frontu Zachodniego. W ich trakcie udało im się dotrzeć do Zatoki Gdańskiej na północ od Sopotu. Okręty Kriegsmarine skutecznie wspierały walki obronne niemieckich oddziałów, ale również i one nie zdołały przeszkodzić w zdobyciu przez Sowieców Sopotu, znanego kąpieliska morskiego. Przyczółek gdański został teraz podzielony na trzy części: półwysep Hel, port marynarki wojennej Gdynia Oksywie oraz największą część przyczółka z portem w Gdańsku, łącznie z Żuławami i Mierzeją Wiślaną.

W ten sposób Sowieci zawładnęli również terenami wzgórz wznoszących się na zachód od Oliwy, skąd było widać całe zagłębienie, w którym leżało miasto Gdańsk. Natychmiast wykorzystali tę nad wyraz korzystną sytuację i zaczęli tam budować stanowiska artyleryjskie, przygotowując się do zadania miastu śmiertelnego ciosu.

I na ten cios nie trzeba było długo czekać. 23 marca na przedmieścia Gdańska spadła niewyobrażalnych wprost rozmiarów nawała ogniowa. Określenie „nawała ogniowa” nie było już trafne w przypadku tego gigantycznego ryku, ogłuszającego, nieprzerwanego wycia, trwających godzinami serii eksplozji granatów, rakiet i ciężkich pocisków. Wszystkie połączenia telefoniczne zostały zniszczone; również stanowiska dowodzenia pułków znajdujące się w tym rejonie pozbawione zostały komunikacji radiowej, stąd przez długi czas brakowało wiadomości o sytuacji na froncie. Wyjątkiem byli ci dowódcy, w których okolicy znajdował się jakiś czołg, mogący się porozumiewać z kolegami poprzez radiostację pracującą na falach ultrakrótkich.

O godzinie 11.20, po tym potwornym przygotowaniu artyleryjskim, sowieckie dywizje ruszyły do wielkiej ofensywy. Jej celem była miejscowość Kokoszki, oddalona mniej więcej o 10 kilometrów od Gdańska.

Do zagrożonego rejonu Matemblewa pospiesznie rzucono 2. batalion 33. Pułku Grenadierów Pancernych, który po ostatnich stratach miał już siłę tylko jednej kompanii; dołączyły do niego wykrwawione resztki 79. pancernego batalionu saperów i części 103. Pułku Artylerii Pancernej, a także 290. dywizjon artylerii przeciwlotniczej.

Z kolei 2. batalion 12. Pułku Grenadierów Pancernych, również w sile jednej kompanii, dwie samojezdne baterie 103. Pułku Artylerii Pancernej, jego „kompanię artyleryjską” oraz kompanię niszczycieli czołgów naszego 35. Pułku Pancernego wysłano do Jasienia. Po zatrzymaniu ataku sowieckiego miano zająć nowe pozycje obronne na linii wzgórz ciągnących się od Matemblewa przez Małe Kiełpino aż do Jasienia.

Klaus Schiller, jednoręczny podporucznik i dowódca kompanii niszczycieli czołgów 35. Pułku Pancernego tak opisał tamtą akcję:

„To był koniec marca 1945 roku. Tak naprawdę nikt z nas nie wiedział, jaki był dzisiaj dzień tygodnia i jaką miał datę. W piekielnym ogniu w obronie Gdańska straciliśmy wszelkie poczucie czasu, a także i chęć poznania tych szczegółów.

Szybko rozpowszechniła się i równie szybko gdzieś zginęła pogłoska, że mamy być przetransportowani statkiem na nowe pozycje w ojczyźnie. Zamiast tego rozdzielono pośród nas pancerniaki, karabiny i pistolety maszynowe oraz granaty ręczne. Nie wyglądało więc na to, że załogi zniszczonych lub uszkodzonych czołgów“ zostaną wyposażone w nowe wozy bojowe.

Na razie graliśmy w karty, pisaliśmy listy, które — być może — dotrą do ojczyzny, aby choć trochę wyjaśnić dręczącą bliskich niepewność. Odbieraliśmy tę krótką przerwę, wyłączenie napiętych do granic ostateczności instynktów bojowych, jako konieczne — być może ostateczne — przygotowanie do czegoś, co zbliżało się do nas z nieuniknioną i koszmarną pewnością.

Z oddali dochodziły nas odgłosy walki toczącej się na głównej linii frontu. Dawno już przyzwyczailiśmy się do wycia syren, szczekania działek przeciwlotniczych, eksplozji bomb, tej pełnej okrucieństwa, równomiernej muzyki bitewnej, towarzyszącej zniszczeniu wspaniałego śródmieścia Gdańska.

Zastanawiałem się, co czują ci mężczyźni, którzy poznali wszystkie barwy wojny od początku i wiedzieli, że Gdańsk jest jedną olbrzymią pułapką?

I wtedy wyprostował nas, niczym przeraźliwy gwizdek, rozkaz z pułku: Z pozostałych żołnierzy rozbitych kompanii czołgów zostaje stworzona kompania niszczycieli czołgów. Jej zadaniem będzie, pod ochroną piechoty, niszczenie czołgów nieprzyjaciela w walce wręcz, by w ten sposób powstrzymać dalszy marsz przeciwnika. Pozycje obronne należy zająć do godziny 15.00. W tym czasie należy też nawiązać łączność z jednostkami piechoty.

Szybko podzielono żołnierzy na plutony i grupy tak, aby zachowane zostały stare więzi koleżeńskie. Ciężarówki podwoziły nas w pobliże wyznaczonych rozkazem pozycji. Jadąc, na przekór wszystkiemu, śpiewaliśmy nasze stare piosenki. Na całe gardło!

Jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu znaleźliśmy przygotowane wcześniej okopy, po obu stronach drogi prowadzącej do Gdańska. Przed nami leżała wieś Jasień, a przed nią jeszcze małe wzgórze. Kompanię podzielono na dwa plutony, którymi dowodzili doświadczeni podoficerowie. Po ostatniej naradzie rozstaliśmy się. Słowa „Do widzenia!” czy „Trzymajcie się!” miały tego dnia szczególne brzmienie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Uściśnięcie dłoni na pożegnanie trwało sekundę dłużej niż zazwyczaj.

Z doświadczenia wcześniejszych akcji wiedzieliśmy, że możemy bezwarunkowo polegać na sobie w najbardziej ekstremalnych sytuacjach, nawet jeśli od tygodni obowiązującym w mieście, acz nie wypowiedzianym głośno, hasłem było: „Ratuj się, kto może!”.

W ciemnościach przemykały obok nas pojedyncze cienie, a także grupki, idące w kierunku Gdańska. Na nasze pytanie odpowiadały ze zmieszaniem: „Iwan atakuje!”. Aby zorientować się w sytuacji, brodząc w biocie, ruszyłem z kilkoma towarzyszami w stronę ciemnych zarysów domów stojących w pobliżu. W czasie marszu ciepłe, wysokie filcowe buty stawały się niekiedy samodzielne. W domach napotkaliśmy kilku piechurów, z którymi nawiązaliśmy kontakt już po południu.

Zamiast leżeć za karabinami maszynowymi, palili spokojnie fajki. A więc sytuacja nie była chyba taka zła. Piechurzy należeli do jednostki, zajmującej stanowiska na wzgórzu przed wsią.

Opisaliśmy im jeszcze raz dokładnie naszą pozycję i przyrzekliśmy, że w przypadku ataku czołgów nie pozostawimy ich na pastwę losu. Uspokojeni wróciliśmy do naszych okopów. Wioska znajdowała się pod ciągłym ostrzałem z działa i miotaczy granatów.

Okolo północy usłyszeliśmy głosy zbliżających się Rosjan. W przerwach między wystrzałami dochodziły nas ich okrzyki „Dawaj”, jakimi popędzali konie. Od dłuższego też czasu w tle słychać było znajome mruczenie ciężkich silników i metaliczny klekot pancernych gąsienic. Sądząc po dźwięku, musiały należeć do zbliżających się do naszych stanowisk T-34. Niebawem, gdy czołgi wjechały na wiejską ulicę, klekot stał się nieco twardszy. Pierwszy z czołgów już wkrótce powinien się pojawić między domami.

Niebo rozjaśniały rozbłyski wystrzałów, eksplozje i pożary. We dwóch ostrożnie skradaliśmy się w cieniu drzew i domów w stronę źródła hałasu. W takich warunkach tylko indywidualne akcje mogły zakończyć się sukcesem. Gdyby czołgom towarzyszyła sowiecka piechota, obsługa naszych karabinów maszynowych miała nam dać osłonę.

Zbliżający się klekot gąsienic urwał się nagle z krótkim skrzyknięciem. Rozpoznaliśmy wyraźnie stojący na skraju ulicy T-34, który groźnie uniósł lufę i obracał ją, szukając celu. W takim stanie stalowy kolos był dla nas najmniej niebezpieczny. Mimo uważnej obserwacji nie zauważyliśmy w okolicy sowieckiej piechoty. A więc do dzieła!

Ostrożnie skradaliśmy się coraz bliżej stalowego potwora: 50 metrów... 40... 30... i znaleźliśmy się w leju po eksplodującym granacie. Z tej perspektywy opancerzony przeciwnik wyraźnie odcinał się od tła blednącego, nocnego nieba.

Ognisty ogon naszego pancerfausta gwałtownie rozjaśnił ciemności ... Potem dwie sekundy, w czasie których serce mi formalnie zamarło bez ruchu! A następnie jasny rozbłysk i twarde uderzenie: Pełne trafienie!

Kilka wrzasków, gwałtownie otwierająca się kłapa jednego z luków i z wnętrza w otaczającą czołg pustkę wypadło kilka postaci, by za moment, kuśtykając, zniknąć w ciemnościach nocy. Nie strzelaliśmy za nimi. W czołgu pojawiły się płomienie ognia; w chwilę potem spalił się wstrząsany eksplodującymi wewnątrz pociskami.

To spontaniczne powitanie najwyraźniej zrobiło duże wrażenie na Sowietach, przerwali bowiem swoje nocne natarcie. Za to rozgadały się ich działa i moździerze. I nagle znowu zapanowała napawająca lękiem cisza.

O świcie poznaliśmy przyczynę tej nadzwyczajnej ciszy: wyczerpana i zdziesiątkowana piechota wycofała się ze stanowisk obronnych na wzgórzu przed wsią, nie informując nas o tym przed odwrotem. Nie było to zbyt piękne zachowanie, ale któż mógł mieć to za złe na wpół martwym z wyczerpania piechurom?

Jak powinniśmy teraz postąpić? Gdybyśmy się wycofali z tego małego przyczółka, wtedy nasz pluton i jednostka bawarskiej piechoty byłyby odcięte od reszty naszych sił. Z kolei zajęcie opuszczonej pozycji przed wsią przez umundurowanych na czarno pancerniaków, z niewielkim jedynie doświadczeniem w walce wręcz oraz w okopach, byłoby z naszej strony naprawdę odważnym przedsięwzięciem.

Za wiele jednak widzieliśmy podczas minionych tygodni: kolumny uciekających rodzin z drżącymi kobietami i płaczącymi dziećmi; bezbronnych ludzi, których pędziły przed sobą sowieckie czołgi, rozstrzeliwanych bezlitośnie w drodze na wybrzeże, ponieważ poruszali się zbyt wolno. Czy mamy rozczarować te biedne ofiary wojny, które pokładają w nas ostatnią nadzieję? Myśl o tych ludziach ułatwiła nam decyzję.

Pojedynczo posuwaliśmy się do przodu pod ogniem sowieckiej artylerii. Mieliśmy już dwóch poległych. Potem obsadziliśmy opuszczone okopy na wzgórzu. Ten wysunięty bastion mogliśmy utrzymywać przez kilka godzin dlatego, że Sowietci znacznie przeceniali naszą siłę. Dopiero gdy się upewniliśmy, że po obu naszych stronach nie ma już żadnych niemieckich oddziałów, około południa oderwaliśmy się powoli od przeciwnika i zaczęliśmy się zbierać u wyjścia ze wsi. Bardzo się martwiliśmy o nasz 1. pluton, z którym nie mieliśmy kontaktu od świtu.

Dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, że mimo kontrataku, jaki podjęliśmy z ich powodu, pluton ten został okrążony i niemal całkowicie rozbity przez Sowietów. Tylko niewielu żołnierzom udało się przedostać do nas cało.

My zaś byliśmy stopniowo coraz bardziej naciskani ze wszystkich stron przez atakujących Sowietów, którzy wpychali nas do tego kotła czarownic, jakim stał się Gdańsk. Wszyscy, którzy pozostali jeszcze przy życiu i chcieli bez walki poddać się Rosjanom, ukrywali się teraz, leżąc za barykadami, resztkami murów, krawężnikami, a nawet nagrobkami. Słyszeliśmy też okrzyki ludzi zmęczonych i wyczerpanych walką, dochodzące z piwnic i bunkrów: „Rzućcie broń!”. To nie były groźby, lecz głosy rozpacz, głosy ludzi zebranych.

Byli wśród nich żołnierze, którym się wydawało, że się uratują, gdy założą cywilne ubrania. Także i nie wszyscy nasi ludzie wytrzymali tę próbę nerwów. Jeden z gońców zniknął bez śladu razem ze swym motocyklem. Inny z żołnierzy prosił mnie najusilniej, bym pozwolił mu przebić się do znajdującego się na tyłach batalionu, bo w domu czeka na niego żona i dzieci. Nie mogłem się oprzeć tej prośbie i napisałem dla niego meldunek do 1. batalionu o dotychczasowym przebiegu naszej akcji, gdyż bez służbowego zadania żandarmeria polowa natychmiast by go schwytała i przekazała sądowi doraźnemu.

Nie należy wydawać zbyt pospiesznych wyroków, każdy z nas bowiem usiłował znaleźć wtedy odpowiedź na pytanie: walczyć dalej czy się poddać? Mamy posłuchać głosów wątpiących, dobiegających z piwnic, czy też walczyć do końca, pomagając w ten sposób dziesiątkom tysięcy ludzi zebranych na nadmorskich plażach?

Nie chcieliśmy w żadnym wypadku pewnego dnia wstydzić się przed naszymi poległymi kolegami. Dlatego walczyliśmy dalej o Gdańsk, nawet jeśli byliśmy skazani tylko na siebie.

Podczas ostatnich dni, w trakcie walk ulicznych, przyswoiliśmy sobie skuteczną taktykę niszczenia czołgów. Przez poddasza i strychy, połączone ze sobą ze względów obrony przeciwlotniczej, podchodziliśmy w ukryciu aż do sowieckich czołówek pancernych. Jako zabezpieczenie, przy okienku w dachu, zostawialiśmy Strzelca z pistoletem maszynowym. Potem, przez dymniki, naszymi pancerfaustami braliśmy na cel czołg przeciwnika. Kiedy jakiś T-34 niespodziewanie wylatywał w powietrze, robiło to zazwyczaj na Sowieciech piorunujące wrażenie. Następnie wykorzystywaliśmy zamieszanie u przeciwnika, aby niezauważenie zniknąć i poszukać nowego celu. W ten sposób zmuszaliśmy Sowieców do tego, aby poruszali się wolniej i bardziej ostrożnie. Każda godzina, każdy wywalczony dzień był nieprawdopodobnie ważny dla uciekinierów. Na szczęście pancerfaustów nam nie brakowało. Można je było znaleźć dosłownie wszędzie. Gorzej było natomiast z prowiantem.

Podczas jednej z akcji przy ulicznej barykadzie straciliśmy sporo zabitych i mieliśmy kilku rannych. Nad ich grobami przyrzekliśmy, że nigdy ich nie zapomnimy. Poprosiliśmy Boga o pocieszenie dla ich krewnych i potrzebną nam siłę do bezlitosnej walki, czuliśmy bowiem, że wątpliwości w nas i piekło wokół nas uczynią nas bezsilnymi.

Dopiero kiedy Stare Miasto w Gdańsku stało już całe w płomieniach i załamywały się jeden po drugim wszystkie mosty, przez odnogę Wisły wycofaliśmy się pojedynczo na przedmieście Stogi. Wtedy, po raz pierwszy i ostatni w życiu, spojrzałem z jednego z płonących i walących się mostów na słynny, znany na całym świecie Żuraw gdański, który właśnie również płonął. Ogarnęło mnie głębokie przygnębienie. A jednak każde uratowane ludzkie życie było tysiąc razy więcej warte od wszystkich tych zabytkowych budowli. Prowadziłem zawile i mętne monologi. Wzdrygnąłem się nagle, słysząc gorzki śmiech. Powłócząc nogą za nogą, zorientowałem się, że był to mój własny śmiech.

Na Stogach znowu spotkałem wszystkich kolegów, którym udało się przeżyć piekło Gdańska i wyjść z niego choćby po części cało. Ogarnęła mnie głęboka satysfakcja. Koleżeństwo w czasach wojny to było naprawdę coś jedyne w swoim rodzaju!"

Mimo że ewakuację Gdańska rozpoczęto już 20 marca, przerażeni mieszkańcy tak ciężko doświadczonego miasta nie odważali się pojawiać na jego ulicach, ciągle ostrzeliwanych przez nisko lecące samoloty szturmowe. Zdolność decyzji paraliżował również lęk przed nieznaną przyszłością. Wokół krążyły opowieści o losach „Wilhelma Gustloffa” i „Generała Steubena”, więc wielu uciekinierów, którzy w Nowym Porcie czekali na statek, gdy usłyszeli zbliżające się eksplozje granatów i nadlatujące sowieckie szturmowce, znowu zaczęło szukać schronienia w schronach przeciwlotniczych w mieście. Większość z nich szukała jednak ochrony w lasach porastających wydmy koło Stogów i Krakowca, ponieważ teraz

zaczęły kursować tam i z powrotem z Nowego Portu na Hel małe statki, zabierając uciekinierów.

Do tej pory eskadry nocnych bombowców pochodzenia amerykańskiego latały na akcje z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, bombardując głównie centrum Gdańska, ale w nocy 23 marca dokonały one wielkiego nalotu na rejon Stogów, Krakowca i Nowego Portu. Podczas tego nalotu zginęły tysiące kobiet i dzieci, ponieważ nie zatroszczono się tam o odpowiednie schrony przeciwlotnicze.

24 marca sowieckie bombowce otwarły luki bombowe nad centrum Gdańska. Rakiety bezustannie wylatywały spod skrzydeł maszyn typu Il-2. Wszędzie wybuchały pożary, zamieniając się szybko w huragan ognia. Mimo wielkich wysiłków nie dało się go już opanować, gdyż w nocy sieć zaopatrzenia w prąd i wodę została w mieście trwale zniszczona.

Palii się już asfalt na ulicach i mostach, a chmury dymu zasłoniły niebo, utrudniając oddychanie, przede wszystkim w piwnicach. W schronach przeciwlotniczych zginęło tej nocy wielu ludzi. I ciągle przeraźliwie wyły syreny. Z naszych lotnisk nie wystartował ani jeden samolot. Prawie nie strzelała nasza artyleria przeciwlotnicza. Uciekło tylko kilka nieprzyjacielskich samolotów trafionych pociskami z karabinów maszynowych. Ale ich widok jeszcze bardziej wzmocnił nastrój końca świata w tym umierającym mieście nad Wisłą i Motławą.

Kiedy powszechny chaos osiągnął punkt kulminacyjny, znowu nadleciały bombowce. Tym razem zamiast bomb zrzuciły ulotki. Miliony kartek wirowały w powietrzu na tle zadymionego nieba. Marszałek Rokossowski sądził, że udało mu się nas zmiękczyć. Ku pamięci potomnych należy zacytować słowa jego ulotki:

„ODEZWA MARSZAŁKA ROKOSSOWSKIEGO DO GARNIZONÓW GDAŃSKA I GDYNI!

Generałowie, oficerowie i żołnierze 2. Armii niemieckiej!

Wczoraj, 23 marca 1945 roku, moje oddziały zajęły Sopot i rozdzieliły okrążone jednostki niemieckie na dwie części. Garnizony Gdańska i Gdyni zostały od siebie odcięte. Nasza artyleria ostrzeliwuje porty w Gdańsku i w Gdyni oraz wejścia do nich. Żelazny pierścień moich wojsk zacieśnia się wokół was coraz bardziej.

W tych warunkach wasz opór jest bezsensowny i prowadzi jedynie do waszej zagłady, a także zagłady setek tysięcy kobiet, dzieci i starców.

Wzywam was więc do:

1. Natychmiastowego zaprzestania stawiania oporu i poddania się z białą flagą do niewoli pojedynczo, grupowo, plutonami, kompaniami, batalionami i pułkami.

2. Wszystkim, którzy się poddadzą do niewoli, gwarantuję życie i pozostawienie osobistej własności. Wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy nie

złożą broni, zostaną podczas zbliżającego się szturmu zniszczeni.

Na was spocznie pełna odpowiedzialność za cierpienia i ofiarę ludności cywilnej.

24.3.1945 roku

Naczelnny Dowódca
Jednostek 2. Białoruskiego Frontu
Marszałek Związku Radzieckiego
K. Rokossowski”

Odezwa ta została sformułowana bardzo sprytnie, ale tylko niewielu uwierzyło obietnicom sowieckiego marszałka. Z pewnością, z militarnego punktu widzenia, walka o Gdańsk stała się bezcelowa. W przypadku dotrzymującego zasad przeciwnika ich przerwanie byłoby całkiem sensowne, ale na pewno nie w przypadku nieprzyjaciela, który swoim żołnierzom wciska w rękę list żelazny zezwalający na mordowanie, gwałcenie i plądrowanie.

Tych niewielu naiwnych i słabych, którzy poddali się Armii Czerwonej, miało potem okazję, by przez wiele lat, siedząc w sowieckich obozach dla jeńców wojennych, zastanowić się nad tym, co zrobili

„Pozostawienie osobistej własności”, „dobre traktowanie” i „natychmiastowy powrót do domu po wojnie”, o których od tygodni huczały propagandowo sowieckie megafony, były zwykłym, ordynarnym kłamstwem.

Stąd odezwa sowieckiego marszałka nie przyniosła żadnego oszałamiającego sukcesu. Niemieccy żołnierze nie mieli ochoty zostawić na pastwę samowoli Armii Czerwonej ludności cywilnej, by padła ofiarą takiej masakry, jak na przykład ludność Nemmersdorfu.

Marszałek Rokossowski na udzieloną mu przez niemieckich żołnierzy odmowę odpowiedział w Niedzielę Palmową, 25 marca, strasznym nalotem, który zmasakrował gdańskie Stare Miasto. W trakcie nalotu zniszczono niemal wszystkie tamtejsze zabytki. Trafiona została również i szacowna katedra Najświętszej Marii Panny. Morze płomieni osiągnęło niewyobrażalne rozmiary. Ciągły ogień artylerii zmusił ludzi do ukrycia się w piwnicach, gdzie wielu z nich się udusiło.

Jako ostatni opuścił gdański Nowy Port statek „Ubena”, mający wyporność 9555 BRT. Statek ten wychodził z portu już pod ogniem sowieckiej artylerii, zabrawszy uprzednio resztę koczujących tam uciekinierów. Wkrótce po wyjściu z portu wyleciały w powietrze dwa niemieckie statki z amunicją: „Bille” i „Weser”.

Leżeliśmy tuż przed nieprzyjacielem w okopach, wykopanych na zboczu stromego wzgórza, które nazywało się Suchanino, podobnie jak gdańskie przedmieście leżące u jego stóp. W zbocze bez przerwy uderzały granaty; co chwila drżało też wskutek eksplozji bomb lotniczych. Tego dnia poległ kapitan Kahle, nowy adiutant pułku, i pochodzący z Prus Wschodnich kapitan Schalmat, zawsze wesołego usposobienia, szef warsztatów naprawczych pułku.

Przed nami, oddalony od naszych okopów tylko o kilkaset metrów, zajmował pozycję z grupą czołgów, nie pozwalając się zbliżyć Sowietom ani na krok, podporucznik „hrabia Rüdiger von Moltke” — podajmy tu w pełnym brzmieniu, jego tak historyczne przeciwieństwo nazwisko, które znało w naszym 35. Pułku Pancernym tylko niewielu, gdyż dla wielu był on po prostu „panem podporucznikiem” albo „szefem”; przyjaciele nazywali go „Molchem”.

Z dywizji dotarł do nas rozkaz rozwiązujący sztab naszego 35. Pułku Pancernego i włączający wszystkie nadające się do akcji wozy bojowe w skład 1. batalionu. Miał nim dowodzić, tak jak do tej pory, kapitan Kästner. Pancerniaków, którzy pozostali bez przydziału, przekazano do 12. Pułku Grenadierów Pancernych. Była to dla doświadczonych czołgistów ciężka decyzja. Jediną pociechą było to, że nadal znajdowali się razem w składzie 4. Dywizji Pancernej.

Nasz dotychczasowy dowódca pułku, pułkownik Christern, musiał przejąć dowodzenie 7. Dywizją Pancerną, walczącą w okrążeniu na przyczółku gdyńskim. Ciężko ranny generał Mauss musiał opuścić swoją dywizję. Pułkownik serdecznie pożegnał się z ludźmi ze swego najbliższego otoczenia. Mnie zaś pozostawił decyzję, czy chcę jechać z nim do Gdyni jako jego oficer łącznikowy, czy też — jako oficer łączności — przejść do 1. batalionu. Początkowo nie wiedziałem, co zrobić, ale potem szybko podjąłem decyzję, by pozostać z moimi towarzyszami w Gdańsku.

— Proszę, by potowarzyszył mi pan jeszcze kawałek — zażyczył sobie pułkownik Christern. Nie mogłem odmówić prośbie mojego byłego dowódcy pułku, z którym łączyło mnie tak wiele wspólnie przeżytych, ciężkich doświadczeń. Czasami się z nim sprzeczałem, ale w gruncie rzeczy rozumieliśmy się znakomicie. Choć szczerze mówiąc, wcale nie miałem ochoty jechać do Nowego Portu pod gradem sowieckich granatów spadających na Gdańsk.

Po raz ostatni dowódca wsiadł do swej „jaskółki”. Jego radiostacja pozostawała jednak wyłączona, co było dla mnie rzeczą nową. Ale szczerze mówiąc, z kim mielibyśmy teraz jeszcze rozmawiać przez radio? Przecież od kilku godzin 35. Pułk Pancerny już nie istniał.

Na ulicach miasta piętrzyły się zwaly gruzów. Wokół szalały pożary. Miasto było całkowicie opustoszałe. Przed nami, wyłaniając się z chmury dymu, pojawiła się fasada niemal niezniszczonego kościoła. Pułkownik kazał zatrzymać „jaskółkę”, wysiadł i poprosił mnie oraz kierowcę, abyśmy mu towarzyszyli.

Weszliśmy do pogrążonej w półmroku nawy kościelnej, która w czasie tej wojny ucierpiała niewiele. Pułkownik rozejrzał się wokół; po chwali po jego naznaczonej walką twarzy przemknął nikły uśmiech. Wzrokiem polecił mi usiąść na jednej z kościelnych ławek, sam zaś, w raz z kierowcą, wspiął się po stromych schodach na galerię.

Siedziałem, czując się trochę niepewnie, na ciężkiej, zbrązowiełej ze starości ławie kościelnej i słuchałem dobiegających z zewnątrz odgłosów wojny. Nagłe aż podskoczyłem z wrażenia. Moje nastawione tylko na hałas wojny uszy usłyszały całkiem nowe dźwięki: po nawie rozpląnęła się muzyka organów, zagłuszająca

melodię zabijania, każąc mi na chwilę zapomnieć o wojnie. Ogarnął mnie jedyne w swoim rodzaju, pełen tęsknoty nastrój, a ponure zazwyczaj wnętrze kościoła wydało mi się nagle bardzo jasne.

Wiedziałem naturalnie, że pułkownik bardzo lubił muzykę i sam grywał na kilku instrumentach, jednak po raz pierwszy słyszałem go grającego na organach. A grał wspaniale. Od potężnych dźwięków bitwy przeszedł wolno do łagodnego brzmienia, przypominającego mi beztrudny spokój dni pokoju. Zapominałem z wolna o nieszczęściach wojny i zniszczeniu, śmierci i okrucieństwie. Cudowne dźwięki pogodnych melodii pozwalały mi znowu uwierzyć w przyszłość.

Czy jednak w czasie tej przeklętej wojny może być dla nas jakieś jutro? Czy kiedykolwiek nadejdą czasy, kiedy nie będziemy musieli zabijać, aby nas samych nie zabijano? To były pytania, na które nie mogłem znaleźć żadnych odpowiedzi.

Do dzisiaj nie wiem, jak długo słuchałem i śniłem na jawie, gdy nagle poczułem na ramieniu rękę pułkownika, który poklepywaniem przywrócił mnie do rzeczywistości. Jego twarz nabrała znowu blasku.

Bez słowa wspieiliśmy się do transportera opancerzonego. Stopniowo znowu zaczęły docierać do mnie odgłosy bitwy. W porcie Nowego Portu pułkownik pożegnał się ze mną krótko, szybko się odwrócił i wszedł do czekającej na niego motorówki. Odpływając, nie pomachał mi na pożegnanie... a ja zapomniałem mu zasalutować. Patrzył spokojnie w dal, w myślach zajęty już czekającym go, nowym zadaniem.

Kiedy przez płonące miasto wracałem na Suchanino, gdzie nadal szalała walka o Gdańsk, w duszy jeszcze długo brzmiały mi dźwięki organów, zagłuszając wojnę, cierpienia i rozpacz.

A potem wydarzenia zaczęły się rozgrywać błyskawicznie. Ostatnie czołgi walczyły między Siedlcami a Emaus, broniąc odcinka od południa, podczas gdy Sowietci coraz bardziej zbliżali się od strony Jasienia. 1. batalion pod dowództwem kapitana Kästnera zajął dawne stanowiska obronne pułku na Suchaninie. Znowu więc wróciliśmy do okopów na stromym, wschodnim zboczu wzgórza. Rozpościerał się stamtąd straszny widok na leżące u naszych stóp miasto, systematycznie niszczone przez Armię Czerwoną. Z ruin Gdańska wznosiły się jaskrawożółte chmury dymu, które szybko zmieniały kolor na bardzo ciemny. W wąwozach ulic rozbłyskiwały jaskrawe pęki płomieni, rozrastając się z godziny na godzinę, by połączyć się w jedno wielkie morze ognia.

25 marca Sowietci dotarli do grzbietów wzgórz leżących na zachód od Gdańska. Kotlina, w jakiej rozciągało się miasto, leżała teraz przed nimi jak na talerzu. Mogli z góry obserwować i ostrzeliwać każdy poruszający się obiekt.

Nad nasze stanowiska nadlatywały kolejne sowieckie bombowce, zrzucając bomby. Samoloty szturmowe raziły nas z najbliższej odległości rakietami, odlatywały i za chwilę wracały, ostrzeliwując z działającym nam na nerwy terkotem broni pokładowej stanowiska, skąd strzelano do nich z broni ręcznej.

Promy kierowane przez saperów przewoziły resztki uciekinierów z Nowego Portu i Sobieszewa do portu w Helu. Tłum tłoczących się nad Wisłą ludzi, bardzo

cierpiących w wyniku sowieckich nalotów, stawał się z godziny na godzinę coraz mniejszy. Zapewne część tego tłumu poszła w stronę Świbna. W każdym razie można było już przewidzieć, kiedy ostatni cywile wyjdą z piekła płonącego Gdańska.

Zniszczone połączenia telefoniczne były już prawie nie do naprawienia. Wszystkie rozkazy i meldunki odbierano i przekazywano ze stanowiska dowodzenia dywizji głównie za pośrednictwem działających w czołgach radiostacji pracujących na falach ultrakrótkich, gdyż również i radiostacje znajdujące się w nieopancerzonych miejscach czy pojazdach zostały zniszczone pociskami, a przynajmniej uległy awarii. Wszystkie walczące w rejonie miasta oddziały: 389. i 252. Dywizja Piechoty i 12. Dywizja Polowa Luftwaffe, z braku wystarczającej liczby żołnierzy nazywane teraz „Grupami Bojowymi”, podporządkowały się dobrowolnie dowództwu 4. Dywizji Pancernej, tym bardziej że łączność z Korpusem i Armią była permanentnie zrywana.

26 marca, po ciężkich walkach, utracono Oliwę. Podczas nocy na 27 marca oddano bez walki dzielnicę Wrzeszcz, ponieważ ewakuacja uciekinierów z rejonu Gdańska była w zasadzie zakończona. Nasze napięte do granic możliwości zmysły przestały rejestrować szczegóły. Granice wytrzymałości zostały już dawno przekroczone. Tylko człowiek, któremu udało się całkowicie wyłączyć, mógł wytrzymać to, co się wokół niego działo.

Generał Betzel, dowódca 4. Dywizji Pancernej, dowodzący 27 marca tworzeniem nowego pierścienia obrony przy Bramie Oliwskiej, został tak ciężko ranny odłamkiem jednej z salw sowieckich, że wkrótce potem zmarł na miejscu. Z pola walki zniesiono również ciężko rannego majora Knoche, dowódcę 33. Pułku Grenadierów pancernych

Mimo że w tak krytycznej sytuacji początkowo przemilczano fakt śmierci powszechnie cenionego i lubianego dowódcy dywizji, wieść o niej rozniosła się błyskawicznie po wszystkich kompaniach, dodatkowo wpływając na nastrój dzielnie walczących żołnierzy.

Na rozkaz 2. Armii dowództwo 4. Dywizji Pancernej przejął doświadczony dowódca 12. Pułku Grenadierów Pancernych, pułkownik Hoffmann, typowy oficer frontowy, zawiadziak i pancerniak od pierwszych godzin wojny. Służył w wojskach pancernych od 1935 roku, biorąc od 1938 roku udział w tworzeniu 4. Dywizji Pancernej.

Droga jego kariery była prosta, pozbawiona wszelkich podtekstów: awansował stopniowo od szefa 1. kompanii do stanowiska dowódcy 12. Pułku Grenadierów Pancernych. Jako drugi żołnierz w pułku został odznaczony Krzyżem Rycerskim, a za przerwanie pierścienia okrażenia pod Kowlem otrzymał do niego Liście Dębowe. Tak więc nasza 4. Dywizja Pancerna nadal pozostawała w dobrych rękach.

Pułkownik Hoffmann przejął dowództwo dywizji nie tylko w bardzo ciężkim czasie, podjął się również pozornie niemożliwego do wykonania zadania, mianowicie, wyprowadzenia jej z tej krytycznej sytuacji i kierowania nią na

ostatnim etapie wojny.

W nocy na 28 marca niemieckie oddziały wycofały się na wschód, za Motławę. W ten sposób oddano Sowietom zachodnią część miasta. Kiedy żołnierze przygotowywali się do odwrotu, dołączyło do nich wielu mieszkańców Gdańska, którzy uprzednio nie byli gotowi na to, by porzucić swe domy i majątki. Ta sytuacja stworzyła dodatkowe problemy.

Odwrót z płonącego, umierającego miasta był strasznym widokiem. Wraz z cofającymi się oddziałami wyjeżdżał z Gdańska martwy generał Betzel, leżący na burcie swego czołgu dowodzenia, przykryty sztandarem Rzeszy.

Otto Alexander von Müller, wtedy porucznik i oficer łącznikowy przy sztabie 4. Dywizji Pancерnej, tak sformułował myśli, jakie go ogarnęły podczas odwrotu z Gdańska:

„27 MARCA 1945

Martwy Generale!

Zamiast na marach niesie Cię

Twój czołg.

Zamiast trumny okrywa Cię

Twój zakrwawiony płaszcz.

Zamiast świec drgają

wokół Ciebie płomienie szalejących pożarów.

Ginące miasto

placze śmiertelnie ranione.

Jako ostatni poświęciłeś się,

stając przed jego bramami.

Zdruzgotani, byliśmy strażą tylną,

walcząc przy Tobie

O miejsce Twego ostatniego spoczynku.

Martwy Generale!

Pancerne gąsienice wyrrywają

dymiące rany w poszarzałym popiele.

Rozpalone ruiny zapadają się,

sypiąc iskrami. Wokół chaos.

I konwulsyjnie napięte zmysły.

Poległy wzdryga się —

czy wstanie znowu?

Nie, to tylko czołg
wspiął się na kawałek czarnego muru.

Czy zacznie krzyczeć?
Nie, to tylko silnik zawył
pod przejmującym ciężarem.

Martwy Generale!
Wywozimy Cię poległego
ze straconego miasta i przegranej bitwy”.

29 marca walki toczyły się już we wschodniej części Gdańska. W nocy na 30 marca ostatnie grupy straży tylnej oderwały się od przeciwnika

Późnym popołudniem 29. marca otrzymałem rozkaz, by wraz z załogą mojej radiostacji pojechać transporterem opancerzonym do nowego stanowiska dowodzenia batalionu po drugiej stronie Wisły Jak twierdzono, miał tam już na mnie czekać adiutant dowódcy, porucznik Grigat.

Gąsienice wolno wspinały się na rumowisko zalegające jezdnię. Miałem dobrze w pamięci drogę do Stogów, liczącą około trzech kilometrów. Z mapy zapamiętałem ze wszystkimi szczegółami najkrótszą trasę prowadzącą do mostu na Wiśle, gdyż chcieliśmy jak najszybciej i bez problemów przejechać przez znajdujące się pod ciężkim ostrzałem miasto. Ale zniszczenia wokół nas były tak wielkie, że trudno było się odnaleźć w tym chaosie. Tu i ówdzie natrafialiśmy na grupki zagubionych żołnierzy, błądzących wśród zrujnowanych ulic.

Po karkołomnej jeździe przez złomy murów i rumowiska, leżące wszędzie betonowe płyty chodnikowe, przejeżdżając obok spadających szczytów kamienic, cały czas atakowani przez samoloty, rakiety wystrzeliwane z „organów Stalina” i pod ostrzałem artylerii, dotarliśmy na koniec długiej kolejki, w której stały różnego rodzaju pojazdy.

Początkowo czekaliśmy cierpliwie, w odpowiednim odstępie, tak jak się wymaga od grzecznych żołnierzy podczas wojny. Ale postój w tym miejscu powoli przestawał być przyjemny, skądś bowiem ostrzeliwało nas regularnie działo przeciwpancerne. Wokół nas zaczęły płonać kolejne pojazdy. W powietrzu latały odłamki eksplodującej amunicji. Najwyraźniej jednak nikomu wokół nas to nie przeszkadzało. Taka reakcja zaczęła mnie zastanawiać. Dlatego rozkazałem ruszyć do przodu. Marsz, marsz! — na początek kolumny. Było to co prawda ryzykowne i trudne przedsięwzięcie, ale przyniosło na końcu oczekiwane korzyści.

Już na pierwszy rzut zorientowałem się, że niemal wszystkie pojazdy nie mają kierowców. Panowie zapewne pomaszzerowali dalej na piechotę, porzucając samochody wraz ładunkiem pośrodku drogi ku zdenerwowaniu pozostałych czekających.

Potem stwierdziłem, że od mostu na Wiśle dzieli mnie już tylko odległość

około 300 metrów. Przyjrzawszy się jednak dokładniej, zobaczyłem, że jest to 300 metrów grozy — wzdętych zezwłoków koni, wypalonych wraków samochodowych, głębokich na metr lejów po bombach. I trupów, wiele trupów, spalonych i poszarpanych zwłok. A między dymiącymi wrakami siedziało za kierownicami kilku cierpliwych, najwyraźniej pozbawionych już kontaktu ze światem zewnętrznym, patrzących nieruchomym wzrokiem na stojącego przednimi poprzódka, czekając, aż ruszy... Ale w poprzedzającym samochodzie za kierownicą siedział trup.

Wzdrygnąłem się. Nic, tylko się stąd wynosić! Naszym terenowym transporterem, wyposażonym częściowo w gaśnice, wspięliśmy się na rumowisko, przejechaliśmy przez ogrody i podwórza, i dotarliśmy do mostu akurat w chwili, kiedy nadlatywało nad niego duże zgrupowanie sowieckich bombowców. Co robić w tej sytuacji?

Trafić mogli nas właściwie wszędzie, a my byliśmy już całkowicie otepiali i odporni na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa. Najważniejsze, że most jeszcze stał! Nikt nie potrafił powiedzieć, jak długo to jedyne przejście na drugą stronę Wisły będzie jeszcze przejezdne. Ruszyliśmy więc całym gazem w stronę mostu, który w tym momencie całkowicie opustoszał. I to było nasze szczęście.

Wpadliśmy w jakiś lej po granacie, przebiliśmy się przez betonowa złomy, z prawej i lewej słychać było świst spadających bomb, które wybuchając z ogłuszającym hukiem w korycie rzeki, wstrząsały naszym transporterem. O stalowe ściany grzechotały odłamki. Fontanny wynosiły się ku niebu, zalewając nas strugami wody. Była to prawdziwie piekielna jazda. Ze wzrastającym przerażeniem patrzyłem przez szczelinę obserwacyjną, obserwując jak most został trafiony jedną z bomb, która rozerwała jego bok... Most zaczął się chwiać, ale nadal się trzymał.

Wszyscy wokół leżeli plackiem na ziemi, wciskając nosy w błoto. Tylko my pędziliśmy jak szaleni, podskakując na rumowisku, obserwując otwierające się nad nami luki bombowe. I głęboki oddech ulgi, gdy na koniec znowu poczuliliśmy pod gaśnicami twardą ziemię.

Po drugiej stronie znowu ten sam widok: płonące samochody, wzdęte zezwłoki koni, zniszczony sprzęt wojskowy i jak okiem sięgnąć morze ruin. Tu jednak przynajmniej zabici i ranni zostali odtransportowani lub pochowani.

Wjechaliśmy do rowu obok drogi, gdyż kierowca nagle stracił koncentrację. Ześliznęliśmy się z pnia leżącego przed nami drzewa, zderzyliśmy z jakimś pojazdem przed nami. Pchaliśmy go tak długo, aż przewrócił się na bok, a my w końcu dotarliśmy do wolnej przestrzeni po drugiej stronie. Niech Bóg ma w opiece nasz terenowy transporter z radiostacją.

Dopiero tutaj, ku naszemu zaskoczeniu, dowiedzieliśmy się, że trafiony bombą most na Stogach, był już od kilku godzin nieprzejezdny i z tego powodu zamknięty. Pracujący nad usunięciem szkód oraz pilnująca ruchu żandarmeria polowa — wszyscy ukryli się przed sowieckimi samolotami, podczas gdy my, niezgodnie z obowiązującym rozkazem, dopiero co przejechaliśmy na drugą

stronę Wisły.

Następna grupa samolotów wroga nadleciała nad nasz transporter i ostrzelała nas z broni pokładowej. Najwyraźniej bomby zostały zrzucone gdzie indziej, być może nad lasem, wypełnionym uciekinierami.

Gdzie, po odwróceniu z Gdańska, miano tu stworzyć nową linię obrony? Wszędzie były same kobiety, dzieci, starcy, konie i wozy. A między nimi świeże groby tych, którzy zginęli w czasie nieprzerwanych nalotów.

Przy tak olbrzymiej koncentracji mas ludzkich na tak niewielkiej przestrzeni sowieckie bombowce po prostu nie mogły nie trafiać. Niektórzy z uciekinierów wyciągnęli z tego naukę... albo po prostu w rzadkim lesie rosnącym na wydmach nie znaleźli wolnego miejsca na postój. Tu i ówdzie bowiem wykopano na polanach rowy przeciwoślankowe.

My natomiast, zgodnie z rozkazem, zaczęliśmy się zbierać za potężnym nasypem, osłaniającym nas od południa, od strony Gdańska. W miarę upływu czasu pojawiały się kolejne, bardzo utrudzone i nieliczne już, nadające się jeszcze do użytku nasze czołgi. W tej sytuacji mogliśmy wyłączyć na chwilę radiostację. Tej nocy, na 30 marca, spaliliśmy głęboko niczym niedźwiedzie w zimie. Rano ogień artylerii obudził nas dopiero wtedy, gdy eksplozje pocisków zaczęły nas obsypywać błotem. Z tego powodu wykopaliśmy w szerokim nasypie rodzaj sztolni dla naszych wozów, oddając swój los w ręce Pana Boga. Przed nami, tuż nad rzeką, znajdowały się zabezpieczające posterunki piechoty. My pozostawaliśmy w drugiej linii jako rezerwa przeznaczona do ewentualnego kontrataku.

Linię frontu tworzyła aktualnie wokół nas woda. Jak na razie było to uspokajające zjawisko. 27 marca saperzy na rozkaz przebili wały wiślane i otwarli śluzy. Cały obszar między Elblągiem a Zalewem Wiślanym został zalany i stał się nieprzejezdny.

Miało to jednak i swoją złą stronę, mianowicie w rejonie wydmy po drugiej stronie Wisły pojazdy zamieniały się w wielkie, obrzydliwe bryty błota. Z tego względu dowództwo Armii rozkazało zniszczenie wszystkich wojskowych pojazdów, bez żadnego wyjątku.

W dowództwie 4. Dywizji Pancerniej wiedziano co prawda, że wiele pojazdów nie da się już użyć w tych wyspowych warunkach, ale z uporem sprzeciwiano się, aby przy tej okazji zniszczyć również wozy bojowe. Dowódca dywizji zameldował się z tego powodu u generała von Sauckena.

Dowódca Armii, po długich wyjaśnieniach, zezwolił dawnym towarzyszą, aby 4. Dywizja Pancerna zachowała pancerne czołgi zwiadowcze, transportery opancerzone, samojezdne lawety i czołgi bojowe, wraz z należącymi do nich warsztatami i pojazdami technicznymi.

I tak, aż do ostatnich swych godzin, nasza Czwarta, pozostała nadal Dywizją Pancerną.

7 NA ŻUŁAWACH GDAŃSKICH

Aż do 30 marca udało się bronić linii Motławy, od Oruni po Nowy Port, co pozwoliło na całkowite przerzucenie mas uciekinierów i niemieckich oddziałów przez jedyny jeszcze nieuszkodzony most na Wiśle koło Stogów i skierowanie ich w przewidziany rejon ewakuacji, znajdujący się w lasach na wydmach w pobliżu Krakowca i Stogów. Mimo gwałtownych ataków nieprzyjaciela zdołano uniknąć chaosu na tamtym obszarze.

Kiedy jednak Sowieci przeszli na drugi brzeg Wisły między Jelitkowem i Brzeźnem, a port dostał się pod ogień artylerii sowieckiej piechoty, kursujące bez przerwy między Nowym Portem a Helem statki musiały zaprzestać rejsów. W tym rejonie pozostało już niewielu uciekinierów, których musiano skierować do Nowego Portu, ponieważ stacjonowały tam okręty Marynarki i promy używane przez saperów.

W ciągu nocy na 30 marca bardzo przeredziły się nieprzebrane masy ludzi, jakie zgromadziły się w Nowym Porcie; być może zostali skierowani dalej wskutek wydanego rozkazu. A może część z tych ciężko doświadczonych losem ludzi pomyślała sobie, że skoro są tu czołgi, to i Iwan jest niedaleko. Nie zauważyliśmy tego, śpiąc niedźwiedzim snem. Dopiero ciepła zupa z dużą ilością mięsa dodała nam nowych sił życiowych.

Pierwsze dni kwietnia przebiegły jeszcze stosunkowo spokojnie. Co prawda, płaski jak deska teren między Wisłą a Morzem Bałtyckim był dobrze obserwowany z wysokich wzgórz pod Gdańskiem, czego dowodziły okazjonalne ataki prowadzone celnie przez sowiecką artylerię, jednakże żołnierze Armii Czerwonej objęli przede wszystkim

KWIECIEŃ — KALENDARIUM — UJŚCIE WISŁY

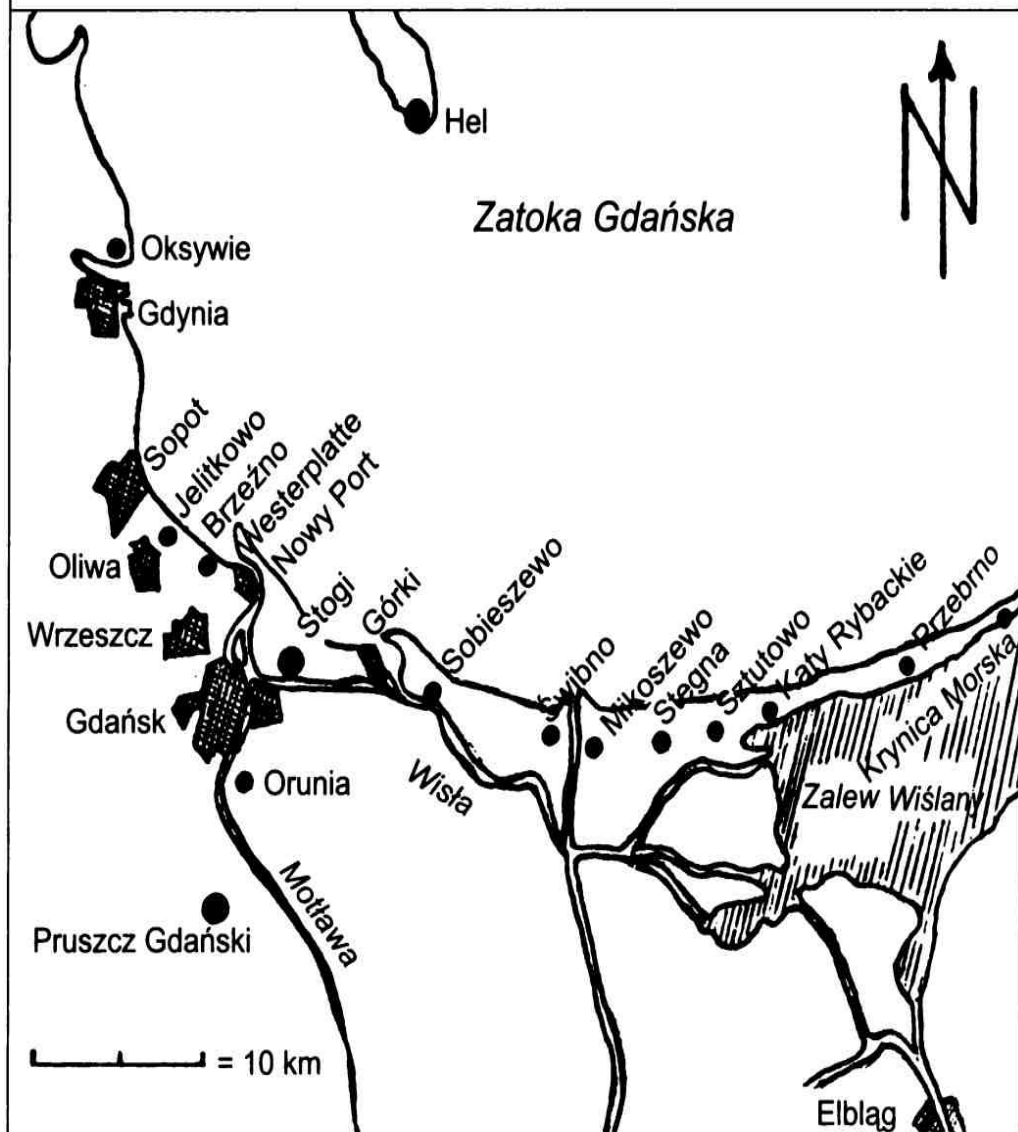
- 4.4.45 — Oksywie leżące na północ od Gdyni zostaje opuszczone. 5.4. o godzinie 06.00 ostatni niemiecki żołnierz opuszcza Kępę Oksywską.
- 5.4.45 — Zwinięto front za odnogą Wisły koło Nowego Portu.
- 10.4.45 — Stracone zostaje miasto Królewiec.
- 16.4.45 — Na wysokości Rzucewa zostaje zatopiony transportowiec „Goya” przez sowiecki okręt podwodny. Spośród 7000 ludzi znajdujących się na pokładzie uratowano tylko 183 rozbitków.
- 23.4.45 — Próba lądowania Sowieców koło Kosy. Desant został odrzucony przez szybko zaalarmowany 4. pancerny batalion rozpoznawczy.
- 24.4.45 — Grupa Pancerna pod dowództwem majora von Heydena zostaje przerzucona w rejon Krynicy Morskiej.
- 26.4.45 — Walki okrężne w rejonie Krynica Morska — Stegna trwają aż do początku maja.

w posiadanie Gdańsk, świętując głośno swój sukces przy wódce i muzyce. Odgłosów tego świętowania słuchaliśmy aż do świtu. W tym czasie sowieckie megafony propagandowe krzyczały do nas z drugiej strony portu: „Żołnierze 2. Armii niemieckiej. Znaleźliście się teraz w pułapce, w obozie jenieckim, w którym sami musicie się wyżywić...”. Następnie grali marsza Radetzky’ego, a w jego takt czerwonoarmiści strzelali z karabinów. A potem przez megafony padała zapowiedź: „Jako następny zostanie nadany koncert organowy. Przy organach Józef Stalin”. Po takiej informacji żadne ataki artyleryjskie nie były już w stanie nas zaskoczyć. Następnie wygłaszano stare banały o natychmiastowym powrocie do domu po wojnie, dobrym traktowaniu i pozostawieniu osobistej własności. Na końcu zaś jak zwykle grożono nam totalnym zniszczeniem, jeśli nie uwierzymy ich słowom. Nowym trickiem użytym w ich propagandzie było puszczanie przez megafony — godzinami, całymi dniami i nocami — płyt z piosenkami Mariki Röck: „In der Nacht ist Mensch nicht gern alleine...”^[8]. Musieli zdobyć tę płytę gdzieś w Gdańsku, ponieważ w styczniu zapowiadano wyświetlanie w tamtejszych kinach filmu „Frau meiner Träume”.

Przy nabrzeżu portowym, dokładnie naprzeciwko nas, wywieszono flagę Związku Radzieckiego oraz Narodowego Komitetu Wolne Niemcy. Już sam ich widok wywoływał ból, z kolei świadomość, na jakie obrzydliwości i orgie nienawiści wystawieni byli ci, którzy pozostali w Gdańsku, doprowadziła wielu z nas na skraj zwątpienia. Major Lew Kopelew, „główny instruktor pracy wśród żołnierzy oddziałów przeciwnika i wrogiej ludności”, który właśnie w tym czasie, bo 5 kwietnia 1945 roku, został niedaleko naszych stanowisk aresztowany z powodu „braku odpowiedniej czujności i mieszczańsko-humanitarnego nastawienia w formie współczucia wobec Niemców”, tak na 16 stronie swojej książki „Zachować po wsze czasy” zapisał przemyślenia dotyczące nieludzkich wydarzeń we Wschodnich i Zachodnich Prusach:

„Co wydarzyło się w Prusach Wschodnich? Czy tego rodzaju zdziczenie wśród naszych żołnierzy było rzeczywiście konieczne i nieuniknione? Czy trzeba było gwałcić i rabować? Dlaczego Polacy i my musieliśmy zabrać Wschodnie Prusy, Pomorze i Śląsk? Swego czasu Lenin odrzucił traktat wersalski, ale to było o wiele gorsze od tego, co postanowiono w Wersalu. W gazetach, w radiu nawoływaliśmy do świętej zemsty. Ale kim byli ci mściciele i na kim się mścili? Dlaczego tak wielu z naszych żołnierzy okazało się zwykłymi bandytami, którzy masami gwałcili kobiety i dziewczęta — na skraju ulicy na śniegu, w bramach domów; zabijali bezbronnych i rozbijali, palili, niszczyli wszystko, czego nie dało się zabrać? Robili to bez sensu, z czystej chęci zniszczenia. Jak to było możliwe?

UJŚCIE WISŁY NA WSCHÓD OD GDAŃSKA



Czy tak ich wychowaliśmy, my pracownicy polityczni, dziennikarze, pisarze — Erenburg i Simonow, i setki tysięcy innych ambitnych i gorliwych, ale również i utalentowanych agitatorów, nauczycieli, wychowawców, uczciwych głosicieli »świętej zemsty«?

Nauczyliśmy ich nienawidzić, przekonaliśmy ich, że Niemiec jest zły, choćby

już tylko z tego powodu, że jest Niemcem; uświęcaliśmy mord w poematach, prozie i w malarstwie. »Papa, zabij Niemca!«. Był czas, kiedy niemal wstydiłem się, że nie mam »osobistego konta«, na którym odnotowywałbym zabitych Niemców!”.

Wiele jeszcze innych swoich myśli spisał żyjący dziś na Zachodzie dawny oficer polityczny, major Lew Kopelew. Długie lata musiał pokutować w sowieckich łagrach za to, że okazał współczucie niemieckim kobietom i dzieciom, które z czystej żądz mordy były dręczone i zostały załuczone na rozkaz Ilji Erenburga i jego towarzyszy. Od czasu do czasu należy zastanowić się nad jego słowami.

Laureat Nagrody Nobla, Aleksander Solżenicyn, w roku 1945 kapitan Armii Czerwonej, walczący na Mierzei Kurlandzkiej i w lutym 1945 aresztowany za mieszczańskie przekonania, tak pisze w swojej książce „Archipelag Gułag” na stronie 31, w pierwszej jej części:

„No tak! Już trzy tygodnie wojna toczyła się na terenie Niemiec i tośmy już dobrze wiedzieli: gdy dziewczuchy były Niemkami, to można je było zgwałcić, potem rozstrzelać i uszłoby to niemal za wyczyn bojowy; gdyby to były Polki albo nasze, ruskie, z wywózek — to można by w każdym razie pouganiać się za nimi po warzywniku, klepiąc po tyłkach — niewinny żart i tyle”^[9].

W pierwszych dniach kwietnia zajmowaliśmy pozycję na swego rodzaju wyspie leżącej między dwoma ramionami ujścia Wisły do Morza Bałtyckiego. Na tym „froncie wodnym” panował względny spokój, przerywany od czasu do czasu ogniem artylerii. Jednakże 4 kwietnia nasze czołgi zostały nagle postawione w stan alarmu. Pod Nowym Portem Sowietci przeszli na wschodni brzeg Wisły. Mająca tam stanowiska artyleria przeciwlotnicza gdzieś zniknęła. Trudno już dziś wyjaśnić, czy załogi zostały zaskoczone i rozbite przez Sowietów’, czy też poddały się w całości. Naszym czołgom, przy dużym szczęściu, udało się znowu odrzucić żołnierzy Armii Czerwonej na zachodni brzeg. Ale wkrótce pojawili się dalej na południu, na „wyspie Stogi”, jak nazwaliśmy ten kawałek ziemi.

Z tego powodu 5 kwietnia musiano wycofać niemieckie oddziały z rejonu położonego za drugim ramieniem Wisły, pod Nowym Portem i Sobieszewem. Zostały przerzucone do Świbna. Oczywiście, tym samym nastąpił koniec rejsów na trasie Nowy Port — Hel.

Kiedy 28 marca, po ciężkich i zaciętych walkach, musiano oddać Sowietom miasto i port w Gdyni, dalsza ewakuacja uciekinierów na Hel odbywała się z Oksywia. Rozpaczliwą walkę z czasem prowadziła tam 7. Dywizja Pancerna pod dowództwem naszego dawnego dowódcy pułku, pułkownika Christerna. Wspierała ją artyleria okrętowa Kriegsmarine. Niemieckie oddziały stworzyły pierścień ochronny wokół kobiet i dzieci. Aby jak najszybciej przetransportować je na Hel, do akcji włączono wszystkie dostępne statki.

Gdy 4 kwietnia wszyscy uciekinierzy zostali już przewiezieni, generał von Saucken, Naczelný Dowódca 2. Armii niemieckiej, wbrew wyraźnemu rozkazowi Führera, dał hasło do rozpoczęcia operacji „Walpurgisnacht”, czyli do opuszczenia

Kępy Oksywskiej. Kontynuowanie walk w tamtym rejonie byłoby pozbawione jakiegokolwiek sensu. Ostatnie statki odbiły od nabrzeży 5 kwietnia o godzinie 06.00. Po południu nadszedł z Oberkommando der Wehrmacht rozkaz ewakuacji Oksywia: za późno.

Nasze czołgi pospiesznie przerzucono specjalnymi promami saperów na wschodni brzeg odnogi Wisły, jako że Sowieci deptali nam już po piętach. Nasz młodszy lekarz, nie poddający się nawet w najgorętszych sytuacjach, zabrał ze sobą swoją harmonię, usiadł na ostatnim, bardzo wolno płynącym przez rzekę czołgu i zaczął grać, śpiewając do wtóru: „Eine Insel im Laufschrift verloren...“^[10] parafrazę popularnej podówczas, nadawanej przez wszystkie rozgłośnie, żołnierskiej piosenki „Eine Insel aus Träumen geboren...“^[11].

Natychmiast po przekroczeniu drugiej odnogi Wisły znowu znaleźliśmy się na kolejnej, piaszczystej wyspie, ponieważ delta Wisły rozciąga się na szerokości około 60 kilometrów, od Nowego Portu po Elbląg. Ten kawałek otoczonego wodą lądu, między Świbnem i Górkami, między Wisłą i Bałtykiem, nazwaliśmy Wyspą Komarów.

Dalej w stronę lądu, poza obszarem ostrzału artylerii sowieckiej, panował wielki ruch i kłębiły się nieprzebrane tłumy ludzi. Słuchając ich języków, pochodzących ze wszystkich okolicznych krajów, człowiek mimowolnie przypominał sobie historię budowy wieży Babel i to nie tylko dlatego, że wydarzenia rozgrywały się między dwoma morzami. Były tu reprezentowane niemal wszystkie narody Europy. Wszędzie machano łopatami, wkopywano się w ziemię z zaangażowaniem, które wręcz mogło napawać lękiem.

Na początku od razu natknąłem się na trzydziestu dwóch jeńców — angielskich oficerów — którzy przed mniej więcej czterema tygodniami przeszli na naszą stronę w rejonie Czerska. Dokonali tego według wszelkich zasad wojennych: z białą flagą i parlamentariuszem na czele. Opowiedzieli nam w sposób wiarygodny, że zostali wyzwoleni z niemieckiego obozu jenieckiego w Schlossbergu^[12] przez żołnierzy Armii Czerwonej, a dokładniej: obóz został wcześniej opuszczony przez niemieckich strażników. Potem miano ich wywieźć na wschód, w nieznanym celu. Anglicy nie dowierzali jednak niespodziewanemu szczęściu, jakie ich spotkało, i przy pierwszej lepszej okazji poszli swoją drogą, przemykając po nocach w stronę niemieckiego frontu. W typowy angielski sposób, podkreślając go eleganckim i uprzejmym zachowaniem, poprosili o pozwolenie na pozostanie wśród nas. W razie konieczności, co zaznaczyli z własnej inicjatywy, są nawet gotowi walczyć po stronie niemieckiej.

Akurat ta właśnie propozycja poprawiła nam wtedy nastrój w sposób gwałtowny, wyprowadzając z chwilowego załamania. Naturalnie, przyjęliśmy tę ofertę, uczciwie dzieląc się z nimi prowiantem i papierosami.

Sytuacja wtedy była tak zagmatwana, że przez trzy dni Anglicy musieli pozostać na stanowisku dowodzenia naszego pułku, zanim zostali odstawieni na tyły. W ciągu tych kilku dni nawiązaliśmy z nimi dobry kontakt, a nawet z tym i owym udało nam się zaprzyjaźnić. Teraz czekali tu, wraz z setkami tysięcy

innych, na zaokrętowanie i transport na Zachód.

Potem zauważyłem, że wśród prawie wszystkich rodzin chłopskich z Prus Wschodnich i Zachodnich byli jeńcy francuscy, z dużą rozważą troszczący się o „swoje rodziny”. Bardzo się starali, by w tym całym zamieszaniu nie zostali z nimi rozdzieleni. Zazwyczaj byli jedynymi mężczyznami w taborze, pomijając starców. Wzruszająco troszczyli się przede wszystkim o dzieci, które z kolei bardzo były przywiązane do „swojego Jeana”. Trudno było tego nie zauważyć; niektórzy z Francuzów przebywali u „swoich rodzin” już od pięciu lat.

Nieco na uboczu, poza strefą zajmowaną przez „prosty lud”, obozowali pełni rezerwy „dobrze urodzeni” z Rewala i Rygi, odziani w futrzane płaszcze i pilnujący ciężkich skrzyń oraz kufrów. Kłócili się ciągle ze swą byłą czeladzią, która wobec całkowicie zmienionej struktury społecznej nie miała zbyt wiele do powiedzenia, choćy ich więcej słuchać.

W jednym z zagłębi przykucnęła grupa Polek. Najwyraźniej chciały iść z nami na Zachód, bo — być może — obawiały się gniewu swych zwycięskich rodaków. W każdym razie były nader małomówne, od czasu do czasu szeptały tylko coś sobie na ucho.

Tu i ówdzie można było spotkać dyskutujących rosyjskich ochotników, byłych żołnierzy Armii Czerwonej, którzy aż do tej chwili pozostali po naszej stronie. Widząc rysujący się koniec, musieli szybko podjąć decyzję, dokąd mają pójść. Ich sytuacja była szczególnie tragiczna.

I te setki tysięcy żołnierzy i cywilów, mieszkańców Prus Wschodnich i Zachodnich, Litwinów, Estończyków i Łotyszy, Pomorzanie i Polaków, Anglików i Francuzów — wszyscy oni jedli z naszych kuchni polowych, z zarekwirowanych kotłów, a nawet obudowanych cegłami wanien, i dzięki zaskakująco dobrej organizacji w tej fatalnej sytuacji wszyscy byli syci.

Przyznaję, że do kuchni polowych i kotłów wiszących nad ogniskami powędrowały wszystkie wierzchowce, jakie znajdowały się na stanie piechoty, a także konie pociągowe z taborów uciekinierów, które tak czy tak musiałyby tu pozostać. Zjedliśmy je, niektórzy o tym nawet nie wiedząc, za to w całości: od kopyt po koniec ogona. Opieka i wyżywienie upchanej w delcie Wisły nieprawdopodobnie wielkiej masy ludzkiej były dziełem mistrzowskim.

Kolejnym zdumiewającym osiągnięciem, przez nas, szczury lądowe raczej rzadko zauważanym, było wielkie zaangażowanie niemieckiej Kriegsmarine i marynarki handlowej. Mężczyźni w niebieskich mundurach wyciągali ludzi z tego kotła czarownic na statkach i stateczkach, na okrętach, promach i łodziach wszelkiego rodzaju, najpierw przewożąc ich na Hel, gdzie po utracie portów w Gdańsku i w Gdyni czekały na pełnym morzu wielkie transportowce. W lasach i na wydmach, w miarę upływu dni, robiło się coraz bardziej pusto. I nigdzie nie widać było ani śladu paniki. To bardzo uspokajało po przeżyciach szalonych tygodni w Gdańsku.

Te krótkie chwile wytchnienia zostały wykorzystane na to, aby uporządkować nowo sformowane jednostki i po raz kolejny uzupełnić

wykrwawione kompanie grenadierów pancernych. Rozwiązano sztaby i służby tyłowe, a przynajmniej zmniejszono ich stany osobowe, jednocześnie przerzucając wolnych ludzi do jednostek frontowych. Teraz gra szła o nasze życie i śmierć. Nie było już zapotrzebowania na administratorów, pisarzy i mechaników. Nie było też już frontu i tyłów — front był bowiem wszędzie wokół nas.

Nasz 1. batalion pancerny 35. Pułku dysponował znowu dwudziestoma gotowymi do walki wozami bojowymi. Załogi zniszczonych czołgów walczyły w Gdańsku z pełnym poświęceniem, używając pistoletów maszynowych i pancerfaustów. Straty w ludziach były bardzo bolesne. Teraz tych, którzy przeżyli, razem z pisarzami i kierowcami, personelem sztabowym i mechanikami z warsztatów, porozdzielano po kompaniach grenadierów pancernych. Dla wielu z nich był to niemal wyrok śmierci, ponieważ nie mieli doświadczenia w sposobach, jakimi walczyła piechota. Na pocieszenie pozostawało im jak najszybciej, zanim nie będzie za późno, dać się postrzelić, otrzymać „ranę-bilet do ojczyzny”, bo transport rannych przez morze do kraju ciągle jeszcze funkcjonował.

Niektórym udało się nawet przekonać wielkodusznego lekarza wojskowego o „ukrytych chorobach”. Zdarzało się też, że współczujący sanitariusze wieszali na szyi „przepustkę rannego” kapralowi w podeszłym wieku, mówiąc mu, jak się ma dalej zachowywać. Powszechnie wiadano, że stąd można się wydostać żywym tylko ze zgodnymi z przepisami, odpowiednimi papierami, gdyż żandarmeria polowa była bezlitosna. Przeprowadzała kontrole we wszystkich możliwych miejscach. Ci z tych dzielnych wojaków, którzy na przekór wszelkim ostrzeżeniom usiłowali się stąd wydostać na własną rękę, kołysali się teraz na gałęzi z tabliczką na brzuchu: „Skazany na śmierć za dezercję!”.

A potem znowu usłyszeliśmy pogłoskę, jaka już w połowie marca pojawiła się na krótko: dwustu zasłużonych pancerniaków ma być przetransportowanych statkiem do Szlezwika-Holsztynu, aby przejąć tam nowe czołgi, i... Ale dalej nikt już nie chciał słuchać. Byle się stąd wynieść! Precz z tego piekła! Wydostać się z tej przeklętej pułapki, zanim się całkiem zamknie!

Zaczął się wyścig o uśmiech losu i poszukiwanie wsparcia ze strony kolegów oraz przełożonych. Komu będzie wolno wydostać się z tego kotła czarownic? Według jakich kryteriów będą dobierani wybrańcy?

I to, w czym wszyscy pokładali nadzieję i w co zarazem nikt tak naprawdę nie wierzył, stało się w ciągu jednej nocy faktem: krótki i jasny rozkaz z dywizji nakazywał, aby dwustu ludzi z 35. Pułku Pancernego, członków doświadczonych i zasłużonych załóg, wyposażonych w odpowiednie dokumenty, wyruszyło natychmiast na Hel. Na dowódcę tej grupy wyznaczono kapitana Küsperta, dowódcę rozwiązanego 2. batalionu.

Po długich naradach podjęto mądrą decyzję, aby przez Bałtyk wysłać do domu przede wszystkim ostatnich synów, ojców i żonatych mężczyzn. Naturalnie, nie obyło się bez scen zazdrości i prób nacisków ze strony tych, którzy nie

znaleźli się na „liście 200”. Gra toczyła się bowiem o zbyt dużą stawkę. Jednak koniec końców ta decyzja została potem powszechnie zaakceptowana jako umiarkowanie sprawiedliwa.

A szczęśliwców, uratowanych kandydatów na nieboszczyków, bo tak nas wtedy traktowano, wyposażono we wszystkie odpowiednie dokumenty i przepustki marszowe, opatrzone pieczęciami oraz podpisami, i wysłano w drogę. Wychodzili na piechotę grupami i grupkami, albo wyjeżdżali na zorganizowanych rowerach. Zaczął się wyścig na wybrzeże, żaden z nich bowiem nie chciał się spóźnić na być może ostatni pociąg do wolności, gdzie na stacji końcowej czekało na nich życie.

8 GRUPA KÜSPERT

Aquis Submersus — zatopiony w wodach — taki tytuł nadał jednej z swych nowel Theodor Storm, „poeta znad szarego morza”. Opisuje w niej smutny los pewnego młodego człowieka, który po latach cierpień, w chwili gdy w jego życiu pojawia się nieśmiałe światło szczęścia, musi pogrążyć się w odmętach morza.

16 kwietnia 1945 roku dwustu naszych kolegów z 35. Pułku Pancernego, wraz z sześcioma tysiącami innych ludzi, z dużymi nadziejami i planami wchodziło na pokład statku transportowego „Goya”; transportowiec ten miał ich zabrać z tego „niekończącego się frontu” i zawieźć w stronę życia.

W plecakach zabrali ze sobą ostatnie życzenia dla naszych bliskich. My pozostaliśmy tutaj, z rozczarowaniem w sercu i niewielką nadzieją co do naszej przyszłości, ciągle w bezpośrednim kontakcie ze śmiercią.

A oni wyciągali już ręce ku ojczyźnie i podarowanemu im ponownie życiu. I wtedy uderzył bezlitośnie twardy los. Sześć tysięcy ludzi — sześć tysięcy przerwanych nitek życia.

Aquis Submersus — zatopieni w wodach!

ZATOPIENIE TRANSPORTOWCA „GOYA“

Motorowiec „Goya” był wyposażonym w dwie śruby, nowoczesnym i szybkim frachtowcem, o wyporności 5230 ton rejestrowych brutto; zbudowano go dopiero w roku 1942. Przedziwny kamuflaż czynił go niemal niewidzialnym.

16 kwietnia 1945 roku zaczął się źle dla załogi tego statku, wraz ze świtem bowiem pojawiły się sowieckie bombowce. Co prawda, działka przeciwlotnicze motorowca strzelały jak szalone, ale „Goya” został trafiony już za czwartym nawrotem nieprzyjacielskich samolotów. Bomba trafiła w dziobową część statku, rozrywając pokład i raniąc obsadę działek. Jednym z odłamków został raniony także i kapitan Plünnecke.

Jednakże mimo dziury w górnym pokładzie statek nadal był zdolny do wyjścia w morze. O godzinie 09.00, wykorzystując łódź z Helu, rozpoczęto załadunek uciekinierów, rannych i żołnierzy. Przez cały dzień promy i kutry rybackie dobijały do burt „Goi”. Jednak sowieckie samoloty atakowały bez przerwy, powodując niekiedy panikę wśród ludzi na statku, a także tych, którzy akurat znajdowali się w drodze do niego. W wyniku tych ataków doszło do bolesnych strat w ludziach.

Około godziny 19.00, zgodnie z listą, która była jednak niepełna, jako że ciągle wciskali się do łodzi nowi ludzie, na pokładzie znajdowało się już sześć tysięcy stu pasażerów, w tym tysiąc ośmiuset żołnierzy. Przyjmuje się dzisiaj, że na „Goi” było co najmniej siedem tysięcy ludzi.

Wraz z zapadnięciem zmierzchu, około godziny 20.00 ówczesnego czasu letniego, „Goya” wyszedł na pełne morze i dołączył do konwoju innych statków, by wyruszyć w rejs na zachód. W konwoju szły jeszcze dwa mniejsze transportowce: „Kronenfels” i „Aegir”. Role eskorty pełniły trałowce „M 256” i „M 328”. „Goya” zajmował w konwoju pozycję położoną najbardziej na północ.

Kiedy statek dotarł na pełne morze, napięcie panujące wśród ludzi na pokładzie zaczęło wyraźnie opadać, podobnie jak zniknął lęk przed atakami sowieckich samolotów. Zaczął natomiast wzrastać strach przed okrętami podwodnymi i minami. Na przeładowanym statku ludzie leżeli i stali również na schodniach i korytarzach. Powietrze wewnątrz było tak gęste, że można je było kroić nożem, a wyjście na otwarty pokład zdawało się niemal niemożliwe. Szybkość, z jaką płynął konwój, wynosiła 9 węzłów, ponieważ musiano ją dostosować do najwolniejszego statku.

O godzinie 22.30 obserwator zameldował z gniazda bocianiego, że zauważył cień na sterburcie. „M 328” wystrzelił rakiety oświetlające, po czym cień zniknął. Wydano rozkaz: „Założyć kamizelki ratunkowe, ale na pokładzie znajdowało się tylko 1500 sztuk.

Około godziny 22.30 „Kronenfels” zwolnił wyraźnie z powodu awarii maszyn. Pozostałe statki konwoju zawróciły i czekały na swego towarzysza. Na „Kronenfelsie” gorączkowo usiłowano środkami pokładowymi naprawić uszkodzenia, co się w końcu udało. W tym czasie oba eskortowce krążyły wokół stojących bez ruchu statków. Około godziny 23.30 konwój ruszył ponownie w drogę; znajdował się wówczas na wysokości Rzucewa, w nadirze Mierzei Helskiej.

Wtedy nikt nawet nie przeczuwał, że od dłuższego już czasu za konwojem podąża sowiecki okręt podwodny „L—3”, płynący pod dowództwem kapitana marynarki V.K. Konowałowa.

O godzinie 23.45 „Goya” zadrżał pod wpływem dwóch potężnych eksplozji. Statek zakołysał się silnie wzdłuż swej osi — dziób został najpierw wyrzucony w górę, by za moment opaść gwałtownie. Rufa „Goi” zaczęła się szybko zanurzać. Na całym statku natychmiast zgasły wszystkie światła. Z ciemności dobiegły rozkazy: „Ratuj się, kto może!”. Słyszał było szum wody wdzierającej się do wnętrza statku. Po pokładzie zaczęli biegać ludzie, a pierwsi z nich wyskakiwali już za burtę.

Pod pokładem natomiast wybuchła nieopisana panika. Setki ludzi zostało ciężko rannych. Wszyscy cisnęli się do schodni, chcąc się wydostać na pokład. Naciskający gwałtownie tłum stratował wielu pasażerów, przede wszystkim dzieci. Statek zanurzał się coraz bardziej rufą, przez którą zaczęły się już przelewać fale. Jeszcze zanim zdążono spuścić na wodę szalupy ratunkowe, „Goya” przełamał się na dwie części i zaczął szybko tonąć. Niemal w sekundę

ludzie stojący na pokładzie znaleźli się po brzuch w wodzie. Jednak dopiero wtedy, gdy maszty zaczęły pochylać się ku wodzie, wielu z nich opuściło statek, by ratować życie.

Z wnętrza śmiertelnie rannego „Goi” wystrzelił nagle wysoki płomień eksplozji, a za nią we wnętrzu statku nastąpiły zaraz kolejne. Sytuacja rozwijała się błyskawicznie: w ciągu niewielu minut obie połowy statku zniknęły pod powierzchnią morza.

Pływający w morzu rozbitkowie przez moment mogli zauważyć ciemny zarys wynurzającego się okrętu podwodnego. Miejsce katastrofy było usiane olbrzymią liczbą wołających o pomoc ludzi, szczątkami statku i trupami. Kobiety lamentowały, a mężczyźni przeklinali. O tej porze roku woda była jeszcze lodowata, zamrażając niemal ciała rozbitków, szybko pozbawiając ich sił. Większość z nich miała na sobie tylko lekkie ubrania, gdyż we wnętrzu „Goi” było bardzo gorąco i duszno.

W ciemnościach przeraźliwie brzmiały wezwania o pomoc. Pływający rozbitkowie usiłowali chwytać się czegokolwiek, pociągając za sobą w toń innych. Tu i ówdzie zapalały się żółte awaryjne światełka gumowych łodzi ratunkowych. Zapalały się automatycznie podczas wodowania, a ich poświata jeszcze bardziej podkreślała grozę sytuacji.

Żołnierze nawoływali kolegów, usiłujących zebrać się przy jednej z tratw ratunkowych. Niektóre z nich, przepełnione rozbitkami, wywracały się. Trwała rozpaczliwa walka o możliwość schwycenia się czegokolwiek, o kawałek liny, który mógł oznaczać przeżycie tej katastrofy Ci, którzy dopłynęli później do tratw czy łodzi, byli kopniakami i ciosami pięści odrzucani przez tych, którzy znaleźli już w nich ratunek. Do głosu doszło brutalne prawo silniejszego. Pobicci w milczeniu szli pod wodę. Z każdą minutą na powierzchni unosiło się coraz mniej rozbitków. Niebawem nikt już nie walczył o możliwość uchwycenia się pływających tratw ratunkowych. Dobiegające z wody krzyki stawały się coraz słabsze i słabsze, w końcu słychać było tylko krótki bulgot... i następował koniec.

W dwie godziny później, w ostatniej dosłownie minucie, eskortowiec „M 328” wyłowił rozbitków pływających w jego pobliżu. Na wpół zamarzniętych i kompletnie wychłodzonych ludzi natychmiast zawijano w ciepłe koce i zabierano pod pokład, gdzie udzielano im pomocy lekarskiej. Stu z nich udało się przywrócić życie. Jeden ze ścigaczy wyciągnął z morza dalszych osiemdziesięciu trzech rozbitków. Wszyscy zostali potem przekazani na pokład „Kronenfelsa”, który przewiózł ich, wraz z innymi ludźmi na pokładzie, do Kopenhagi.

Katastrofę przeżyło tylko tych stu osiemdziesięciu trzech ludzi, w tym siedmiu naszych kolegów spośród dwustu czołgistów 35. Pułku Pancernego. Wraz z „Goyą” poszło na dno ponad sześć tysięcy ludzi.

Setki z nich zginęło już podczas eksplozji obu torped; rozerwało ich na strzępy ciśnienie powietrza. Tysiące zmarło przerażającą śmiercią, tonąc pod pokładem, kiedy woda wdarła się do wnętrza przez dziury w kadłubie. Można powiedzieć, że w ciągu 20 minut przestało istnieć małe miasteczko. Nigdy nikt nie powiadomił

krewnych o śmierci ich bliskich. Ofiary, które zginęły na „Goi”, zostały umieszczone na listach ofiar wojennych jako „zaginione”. Wiść o zatopieniu „Goi” nie dotarła także do walczących na froncie nad Wisłą. Sądziliśmy, że nasi towarzysze są już bezpieczni. Dopiero lata później dowiedzieliśmy się o tej największej — odkąd sięga ludzka pamięć — katastrofie, jakiej uległ pojedynczy statek na morzu.

Jednym z siedmiu uratowanych z naszego 35. Pułku Pancernego był Jochen Hannemann. Przywołujemy jego wspomnienia, które pozwolą lepiej zrozumieć dalsze wydarzenia:

„16 kwietnia 1945 — tuż po godzinie 20.00 „Goya” wypłynął z Helu z 6488 uciekinierami, rannymi i żołnierzami na pokładzie. Eskortę stanowiły dwa trałowce.

My, żołnierze z 35. Pułku Pancernego, zostaliśmy umieszczeni w dolnych pomieszczeniach na śródokręciu. Wszędzie na korytarzach, w kabinach i ładowniach stały, siedziały i leżały kobiety, dzieci, ranni i żołnierze. We wszystkich pomieszczeniach niemal nie można się było poruszać. Było gorąco i prawie nie dało się oddychać. Starłem się więc wydostać na górny pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. I to prawdopodobnie uratowało mi życie.

Noc była jasna, a morze spokojne. Na zewnątrz panowało przejmujące zimno. Tuż przed północą — znajdowałem się właśnie na pokładzie — poczułem dwa tępe uderzenia. Statek podskoczył gwałtownie. Olbrzymie fontanny wody najpierw uniosły się ku nocnemu niebu, a potem spadły na pokład. Nagle zgasły wszystkie światła. We wnętrzu „Goi” wybuchła straszliwa panika. Każdy chciał się dostać do wyjścia. Na schodniach i korytarzach dolnych pokładów rozgrywały się straszliwe sceny. Zaczęła się walka na śmierć i życie. Zapewne nikt się już nigdy nie dowie, co działo się we wnętrzu statku. Musiały to być straszne i przerażające sceny. W wyrwane eksplozjami torped olbrzymie dziury wdzierały się masy szumiącej wody. Statek przełamał się w połowie i bardzo szybko zatonął. Szum wirującej wokół wody był przerażający.

Kiedy nie mogłem znaleźć już na statku żadnego uchwytu, skoczyłem przez reling w lodowate wody Morza Bałtyckiego. Olbrzymia fala zabrała mnie od burty statku. Nagle obok mnie wyskoczyła zwody tratwa ratunkowa: prawdopodobnie ciśnienie wody wyrwało ją z zabezpieczających uchwytów tonącego „Goi”. Udało mi się przytrzymać tratwy. Potem zamieniła się ona w wielki kłęb ludzi, trzymających się jej kurczowo.

Przez dwie godziny rozpaczliwie walczyliśmy z falami o życie w lodowatej wodzie. Byliśmy całkowicie wyczerpani, kiedy podpłynął do nas okręt Kriegsmarine i wyciągnął nas z wody. Naliczyłem 172 uratowanych rozbitków. Ponad 6000 ludzi poszło w głębiny razem z „Goyą”, i to w chwili, gdy sądzili, że wszystkie niebezpieczeństwa są już za nimi.

Po południu rozbitków przekazano z okrętu Kriegsmarine na transportowiec „Kronenfels”, który zawiózł nas do Kopenhagi. Z 200 kolegów z Grupy Küspert tylko 7 pozostało przy życiu. Poza mną byli to: starszy sierżant Kurt Moser,

plutonowy Wehner, plutonowy Gross, kapral Jung, kapral Veit i starszy kapral Burchardt”.

9 WYCZEKIWANIE U UJŚCIA WISŁY

Powstała w 1840 roku odnoga rzeki, zwana Wisłą Śmiałą — drugie, płynące na zachód i uchodzące do morza pod Nowym Portem ramię Wisły zdegradowała do rangi „Martwej Wisły”. Od czasu regulacji pod koniec XIX stulecia wspomniana Wisła Śmiała jest właściwym ujściem rzeki do Bałtyku. Szeroka rzeka ociężale wlewa się do Morza Bałtyckiego między Świbnem i Mikoszewem. Potężne języki wydm towarzyszą jej jeszcze kawałek, wyprowadzając w głąb morza.

W tym miejscu rzeka jest po prostu za szeroka, by połączyć jej brzegi mostem. Funkcjonował za to duży prom rzeczny, który mógł przewieźć naraz kompanię wojska. Prom pływał między obiema wspomnianymi wyżej miejscowościami. Nawet dzisiaj należy pamiętać o zasługach dzielnych, nieustraszonych ludzi, którzy obsługiwali ten ważny środek transportu. Przewozili ludzi przez Wisłę także w czasie nalotów i pod ostrzałem artyleryjskim. My, jako starzy żołnierze frontowi, unikaliśmy tego tak wrażliwego miejsca nad wodą, przyciągającego bez przerwy sowieckie szturmowce, stanowiącego również wyzwanie dla sowieckiej artylerii. Jednak marynarze siedzący na górze, w oszklonej kabinie promu, prowadzili statek, nie zwracając uwagi na przeciwności. A na sam koniec udało im się przeprowadzić całkowicie wypełniony żołnierzami prom przez Bałtyk do Kilonii. Czapki z głów przed dzielnymi marynarzami z załogi Promu ze Świbna!

Po obu stronach ujścia rzeki saperzy wybudowali prowizoryczne Pomosty, z których uciekinierów i rannych przewożono promami Marynarki i łodziami desantowymi saperów przez Zatokę Gdańską na Hel, gdzie na redzie czekały na nich wielkie statki transportowe. Transportowce nie chciały zawijać do małego portu w Helu, leżał on bowiem od strony zatoki, a tym samym był zwrócony ku Sowietaom. Ciągłe jeszcze na ewakuację czekało około stu tysięcy ludzi i codziennie dochodzili nowi, którym udało się tu przedostać przez Mierzeję Wiślaną. Obozowali, podzieleni na bloki po tysiąc osób, w okopach po obu stronach ujścia Wisły, ukryci w rzadkich sosnowych lasach. Mimo zachowywanej ostrożności i przezorności ciągle ponoszono straty spowodowane sowieckimi nalotami. Sowieckie bombowce i samoloty szturmowe znajdowały się bez przerwy w powietrzu i tylko w nocy zastępowały je wolno latające dwupłatowce, którym nasi frontowcy nadawali różne nazwy: „Nocne sowy”, „Natasza”, „Mgielne wrony” itd. Nie miały one problemu z trafieniem do nas, jako że białe, piaszczyste wybrzeże Zalewu stanowiło dla nich doskonały punkt orientacyjny.

Oddalone od lądu około 5 do 10 kilometrów, trzy okręty wojenne niemieckiej

Kriegsmarine: „Prinz Eugen”, „Leipzig” i „Schlesien” stały nadal na otwartym morzu. Stanowiły bardziej dekorację aniżeli rzeczywistą pomoc, gdyż ich zapasy amunicji były najprawdopodobniej niewielkie. W każdym razie okręty te nie włączały się już do walk prowadzonych na lądzie, stając się za to obiektami niustających ataków lotniczych. Okrętowa artyleria przeciwlotnicza strzelała zaskakująco dobrze, tak że Sowiecom nie udało się trafić żadnego z nich choćby jedną bombą, mimo że atakowali niemieckie okręty bombowcami latającymi na wysokim pułapie, szturmowcami i samolotami torpedowymi, tracąc przy tym całą masę maszyn. W końcu zrezygnowali, stwierdziwszy, że w zasadzie te okręty w niczym im nie przeszkadzają.

Nam za to ich obecność poprawiała nieco samopoczucie i morale: nie czuliśmy się już tak opuszczeni. W pewnym stopniu ich sylwetki stanowiły wspaniałą scenerię, także i dla Sowieców. My szukaliśmy parasola ochronnego, jakim były ich działa. Z kolei żołnierze Armii Czerwonej ich unikali, jeśli było to możliwe — chociaż zapasy granatów w komorach amunicyjnych okrętów były nader ograniczone.

14 kwietnia dywizje marszałka Wasilewskiego zaatakowały z niespotykaną siłą w Sambii po tym, kiedy 10 kwietnia udało im się zdobyć Królewiec. Nasze jednostki zdołały jeszcze przeszkodzić przedarciu się sowieckich oddziałów w rejon Mierzei Wiślanej koło Pilawy. W tej sytuacji generał von Saucken przejął również dowodzenie resztkami 4. Armii niemieckiej.

20 kwietnia nasza 4. Dywizja Pancerna znowu otrzymała zadanie utworzenia następnej bojowej grupy pancernej. Włączono do niej: 12. Pułk Grenadierów Pancernych, 2. batalion 103. Pułku Artylerii i wozy bojowe, jakie pozostały z naszego rozwiązanego już 35. Pułku Pancernego. Grupa ta, dowodzona przez majora von Heydena, została podporządkowana bezpośrednio dowództwu 2. Armii.

Ale grenadierzy i artylerzyści brali jeszcze udział w akcji na zachód od Wisły Śmiałej. Najpierw więc musieli oderwać się od przeciwnika, a potem należało ich przerzucić przez rzekę na drugą stronę. Cała ta operacja zajęła dużo czasu, ponieważ w tej okolicy nie było żadnych mostów, obie zaś miejscowości, w których istniała przeprawa promowa: Świbno i Drewnica, były ulubionym celem sowieckich ataków lotniczych.

23 kwietnia, w 4. pancernym batalionie rozpoznawczym ogłoszono alarm. W ciągu niewielu godzin, mimo złych dróg, silnego, niekontrolowanego przez nikogo ruchu i idących z naprzeciwką kolumn uciekinierów, jednostce udaje się dotrzeć na drugi koniec Mierzei, do miejsca leżącego naprzeciwko Piławy, i to dokładnie w chwili, gdy Sowieci mieli zamiar dokonać tam lądowania ze swych ścigaczy i łodzi desantowych. Skoncentrowana siła ognia czołgów zwiadowczych i transporterów opancerzonych zepchnęła ich z powrotem do wody, zadając krwawe straty.

24 kwietnia także pancerna grupa bojowa dotarła do miejsca zbiórki w rejonie wydm na wschód od Wisły Śmiałej, skąd w szybkim tempie została przerzucona

na Mierzeję Wiślaną w okolice Krynicy Morskiej i Przebrną, gdzie również oczekiwano lądowania Sowietów. Co za szczęście, że mieliśmy jeszcze trochę opancerzonych wozów bojowych!

Mierzeja Wiślana, gdzie znajdowaliśmy się teraz jako własne rezerwy Armii, jest mierzącym około 65 kilometrów wąskim, porośniętym lasem pasem łądu, leżącym między Morzem Bałtyckim i Zalewem Wiślanym, w niektórych miejscach szerokim tylko na 800 metrów i wznoszącym się 5 do 10 metrów nad poziomem Bałtyku.

Od stycznia do marca ten wąski półwysep stanowił dla wielu tysięcy ludzi drogę ucieczki z Prus Wschodnich. Teraz resztki pobitej 4. Armii niemieckiej ciągnęły nią na południowy zachód, w kierunku ujścia Wisły. Piaszczysta droga była rozjechana kołami i gąsienicami, wydmy zaś, usiane rowami osłaniającymi, wyglądały jak księżycowy krajobraz.

Linia licznych stanowisk obronnych, zbudowanych przezornie jakiś czas temu przez Organizację Todta, przebiegała od Zalewu Wiślanego aż do Bałtyku. Niestety, były one skierowane na zachód. W stronę Gdańska.

10 TO BYŁO PIEKŁO

WALKI I ODWRÓT ZNAD MIERZEI WIŚLANEJ

Nie minęło wiele czasu i dysponujący niewyobrażalną ilością sprzętu wojennego i amunicji atakujący Sowieci dotarli w rejon Nowej Karczmy. W tej sytuacji pancerna grupa 4. Dywizji Pancерnej musiała wziąć aktywny udział w walkach, w których obie strony ponosiły ciężkie straty.

Dla mnie ten „taniec śmierci” zaczął się w sposób wręcz szaleńczy. Sztab 1. batalionu 35. Pułku Pancерnego zajął na swą siedzibę samotną leśniczówkę, stojącą w gęstym lesie sosnowym w pobliżu Piasków. Właśnie rozłożyliśmy się, by nieco odpocząć, gdy nadjechał na gąsienicowym motocyklu goniec z taborów; przywiózł nam gorącą kawę, a także — po długim czasie — zaległą pocztę połową. Ja dostałem paczkę bożonarodzeniową, która minęła się ze mną w Kurlandii. Było w niej świąteczne ciasto, częściowo już zeschnięte i całe pokruszone, oraz słodkie suchary — mimo długiej podróży przez morze — całkiem jeszcze jadalne. I na dodatek para długich, zrobionych na drutach skarpet.

Ciesząc się prezentami i pamięcią mojej młodej żony, miałem świadomość, że zapewne będzie to na dłuższy czas ostatni znak życia z domu. I wtedy usłyszałem dochodzące z oddali, ze strony, w której do tej pory panowała zawsze cisza, odgłosy wystrzałów artyleryjskich. W ciągu długich lat wojny człowiek stopniowo nabierał wyczucia i wyostrzał instynkt, by zorientować się, czy działa są wycelowane w jego własne pozycje. Te odgłosy dalekich wystrzałów właśnie o czymś takim świadczyły. Mimo że otaczały nas solidne, ceglane

MAJ — KALENDARIUM — MIERZEJA WIŚLANA

- 1.5.45 — Wieś Narmeln na Mierzei Wiślanej przechodzi w ręce sowieckie.
- 2.5.45 — Sowietci wchodzą do Berlina.
- 3.5.45 — Brytyjskie lotnictwo zatapia w Zatoce Kilońskiej i Zatoce Lubeckiej 23 niemieckie statki handlowe i uszkodza 8 kolejnych.
- 5.5.45 — Wszystkie będące do dyspozycji statki transportowe odchodzą na Hel i do Kurlandii w celu ewakuacji walczących tam żołnierzy.
Przebrno dostaje się w ręce sowieckie.
Od godziny 08.00 obowiązuje zawieszenie broni z aliantami zachodnimi.
- 7.5.45 — Wszyscy uciekinierzy zostali ewakuowani z ujścia Wisły i z Helu.
Początek ewakuacji żołnierzy.
Wieś Skowronki zostaje zajęta przez Sowietów.
- 8.5.45 — Ogłoszenie zawieszenia broni na Wschodzie: od 9 maja godz. 00.01 trwa rozejm na wszystkich frontach.
- 10.5.45 — 100 000 żołnierzy niemieckich maszeruje w sposób zorganizowany do niewoli sowieckiej. Ostatni z nich powracają do ojczyzny po 10 latach, w roku 1955.

mury, natychmiast wzięliśmy nogi za pas i zniknęliśmy w okopach, których było tu wiele, a zostały wykopane dawno temu przez ludzi z Organizacji Todta.

I rzeczywiście! Wszystkie cztery ciężkie pociski były przewidziane dla nas — wybuchły w pobliżu, niemal tuż tuż. Jeden z granatów trafił wprost w leśniczówkę. Wystrzelone zza Zalewu i przeznaczone dla nas granaty miały naprawdę duży kaliber. Ataku na leśniczówkę nie miała prawa przeżyć nawet mysz. Również i moja paczka świąteczna, stojąca na stole, rozleciała się na tysiące kawałków. Wśród kawałków muru znalazłem tylko jedną ze skarpet zrobionych na drutach przez moją żonę. Nie wiem, dlaczego, ale zabrałem ją ze sobą — przeszła ze mną całą drogę do końca wojny i zachowałem ją do dzisiaj jako pamiątkę z Zalewu Wiślanego z roku 1945.

Sądziliśmy do tej pory, że nie jest możliwe większe piekło od tego, jakie przeżyliśmy w Gdańsku. Jak się okazało — niestety.

Ostatnie dni tej nieszczęsnej wojny, o których nie napisał żaden ze sprawozdawców frontowych, były najtrudniejsze do zniesienia, ponieważ nasze serca zżerała paralizująca niepewność i tępa rozpacz, bezlitosna zaś walka o życie wysysała ostatnie siły z wycieńczonego ciała.

Bezbronni żołnierze w poszarpanych mundurach, z poszarzałymi twarzami, z pustymi oczyma, z których wyglądało przerażenie, szli pospiesznie dzień i noc, drogą na Mierzei po wybojach kocich łbów. Byli to ci, którzy ocalili z rozbitej 4. Armii niemieckiej z Prus Wschodnich, z Sambii, z Królewca, i którym w niewiadomy bliżej, brawurowy sposób udało się przez Zalew Wiślany ująć niewoli i śmierci.

Nadchodzili tłumnie coraz to nowi ranni, z prowizorycznymi opatrunkami przesiąkniętymi krwią. Ale żaden z nich nie pozwolił, byśmy zmienili im opatrunki na świeże. Nie mieli nawet czasu, by zaczerpnąć łyka wody z podanej im manierki, by ugryźć kawałek chleba, nie mieli czasu na papierosa czy krótki odpoczynek. Ci ludzie musieli przeżyć rzeczy straszne!

Z powrotem, z powrotem! — byle nie tracić czasu, byle wydostać się spod tego huraganu stali i ołowiu, z objęć bezlitosnego frontu! To było teraz jedyna dewiza, jaką się kierowali. Nie wiedzieli jeszcze, że ten front nie ma końca.

Na wąski, miejscami mający tylko 800 metrów szerokości, pas łądu padały niemal bezustannie pociski sowieckiej lekkiej artylerii, nazywane przez naszych żołnierzy „Ratschbum”, najpierw bowiem słychać było odgłos uderzenia, a dopiero potem wystrzał. Tuziny wyrzutni rakietowych, nazywanych „organami Stalina”, setki moździerzy różnego kalibru strzelały do nas z najbliższej odległości, z kierunku Mierzei. A my nie mogliśmy im nic przeciwstawić. Ponad Zalewem leciały w naszą stronę pociski wystrzeliwane z przynajmniej 180 dział, poczynając od kalibru 122mm w górę. Od strony morza zaś strzelały do nas interwałami sowieckie kanonierki. Życie utrudniały nam niezliczone czołgi nieprzyjaciela: T-34, typu „Józef Stalin”, amerykańskie Shermany i działa szturmowe ze wzmocnionymi płytami czołowymi, zwane taranami. Wzdłuż wybrzeża zaś strzelały działa przeciwpancerne, czając się na pojazdy poruszające

się po drodze na Mierzei.

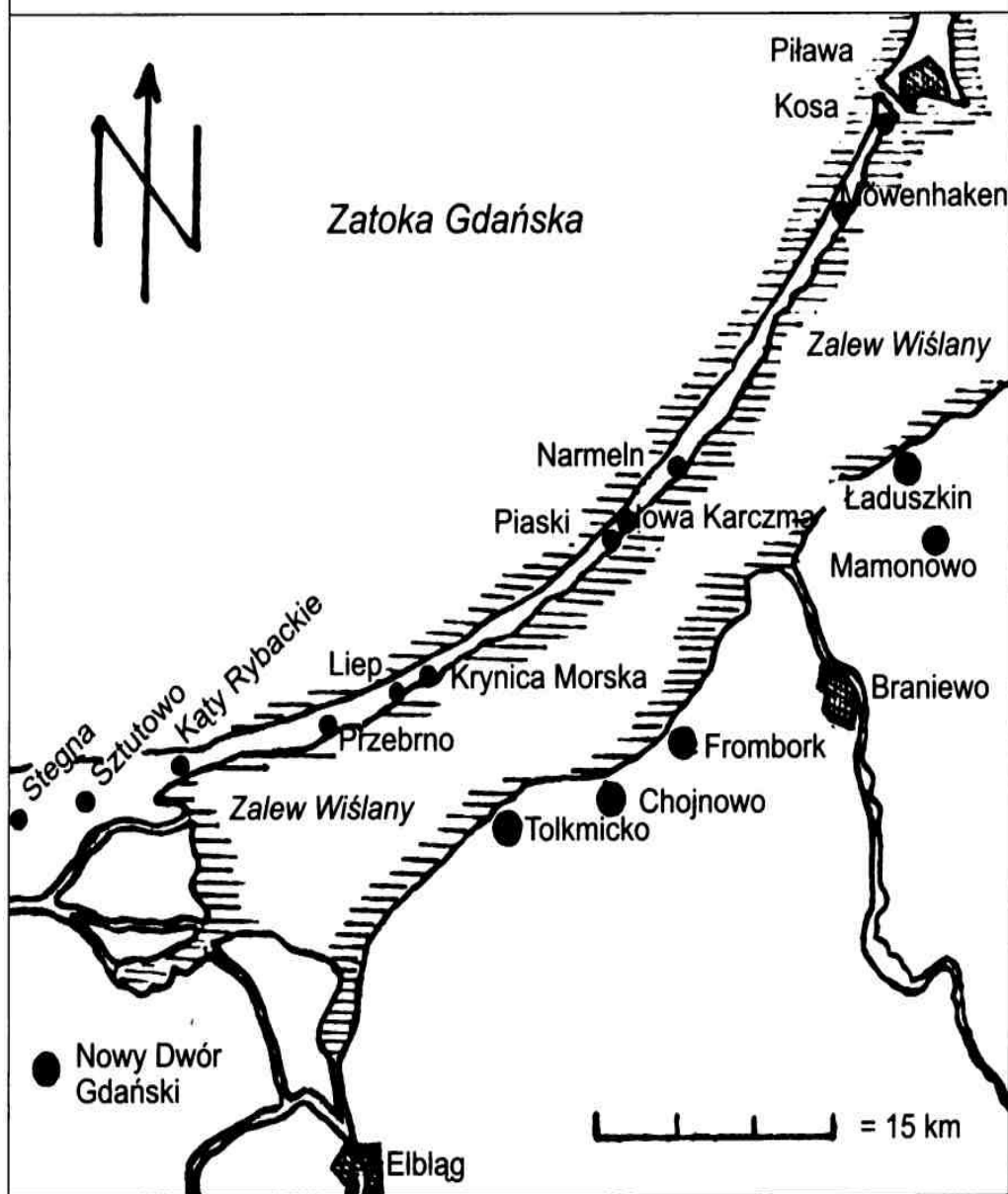
29 kwietnia naszą grupę pancerną, pod osłoną nocy, po cichu, przerzucono do Ptaszkowa jako wsparcie prowadzącego tam ciężkie walki 4. pancernego batalionu rozpoznawczego. W trakcie krwawych walk obronnych dosłownie o każdy dom dotarliśmy do Krynicy Morskiej, którą straciliśmy na rzecz Sowieców 3 maja. W tym momencie do akcji wszedł nasz 12. Pułk Grenadierów Pancernych.

Mimo że 5 maja musieliśmy zostawić Przebrno, dywizjom Armii Czerwonej do tej pory nie udało się wziąć szturmem pozycji bronionych przez niemieckie oddziały. W nocy na 6 maja straciliśmy w boju bezpośrednim dawny czołg dowodzenia pułku. Nie mógł się bronić swą blaszaną atrapą działa, ponieważ jednak miał na pokładzie działającą radiostację, musiał go zapalić inny, własny czołg. Zamiast niego dostaliśmy z batalionu łączności dywizji wyposażony w radiostację transporter opancerzony z załogą.

7 maja broniliśmy się, a było nas osiemdziesięciu żołnierzy z 1. batalionu 35. Pułku Pancernego, z 12 na wpół sparalizowanymi wozami bojowymi z niewielką ilością paliwa i kilkoma granatami, w rejonie Kątów Rybackich, u nasady Mierzei Wiślanej. Znajdowaliśmy się teraz w składzie 7. Bawarskiej Dywizji Piechoty. Do tej pory udało się jej odeprzeć na „froncie wodnym” wszystkie sowieckie ataki.

Stanowiska obronne w tym miejscu zbudowano dobrze: co cztery do pięciu kilometrów był wykopany okop przebiegający od Zalewu do Morza Bałtyckiego. Dwie, a przeważnie nawet trzy linie takich okopów, przezornie obsadzono naszymi żołnierzami. Sowieci zasypywali te okopy pociskami z niezliczonych dział, dosłownie wyrąbując w lasach przecinki. Straszliwe, jeśli idzie o skutki, były tak zwane „niszczyciele bunkrów” — granaty o bardzo czułych zapalnikach, które eksplodowały nawet przy najlżejszym zetknięciu z gałęziami. Ich rozsypujące się wachlarzowato w dół odłamki sprawiały, iż każdy ruch poza obrębem chroniącego okopu czy pancerza stawał się ryzykowną grą ze śmiercią. Ciężko rannych można było zabrać z pola walki, tylko ponosząc nowe straty. Biada temu, kto znalazł się wtedy w obcej jednostce!

MIERZEJA WIŚLANA OD KOSY DO STEGNY



Mierzeja Wiślana od Kosy po Stegnę

Majowe niebo miało głęboki, niebieski kolor — ta pogoda była wyjątkowo piękna i straszna zarazem. Nie było bowiem jednej godziny, podczas której nie słyszelibyśmy nad koronami drzew wycia nurkujących sowieckich bombowców. Niemal bez przerwy, od świtu do zmierzchu, nad wierzchołkami sosen, prawie na wyciągnięcie ręki, krążyły i strzelały do nas nieprzyjacielskie szturmowce. Ich rakiety wylatywały z sykiem z wyrzutni umieszczonych pod skrzydłami, lecąc w kierunku naszych okopów, stanowisk artyleryjskich — wszędzie tam, gdzie jakakolwiek żywa istota odważyła się poruszyć. Pociski z działek pokładowych i karabinów maszynowych wzbijały fontanny żółtawego piasku, drzewa traciły swe korony, siejąc kawałkami drewna wyrwanymi z ich pni. Nie mijało nawet kilka sekund, a już nad nami był kolejny tuzin wrogich samolotów. Z naszej strony nie padł natomiast ani jeden strzał z broni przeciwlotniczej, o myśliwcach nie wspominając.

Bez jakiegokolwiek wsparcia, zapomniani przez Boga i pogardzani przez cały świat, ostatni żołnierze 2. Armii niemieckiej prowadzili tu rozpaczliwą walkę, której nie da się porównać z jakąkolwiek inną bitwą. Wiedzieliśmy o tym i nie walczyliśmy już o „Vaterland”, nie o to, by wygrać bitwę. Staliśmy na froncie nad Zalewem Wiślanym tylko i wyłącznie dlatego, że u ujścia Wisły, pod Świbnem, tysiące kobiet i dzieci czekały na statki, które przynajmniej początkowo miały ich przewieźć na bezpieczny Hel. W ostatnich dniach, dzień w dzień, wywożono stamtąd około 30 000 ludzi. Ostatni uciekinierzy weszli na pokłady statków dopiero wieczorem 6 maja. A więc front należało nadal utrzymywać, bez względu na straty i metody.

A potem znowu wysoki gwizd spadających bomb typu Boston, „Pozdrowienia z Ameryki”. I odliczanie:… dwadzieścia… czterdzieści… sześćdziesiąt… a potem huk. Grzmot trwający minutami i tyle samo pełnego napięcia oczekiwania. Ziemia drżała i chwiała się pod naszymi nogami.. sekundy, które stawały się wiecznością. Z lasu wznosiła się olbrzymia chmura pyłu, zasłaniając słońce. I znowu przenikające do kości, przeraźliwe krzyki rannych, zasypanych i umierających: — Sanitariusz!… Sanitariusz!

Chciałbym, aby ludzie odpowiedzialni, siedzący na szczytach władzy, posłuchali kiedyś tych niemal zwierzęcych wrzasków, bulgoczącego rżenia i powolnego duszenia się rannych i umierających. Z pewnością wtedy nie byłoby już więcej żadnych wojen na ziemi.

Można było wręcz oszaleć, popaść w kompletną rozpacz, ciągle to znosząc, i to bez możliwości obrony. Wiedzieliśmy jednak, że musimy jeszcze wytrzymać — do tego nie potrzebowaliśmy żadnego rozkazu.

Krążyła pogłoska, że nasza grupa pancerna będzie ostatnią jednostką, która stąd odejdzie. W noc na 10 maja mieliśmy wejść na pokład okrętów wojennych. Czyli jeszcze trzy dni… Trzy dni? Siedemdziesiąt dwie niekończące się godziny! Ale w końcu, czym były siedemdziesiąt dwie godziny po czterech latach wojny na wschodzie?

Sowieci atakowali trzy... cztery... pięć razy po kolei. Byli przekonani, że swoją nawałą ogniową zniszczyli całe życie w okopach. Ale z tych okopów, które dla wielu stały się grobami, ciągle prowadzono do nich silny ogień.

Zazwyczaj po wykrwawieniu załóg znajdujących się na przedniej pozycji front winien być przesunięty na następną, zajęta już przez nowych żołnierzy linię, ponieważ grad pocisków po prostu nie pozwalał na przesunięcie wzmocnień czy dostawę amunicji na czoło obrony. Ale front jako taki trzymał się nadal i Sowietom nigdzie nie udało się go przełamać.

Nasze czołgi dokonywały niewiarygodnych rzeczy. Były w akcji od dziesięciu dni bez przerwy, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. A trzeba pamiętać, że ten piaszczysty teren leśny absolutnie nie sprzyjał tego rodzaju broni. A mimo to właśnie pancerniacy byli tymi, którzy w krytycznych chwilach dawali piechocie moralne wsparcie. Jak do tej pory byli jedynymi wspornikami tej linii obrony.

7 maja, około godziny 15.00, wszyscy niepotrzebni na miejscu żołnierze naszego 35. Pułku Pancernego zostali przewiezieni z Mikoszewa na Hel. Musieli czekać na prom u ujścia Wisły przez trzydzieści godzin. Na Mierzei pozostały już tylko załogi ośmiu czołgów oraz mała grupka mechaników i telefoniści. Trzy z tych czołgów utrzymały całkowitą gotowość bojową. Pięć niemogących jeździć wozów zaholowano na przewidziane stanowiska i na sposób rosyjski zakopano aż po wieżyczki. Miały tam funkcjonować jak „bunkry działowe“, wspierające przewidzianą na 10 maja operację utworzenia małego przyczółka.

Przez cały czas słuchaliśmy wiadomości nadawanych przez zagraniczne stacje radiowe, aby orientować się na bieżąco w sytuacji, jaka panowała w Niemczech. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że od 3 maja prowadzone są z aliantami zachodnimi rozmowy dotyczące zawarcia zawieszenia broni, od 5 maja zaś, od godziny 08.00, na froncie zachodnim obowiązywał rozejm. Byliśmy przekonani, że w konsekwencji na wschód zostaną wysłane wszystkie dostępne statki, aby stamtąd zabrać żołnierzy, szczególnie teraz, gdy 6 maja w drogę na Zachód wyruszyli ostatni uciekinierzy. W okresie od 1 do 5 maja z naszego rejonu nie odszedł już prawie żaden transport.

28 kwietnia przybył na Hel wiceadmirał Thiele, Dowódca Sił Wschodniego Morza Bałtyckiego, aby omówić bardzo zagmatwaną sytuację z pułkownikiem Schoepfferem, odpowiedzialnym ze strony 2. Armii za transporty uciekinierów. W ostatnich dniach zgromadziło się na Półwyspie Helskim około 200 000 ludzi, a każdej nocy, z rejonu ujścia Wisły, przybywało 30 000 następnych, jako że transport promowy przez Zatokę Gdańską funkcjonował na najwyższych obrotach. 3 maja wiceadmirał Thiele wysłał do niemieckiego Dowództwa Wojny Morskiej następujący radiogram: „Na skutek niemal całkowitego wstrzymania ruchu konwojów we wschodniej części Bałtyku, na Helu zgromadziło się w krótkim czasie ponad 200 000 ludzi. Proszę o natychmiastowe uruchomienie dużej liczby statków w celach ewakuacyjnych. 2 i 3 maja każdego dnia wychodził w morze tylko jeden statek. Pomoc pilnie potrzebna”.

Ale nie wiedzieliśmy o jednej rzeczy, mianowicie 2 i 3 maja angielskie związki

lotnicze, operujące zgodnie z planem w rejonie Zatok Kilońskiej i Lubeckiej, zbombardowały stojące tam na kotwicy niemieckie statki handlowe, zatapiając 23 i uszkadzając ciężko 8 z nich, między innymi również kotwiczące pod białą flagą w Neustädter Bucht^[13] oceaniczne liniowce „Cap Arkona” i „Deutschland”, a także mniejszy od nich „Thielbeck”. I to właśnie w chwili, gdy rozmowy o wstrzymaniu walk przyjęły już wiążącą formę. Wielu uciekinierów, sądzących, że są już bezpieczni, zginęło na tych statkach po wszystkich trudach ucieczki, niemal u celu swej drogi. Po naszej późniejszej ucieczce byliśmy przez dwa miesiące internowani w Sierksdorfie i mogliśmy się niejako na miejscu dowiedzieć o wszystkich szczegółach tych ataków. Trudno było zrozumieć postępowanie Anglików w tej sytuacji.

5 maja niemieckie Dowództwo Wojny Morskiej uruchomiło pospiesznie wszelkie dostępne statki, kierując je na wschód, aby ewakuować jednostki znajdujące się jeszcze w Kurlandii, na Helu i u ujścia Wisły. W ten sposób, w dniach od 5 do 7 maja, wywieziono na zachód 23 700 ludzi z Kurlandii, a z Helu 63 000 ludzi.

7 maja, około godziny 23.00, usłyszeliśmy w jednej z zagranicznych stacji radiowych, że Niemcy skapitulowały bezwarunkowo na wszystkich frontach. Naturalnie, nie uwierzyliśmy w tę informację, gdyż dla nas, ostatnich żołnierzy na Mierzei Wiślanej, oznaczało to, że za tak długo i ofiarnie prowadzoną obronę zostaniemy ukarani niewolą sowiecką. Oczywiście, tego rodzaju myśli pojawiały się już w naszych głowach w trakcie ostatnich tygodni, ale teraz, gdy ta straszna rzeczywistość była tak blisko, poczuliśmy na plecach lodowaty dreszcz.

Mimo to żywiliśmy nikłą nadzieję, w sztabie dywizji bowiem nikt jeszcze nic nie wiedział o kapitulacji. My, czyli ostatnich pięćdziesięciu żołnierzy z 35. Pułku Pancernego, zaczęliśmy przezornie układać plany, omawiać różne warianty, podejmując szereg działań na wypadek, gdyby...

Ulokowaliśmy nawet po jednym oficerze łącznikowym z radiostacją na każdym z dostępnych okrętów wojennych Kriegsmarine i na promie. Nie mieliśmy zamiaru się poddać, przynajmniej jeszcze nie teraz.

11 KONIEC WALK NAD WISŁĄ

Kiedy 8 maja słońce wstało krwawo nad Morzem Bałtyckim, zrozumieliśmy wreszcie, że zapadł już ostateczny i nieodwołalny wyrok na nas, ostatnich niemieckich żołnierzy na Mierzei Wiślanej. Okręty wojenne stojące u ujścia Wisły odpłynęły pod osłoną nocy. A przez cały czas były one małą iskierką naszych nadziei.

Nad nami rozpościerał się wspaniały majowy dzień, jednakże gdzieś, wewnątrz nas, wzbierała rozpacz. Lekki wschodni wiatr igrał z czubkami wierzchołków sosen, ale ten wiatr przynosił zapach pożarów i krwi, śmierci i zwłok, prochu i rozkładu. Czuliśmy się niewypowiedzianie opuszczeni i zdradzeni, nawet przez naszych przeciwników, którzy prawie już nie strzelali. Front był coraz bardziej spokojny. Mierzeja, brzegi Wisły — wszystkie te miejsca tak bardzo opustoszały przez minioną noc.

Ostatniej linii obrony, małego przyczółka, na który z tak wielkim nakładem sił zaholowaliśmy i gdzie zakopaliśmy nasze czołgi, nie zdążono już obsadzić. Nasze wozy bojowe miały być wysadzone, obsadzone pozostały tylko ostatnie trzy, nadające się do akcji czołgi. Pozbawione swych wozów załogi miały razem z grupą techniczną i łącznościowcami przejść na pokład jakiegoś statku. Znowu iskierka nadziei... Miano nam przecież wystać jeszcze jakiś statek.

Ponownie sam sprawdziłem wszystkie urządzenia nadawczo-odbiorcze, gdyż starszy radiotelegrafista Schmidt zginął przed kilkoma dniami. Z lasów wokół nas dobiegały odgłosy detonacji. Zgodnie z rozkazem wysadzano ciągniki, działa i pojazdy wszelkiego rodzaju. Był to wstrząsający obraz. Ale każdy z nas chciał mieć jasną sytuację, być gotowym do odjazdu w jednej chwili, każdy — po raz kolejny — chwycił się cienkiej nitki nadziei.

O godzinie 14.00 dostałem od adiutanta dowódcy batalionu, porucznika Grigata, polecenie, aby natychmiast, wraz z załogami pięciu czołgów oraz pozostałymi ludźmi, czyli w sumie z dwudziestoma ośmioma żołnierzami, pomaszerować do ujścia Wisły, gdzie stał już nasz transporter opancerzony łączności, mający kontakt z promami. Coś wisało w powietrzu, coś się musi niebawem wydarzyć.

To, czego dowiedziałem się jednak na brzegu Wisły, było bardzo zniechęcające: promy, które miały nas przewieźć na Hel, już wypłynęły. Już tu nie wrócą, bo są w drodze do Kilonii. Na środku rzeki kotwiczyło jeszcze tylko kilka stateczków, ale za to na brzegu zgromadziło się tysiące żołnierzy.

O godzinie 17.00 potwierdzono przez radio to, co już dawno powtarzano sobie z ust do ust: od północy będziemy mieli rozejm, a potem nastąpi bezwarunkowa

kapitulacja. Żaden z nas nie powiedział tego głośno, ale te słowa były wypisane na wszystkich obliczach: pułapka się zamknęła. Koniec z marzeniami o powrocie do domu!

A mimo to, być może po raz ostatni w historii naszego narodu, potwierdziła się charakterystyczna, przysłowiowa dyscyplina niemiecka, pruskie wychowanie i zamiłowanie do porządku, a przede wszystkim koleżeństwo, które umocniło się w ciągu tych sześciu twardych lat wojny.

Chociaż każdy ze stojących w niekończącej się kolejce czekających wiedział doskonale, że raczej nie należy mieć nadziei na nadejście kolejnych statków, a te dwa, stojące pośrodku Wisły, nie będą w stanie wziąć na pokład wszystkich, na prowizorycznym nabrzeżu nie doszło do wybuchu żadnej paniki. Paru żołnierzy z taboru, którzy chcieli się ukradkiem wepchnąć na początek kolejki, zostało szybko, łokciami i bez zbędnych słów, przywołanych do porządku.

Jeden z obu statków ze środka rzeki przycumował przy naszym, wschodnim brzegu Wisły. Weszli na niego ostatni żołnierze z naszego 4. pancernego batalionu rozpoznawczego. Bez trudu udało mi się ulokować na pokładzie razem z nimi moich dwudziestu ośmiu pancerniaków. Otrzymałem wyraźny rozkaz, aby im towarzyszyć, ale na brzegu ciągle jeszcze stał przydzielony nam przez batalion łączności transporter opancerzony z radiostacjami i czterema ludźmi załogi. Radiostacje nadal były nastawione na odbiór i miały łączność z Grupą Grigata, ostatnią zorganizowaną grupką żołnierzy 35. Pułku.

Dowódca pancernego batalionu rozpoznawczego, major von Gaupp, kilkakrotnie mnie popędzał, abym wreszcie wszedł na statek. Ale moich czterech radiotelegrafistów wciąż jeszcze pracowało; niezdecydowany stałem na brzegu. Potem jednak wróciłem do załogi transportera łączności. Wstydziłem się, że przez moment pomyślałem o tym, aby zostawić ich własnemu losowi.

Kierowca, kapral Eckstein, grzebał coś przy karabinie maszynowym z wilgotnymi oczyma. — Nie wiem, panie poruczniku, co bym zrobił — oświadczył zduszonym głosem — gdyby nas pan tutaj zostawił samych. Chyba nie zniósłbym tego kolejnego rozzarowania.

O godzinie 18.20 ostatni statek, przeładowany do granic możliwości, wypłynął z ujścia Wisły. Żołnierze, stłoczeni na pokładzie niczym winogrona, przytrzymywali się wszystkiego, co dawało jakiegokolwiek oparcie. I machali do nas, do tych, którzy tu zostali. Patrzyłem długo za oboma statkami z ciężkim i zarazem lekkim sercem. Drugi ze statków wziął na pokład ludzi zgromadzonych na przeciwnym brzegu Wisły. A teraz do ojczyzny! Zostańcie w zdrowiu!

Z zadumy wyrwał nas świst dochodzący ze słuchawek. Radiogram. Szybko rozszyfrowaliśmy jego treść: „Zniszczyć pojazd i sprzęt radiowy. Zostaliście zwolnieni z przysięgi. Spróbujcie się przebijać do domu. Od północy obowiązuje rozejm. Koniec!”. Potwierdziliśmy odebranie radiogramu, a potem w eterze zapadła cisza. To był już naprawdę koniec. Te kilka słów podziało tak, jakby ktoś walnął nas miotem w głowę. Gdybyż ten radiogram przyszedł dwie godziny wcześniej!

Czekający w kolejce dawno się już rozeszli, usiłując samodzielnie spróbować szczęścia. Razem z naszym transporterem wciąż jeszcze staliśmy niezdecydowani na brzegu Wisły, patrząc na całkowicie opustoszały tor wodny, którym nie płynął teraz nawet pień drzewa.

Około godziny 19.00 wśród nadbrzeżnych zarośli znaleźliśmy —jako że postanowiliśmy się nadal nie poddawać — porzuconą gumową, nadmuchiwaną łódź. Korzystając z niej, szybko nawiązaliśmy kontakt z jedną z grup straży tylnej batalionu rozpoznawczego, która na samym końcu cypla przygotowywała do drogi na Hel dwie szturmowe łodzie saperskie. Znowu mały promyk nadziei! Ludzie z batalionu rozpoznawczego przyrzekli wziąć nas na hol.

W godzinie 20.00 zacumowała obok nas duża, elegancka motorówka. Kolejny promyk nadziei. Zapytałem uprzejmie i skromnie, czy moich czterech ludzi i ja możemy zabrać się na jej pokład. Rzuciwszy okiem, stwierdziłem, że na motorówce było wystarczająco dużo miejsca. Ale nieuprzejmi właściciele motorówki nie byli łaskawi odpowiedzieć nam nawet jednym słowem. Odpłynęli, pozostawiając nas na brzegu, jak głupie dzieci. Najwyraźniej panowie chcieli pozostać tylko we własnym towarzystwie.

Zmierzchało się już i straciliśmy niemal całą nadzieję, gdy nieopodal pojawiła się mała, terkocząca motorówka. Na jej pokładzie stał jakiś major, który machnięciem ręki wezwał mnie do siebie. Zażenowany, zapytał mnie cicho, czy dam sobie na Bałtyku radę z motorówką. Nie miałem najmniejszego pojęcia o żeglowaniu na pełnym morzu, ponieważ byłem klasycznym obywatelem wnętrza lądu. Ale tego nie wolno mi było powiedzieć człowiekowi, którego niebiosa zesłały mi w ostatnim momencie. Zebrałem się więc na całą odwagę, na jaką było mnie stać, i zacząłem beczelnie kłamać mu w żywe oczy:

— Tak jest, panie majorze. Dam sobie z tym radę! — I dla podkreślenia mojego oświadczenia pokazałem mu umocowany na nadgarstku rosyjski kompas marszowy, wyglądający bardzo po żeglarsku.

Zanim ten dobry człowiek zorientował się, co się święci, moich czterech radiotelegrafistów znalazło się już na pokładzie motorówki i zniknęło z zasięgu jego wzroku. Cała nasza piątka błyskawicznie zrozumiała, że była to ostatnia pomocna dłoń, jaką wyciągnął do nas los, a my musieliśmy ją szybko schwytać i mocno trzymać, aby się nam już nie wyśliznęła.

Była już godzina 21.45, kiedy opuściliśmy ujście Wisły, płynąc w kierunku Helu. Zaczynało się robić całkiem ciemno. Na niebie pojawiły się pierwsze „nocne sowy”, zrzucające oświetlające rakiety ze spadochronami, a niekiedy również i bomby.

Nasza motorówka, o nazwie „Zander”, miała właściwie miejsce tylko dla pięciu pasażerów. Aktualnie na jej pokładzie znajdowało się piętnaście osób i łódź była bardzo przeciążona. Ale komu to teraz przeszkadzało?! Najważniejsze, że płynęliśmy. Morze było lekko wzburzone. Nasz mały, mniej więcej sześciometrowy stateczek skakał z jednej fali na drugą niczym rozbrykany żreback. Pojawili się już pierwsi cierpiący na chorobę morską.

Leżąca za nami Mierzeja coraz bardziej się zmniejszała. Na ciemniejącym horyzoncie widniały jeszcze korony sosen. Niczym szeroko rozwarta paszcza olbrzymiego krokodyla piaszczyste ławice ujścia Wisły sięgały w głąb Bałtyku. Nie mogłem się pozbyć pełnego lęku uczucia, że ten gad kłapnie swą paszczą, zanim uda się nam ujść z jej zasięgu.

Z oddali widzieliśmy rozbłyśki eksplozji granatów i bomb — pojedyncze nad brzegami Wisły i zdecydowanie częstsze przed nami, na Półwyspie Helskim. Reflektory lotnicze wskazywały drogę „maszynom do szycia”: było to inne określenia na „nocne sowy”. Ponad wodą wisały opadające wolno spadochrony z rozświetlającymi okolicę rakietami.

Około godziny 23.10 weszliśmy kilkakrotnie na mieliznę; przed nami ciągnął się wąski, niemal nierozpoznawalny pas lądu. Bardziej czuliśmy jego obecność, aniżeli mogliśmy go zobaczyć. To musiała być Mierzeja Pucka^[14]. Właściwie to do tego miejsca chcieliśmy się dostać, ale wokół panowała tak wielka, dziwna i mało zachęcająca cisza, że postanowiliśmy opłynąć Hel szerokim lukiem, aby obwąchać sytuację z drugiej strony. Płynęliśmy więc dalej i dalej.

A potem nadszedł nowy dzień. Był 9 maja, godzina 01.30. Za nami leżał Hel, za nami znajdowało się zawieszenie broni i kapitulacja. Przed nami rozpościerało się szeroko Morze Bałtyckie. Przed nami też znajdowała się nieznana przyszłość, pełna być może niebezpieczeństw, ale również i nadziei. Nasza łódź była mała i z pewnością nie zbudowano jej z myślą o rejsach na otwartym morzu. A mimo to postanowiliśmy zaryzykować, była to bowiem nasza jedyna szansa, by ujść niewoli sowieckiej. Może niebiosą będą nam przychylnie.

Dlatego zadecydowaliśmy zgodnie: Uciekamy przez Bałtyk.

12 UCIECZKA PRZEZ BAŁTYK

Dla większości z nas, szczurów lądowych, to przedsięwzięcie było pierwszą większą podróżą morską. Nie mieliśmy jednak wyjścia — musieliśmy się na nią odważyć. Popłynęliśmy więc kursem północno-zachodnim, głównie na wycucie i trochę według mojego kompasu marszowego, któremu ze względu na dużą ilość żelaza na pokładzie nie należało zbyt dowierzać. Mapy, oczywiście, nie mieliśmy żadnej... bo i skąd?

Najpierw chcieliśmy się dostać na duńską wyspę Bornholm, a potem być może nawet do Kilonii, jeśli damy sobie radę z łodzią. Nikt z załogi naszej motorówki nie miał nigdy nic wspólnego z wodą, o łodziach nie wspominając, nikt też jednak nie wnosił żadnych zastrzeżeń wobec tej awanturniczej podróży, która mogła się dla nas skończyć śmiercią.

O godzinie 04.00 wzięliśmy kurs na zachód. Zaczęło świtać. Morze było gładkie jak lustro. Z oddali zaczęła się do nas zbliżać jakaś motorówka. Kilku z nas miało wątpliwości, jak się zachować w tej sytuacji, ale po chwili zobaczyliśmy na pokładzie tamtej łodzi niemieckich żołnierzy. Nasza radość opadła nieco, gdy okazało się, że była to łódź, która wczoraj nie chciała nas przyjąć na pokład. Tolerowaliśmy jednak jej obecność, nawet jeśli w głębi serca nie mieliśmy na to ochoty, powodowani czystym instynktem samozachowawczym. W sytuacji krytycznej jeden z nas mógł być skazany na pomoc drugiego.

O godzinie 05.30 zaobserwowaliśmy kolejną łódź, dryfującą po morzu. Jej załoga machaniem rąk przywołała nas: Nie mogliśmy uwieść własnym oczom — na jej pokładzie byli pułkownik Hoffmann, dowódca naszej 4. Dywizji Pancерnej, i kapitan Illigner, dowódca 79. batalionu rozpoznawczego. Poza tym w łodzi był jeszcze jakiś porucznik marynarki i młodzieutki marynarz.

Motorówka miała uszkodzony silnik. W tej sytuacji rozwiązaliśmy na razie problem z nawigacją, jako że wśród nas byli już teraz ludzie morza.

Czterech rozbitków z łodzi z uszkodzonym silnikiem przeszło na „Seadlera” — tak się nazywała łódź nieprzyjanych panów, którzy wczoraj odmówili nam w szorstki sposób, a dzisiaj tak nam się narzucali. Przy okazji potwierdziły się nasze przypuszczenia, że na ich motorówce było miejsca pod dostatkiem.

Około godziny 10.00 zaobserwowaliśmy za nami wiele słupów dymu, a potem zobaczyliśmy wielki konwój idący majestatycznie kursem na zachód. Byliśmy przekonani, że były to ostatnie transportowce płynące z Kurlandii albo Helu. Postanowiliśmy do nich dołączyć.

Nagle, około godziny 10.30, „Seeadler“ doznał uszkodzenia sprzęgła w silniku, co zmusiło nas do zatrzymania się. Okazało się po chwili, że pękł wał. Wzięliśmy więc wielką motorówkę na hol, chcąc przekazać jej pasażerów na jeden ze statków w konwoju. „Zander” płynął teraz z prędkością „pół naprzód”, a my wyliczyliśmy, że przy tej szybkości miną trzy dni, zanim dotrzemy do Kilonii, zakładając, że wszystko pójdzie dobrze. Sześćdziesięciopięciokonny silnik pracował ciężko, ale dzielnie. Posuwaliśmy się naprzód w odległości około kilometra na południe od konwoju, starając się nie utracić z nim kontaktu.

Około godziny 13.00 nagle nad Bałtykiem pojawiły się szare chmury. Zbliżał się silny sztorm. „Zander” kołysał się jak oszalały, a „Seeadler” miotał się na końcu liny holowniczej. Szybko nauczyliśmy się manewrować i zygzakować. Niestety, kurs musiał się z tego powodu zmienić na trochę bardziej północno-zachodni, gdyż, jak się szybko zorientowaliśmy, przy coraz silniejszych falach przecinaliśmy je pod kątem prostym.

Konwój minął nas, nie udało się nam bowiem dotrzymać mu kroku. A tak chętnie przekazalibyśmy ludzi z „Seeadlera” na jakiś duży statek; moglibyśmy także bez kłopotów popłynąć z konwojem na zachód.

Jak się okazało, mieliśmy cholerne szczęście, że nie zdołaliśmy dotrzymać konwojowi kroku, nie były to bowiem niemieckie statki z Kurlandii, ale sowiecka flota bałtycka, tak zwana Baltische Rotbannerflotte^[15], która płynęła z Leningradu na zachód, aby zająć niemieckie porty bałtyckie. Człowiek musi mieć szczęście — przede wszystkim w nieszczęściu! Ale dowiedzieliśmy się o tym dopiero znacznie później.

Sztorm skręcał coraz bardziej. Około godziny 18.00 musieliśmy już iść kursem na północ, aby się nie przewrócić. Było jeszcze wcześniej, a mimo to zaczęło się już ściemniać. Strzępy szarych chmur wisiały tak nisko, że niemal dotykały grzebieni fał. Ta sytuacja zaczynała powoli przejmować nas grozą; czekała nas straszna noc. Metrowe fale rzucały „Zanderem” jak zabawką, a my nie mieliśmy żadnego doświadczenia, żeby temu zapobiec. Łodzią sterował dzielny pancerniak, który co prawda był niesłychanie odważny, ale po prostu nie znał się na morzu. Nie da się zaprzeczyć, że przez całe życie jeszcze nie widział żadnej motorówki od wewnątrz. Oczekiwaliśmy, że lada minuta nasza skorupa orzecha wywróci się do góry dnem, a dmuchana tratwa ratunkowa, nasza ostatnia szansa ratunku, już dawno się zerwała.

„Seeadler” wisiał za naszymi plecami niczym ołowiany kłoc; przy każdej większej fali rzucało nim do tyłu tak, że „Zander” dygotał cały, aż po ostatnią śrubkę. Nie mieliśmy też żadnego kontaktu wzrokowego ze statkiem płynącym za nami, jako że noc była czarna jak smoła. W najbardziej krytycznej chwili, tylko przez czysty przypadek, odkryliśmy, iż nasz dzielny stateczek ma wbudowany reflektor. Trochę światła w tej ciemności uspokoiło odrobinę nasze skołatane nerwy. Oczywiście, przy tak wzburzonym morzu reflektor nie był w stanie dokładnie oświetlić okolicy.

„Zander” stał już niemal w miejscu, a noc zdawała się nie mieć końca. Od czasu

do czasu, dodając nam odwagi, zza rozrywanych sztormem chmur wyglądała na krótką chwilę jakaś gwiazda. Wyczulone do granic zmysły rejestrowały każdy drobiazg. Od początku naszego rejsu, od ujścia Wisły, stałem bez przerwy obok naszego „sternika”, pomagając mu, jak mogłem, określając kurs za pomocą kompasu przymocowanego do mojego przegubu czy też według kierunku fal.

Nowy dzień, 10 maja, zaczął się dla nas o godzinie 05.30. Sztorm nadal nie chciał się uspokoić. Wraz ze sternikiem ciągle byliśmy na nogach — wszyscy pozostali gdzieś się pochowali. Na nasze szczęście.

Może byłem zbyt lekkomyślny, kiedy na początku rejsu przyrzekłem pomóc w przeprowadzeniu naszej łodzi przez Bałtyk? Zacząłem czynić sobie wyrzuty. Od wielu już godzin wszyscy na pokładzie cierpieli na chorobę morską, niemal wypływając duszę z ciała; teraz leżeli wokół na pół przytomni. Sztorm skręcał coraz bardziej w kierunku przeciwnym do tego, jaki byśmy sobie życzyli. Zmusił nas już do zmiany kursu na północno-wschodni. Z holowanym ciężarem baliśmy się zaryzykować pójście innym kursem, czy wręcz wykonać jakikolwiek manewr. Ale tym kursem w życiu nie dopłyniemy do Bornholmu, nie mówiąc już o Kilonii.

Jak się później okazało, mieliśmy nieprawdopodobnie szczęście, nie trafiając na tę duńską wyspę na Morzu Bałtyckim, ponieważ od godziny 14.30 dnia 9 maja przejęli ją w swoje posiadanie Sowieci. Opuścili ją dopiero rok później. Wszyscy niemieccy żołnierze i uciekinierzy, którzy na niej wylądowali, zostali przewiezieni do obozów jenieckich na wschodzie.

O godzinie 08.00 sztorm stał się jeszcze bardziej podstępny. Z holu zerwał się „Seeadler”, wrywając przy tym całą deskę z naszego pokładu. Woda zaczęła się wlewać do kabiny załogi. Przy koszmarnie wzburzonym morzu usiłowaliśmy załatać dziurę. W tym celu jednak musieliśmy zatrzymać łódź. Ta naprawa trwała całe godziny; zaczęliśmy już pluć żółcią, ale nasza nieposkromiona wola życia nie pozwoliła nam utonąć w samotności podczas rozszalałego sztormu.

W końcu udało nam się załatać dziurę, a także ponownie umocować linę „Seeadlera” do drugiego haka holowniczego. Powoli ruszyliśmy w dalszą drogę, jednakże kurs, jakim płynęliśmy, stopniowo napełniał nas coraz większą obawą. Zaczęliśmy gorączkowo liczyć — kiedy zaczął się ten głupi sztorm, musieliśmy być na wysokości Słupska. Nie pozostało więc nam nic innego, jak tylko przepłynąć Bałtyk w poprzek, jeśli chcemy kiedyś stanąć na stałym lądzie. A potem będziemy mogli spróbować pójść kursem zachodnim, mając w zasięgu wzroku szwedzki brzeg, w kierunku wschodniego wybrzeża duńskiego. Stamtąd nie powinno być już trudno dotrzeć do Niemiec. Na razie jednak należało zmykać przed Sowietami!

Według mojej oceny „Zander” pokonywał na godzinę niewiele więcej niż pięć kilometrów. Może to i lepiej, bo w ten sposób nie oddalaliśmy się zbyt szybko na wschód, poza tym ten piekielny sztorm musi się przecież skończyć. Ale kiedy to będzie i na jakim brzegu wylądujemy?

Nasz sternik był już niemal nieprzytomny ze zmęczenia, zasypiając co chwila na stojąco. Nie chcieliśmy jednak — a właściwie to nawet nie mogliśmy w tej

sytuacji — go zmieniać. I tak minął drugi dzień, jaki spędziliśmy na tej bezbrzeżnej wodnej pustyni. Nie udało nam się zaobserwować żadnego statku. I gdzie właściwie byliśmy? Ta przepelniona gotującą się wodą, otaczająca nas samotność była po prostu obrzydliwa.

O godzinie 19.15 wplynęliśmy znowu w czarną jak smoła noc. Co prawda, niebo było już mniej zachmurzone, ale sztorm szalał dalej z taką samą gwałtownością. Wszystko przebiegało tak samo, jak minionej nocy, tylko my byliśmy już bardziej martwi niż żywi. Żaden z nas nie mógł przełknąć choćby kęsa, mimo że na pokładzie było wystarczająco dużo prowiantu. Silnik naszej łodzi zużywał dużo paliwa i spore początkowo zapasy niebawem się skończą. Co wtedy? Godziny upływały wolno... zbyt wolno.

O godzinie 08.00 „Seadler” znowu zerwał się z holu... po raz kolejny wyrwijąc deskę z pokładu „Zandera”. Do wnętrza naszego stateczku zaczęła się wlewać przez rufę woda. A sztorm, przybliżając nas do granicy obłędu, szalał dalej, choć dla dużego statku mógł on być tylko silnym wiatrem. Ale fale osiągały i tak wysokość co najmniej kilku metrów.

Nie mieliśmy już żadnej możliwości dalszego holowania „Seadlera”, bo rozleciał się ostatni hak. Próbowaliśmy wszystkiego, aby pomóc zrozpaczonym kolegom na tamtej łodzi. Straciliśmy dwie godziny tylko na to, aby podejść do niezdołnego do samodzielnego poruszania się stateczku, który raz siedział niczym kaczka na szczycie fali, by po chwili zniknąć znowu w gotującej się, szklisto-zielonkawej wodzie. I za moment, niczym korek, ich łódź wyskakiwała w górę. Chwilami śruba naszego „Zandera” wisiała w powietrzu, a silnik zaczynał wyć jak oszalały.

I nagle, z gwałtownym szarpnięciem, silnik się zatrzymał. W naszą śrubę zaplątała się stalowa lina holownicza. Czyżby to był koniec? Teraz obie motorówki, pozbawione napędu, znalazły się na lasce i niełasce szalejącego morza. Nasze perspektywy stopniowo stawały się coraz czarniejsze. Większość ludzi na pokładzie dawno już straciła wszelkie nadzieje i się poddała. Ale mu jeszcze nie zrezygnowaliśmy, walcząc zaciekle z rozsalałym żywiołem. Jeden ze starszych wiekiem kaprali kazał się obwiązać liną, by mimo sztormu i wysokiej fali spróbować wyrwać stalową linę z wygiętej śruby. Wszyscy rzucili się na pomoc, aby sztorm nie rzucił nas na tańczącego obok na falach „Seadlera”. I wbrew złowrogim przewidywaniom kapralowi rzeczywiście udało się uwolnić śrubę od stalowej liny.

Wstrzymaliśmy oddech, w napięciu wsłuchując się w huk szalejącego sztormu, w nadziei że wydarzy się cud. I cud, jak nam się wydawało, stał się rzeczywistością. Silnik naszej łodzi zaskoczył, śruba zaczęła się kręcić jak dawniej, a motorówka mszyła z miejsca i zaczęła reagować na ster.

Ale w tym czasie „Seadler” zdryfował już zbyt daleko od nas. Stało się dla nas jasne, że nie jesteśmy w stanie już im pomóc. W porównaniu do naszego „Zandera” ich łódź była duża, zdolną do pływania po morzu motorową jednostką, na której wygodnie znaleźć mogło miejsce dwudziestu pięciu do trzydziestu pasażerów.

„Seeadler“ odpłynął z Mierzei z trzema ludźmi na pokładzie, zostawiając nas na brzegu, niczym głupców. A my, jak szaleńcy, holowaliśmy tych drani przez dwa dni i dwie noce po szalejącym Morzu Bałtyckim. Przy tym nasza łódź była wypełniona po burty: ludzie leżeli i siedzieli sobie wprost na głowach. Przez krótką chwilę usprawiedliwiona uraza i gniew kazały nam się zastanowić, czy nie powinniśmy zostawić „Seeadlera“ jego losowi. Przecież ten sztorm nie może trwać wiecznie i w końcu jakiś statek pojawi się w pobliżu. Nie mogliśmy być przecież daleko od szwedzkiego wybrzeża.

Ale wśród ludzi na pokładzie „Seeadlera” znajdowali się: nasz pułkownik Hoffmann i kapitan Illigner, i jeszcze tych dwóch marynarzy, którzy przecież nie mogą odpowiadać za to, że tamci są takimi egoistami.

Dlatego wszyscy na naszym pokładzie zaczęli spontanicznie wyrzucać za burtę do morza swoje plecaki, worki z bielizną i inne rzeczy, aby tylko ulżyć „Zanderowi”. Wszystkie elementy, jakie nie były potrzebne do żeglugi, zostały przez nas wyrwane i oddane morzu, aby stworzyć miejsce dla dodatkowych siedmiu rozbitków. W falach zniknęło też na zawsze sporo pamiątek, które przebyły z nami ofensywę, a potem i odwrót z Rosji. Zachowaliśmy tylko rzeczy najniezbędniejsze w ucieczce.

A potem nadeszła najbardziej ryzykowna część przedsięwzięcia, mianowicie podejście jak najbliżej „Seeadlera”. Pozbawiony obciążenia jakim był holowany statek, „Zander” cudownie lekko reagował na polecenia steru. Minęło jednak sporo czasu, zanim tych siedmiu mężczyzn, wykorzystując nadmuchiwana tratwę ratunkową z „Seeadlera”, znalazło się na „Zanderze”.

A potem ściągaliśmy tak ważne dla nas paliwo i wodę pitną. Pomagali wszyscy, zapominając o chorobie morskiej. To było trudne zadanie — przy takim stanie morza, stojąc w miejscu, utrzymać łódź na powierzchni i na dodatek na odpowiednim dystansie od drugiej jednostki. Żaden z nas nie miał doświadczenia w wykonywaniu tego rodzaju manewrów, mimo że w trakcie ostatnich dni wiele się nauczyliśmy. Wielokrotnie „Zander” omal nie wywrócił się do góry dnem albo nie rozbił o „Seeadlera”. W każdym razie minęło kilka godzin, zanim w końcu nasz stateczek stał się cięższy o kolejnych siedmiu pasażerów.

Dobrze odżywiony płatnik sztabowy, należący do „stałej załogi” „Seeadlera”, a więc jeden z tych antykolegów z Mierzei, zabrał ze sobą dwa olbrzymie, do pełna wypchane plecaki, mimo że musiał przecież widzieć, jak na jego oczami wyrzucaliśmy nasze bagaże, wszystko, co mieliśmy, do Bałtyku, aby zrobić miejsce między innymi dla niego. A potem ten facet wypakował z plecaków smakołyki, których my, zwyczajni frontowcy, nie widzieliśmy przez cały czas wojny. I ten podły typ zaczął żreć ze smakiem te smakołyki na naszych oczach, sam, nikomu nie proponując ani kawałka. Na dodatek niesłychany brak wychowania, trudny do porównania z czymkolwiek egoizm, uznawał za coś całkowicie oczywistego. Kto ma, ten ma! Niech żyje poczucie koleżeństwa, którego on najwyraźniej wcale nie miał.

Nie wygraliśmy też losu na loterii, jeśli idzie o dwóch marynarzy z „Seeadlera”.

Porucznik marynarki w paradnym mundurze, który zgodnie z swymi pełnymi przesady opowieściami pływał na Bałtyku od dziesięciu lat, najpierw zwymiotował na koło sterowe i tablicę z instrumentami pokładowymi, a potem zaczął przeklinać na cały głos głupi statek. Następnie upił się kompletnie i przestał się nadawać do czegokolwiek.

Byliśmy szczęśliwi, kiedy przekazał ster drugiemu z „marynarzy”, 17-letniemu chłopcu okrętowemu bez jakichkolwiek umiejętności nawigacyjnych, a potem poszedł odespać to całkowite zamroczenie. A więc „szczury lądowe” znowu zostały w swoim towarzystwie. Trzeba jednak nadmienić, że wspomniany chłopiec okrętowy, wbrew pozorom, sprawował się nad wyraz dobrze aż do samego końca. Od tej pory stałem przy sterze sam, zmieniany tylko od czasu do czasu przez pułkownika Hoffmanna.

Była punktualnie godzina 13.30 letniego czasu niemieckiego, gdy na horyzoncie pojawił się w polu widzenia ląd. Wszyscy zaczęli się cisnąć do małego luku, by zobaczyć wąski, szary pasek, oznaczający dla nas życie. Życie po dwóch strasznych nocach i trzech koszmarnych dniach spędzonych na gotującym się morzu. W pierwszym momencie było nam wszystko jedno, co to za ląd. Ląd, po prostu ląd, twarda ziemia pod stopami, i to było najważniejszej w tamtej chwili.

A potem zauważyliśmy wąski, ciemny pasek na horyzoncie, rozciągający się po naszej lewej i prawej ręce. W głębi duszy mieliśmy cichą nadzieję, że jest to wybrzeże szwedzkie i bardzo się baliśmy, że może to być Kurlandia.

W oddali pojawiła się latarnia morska. Zaczęliśmy się zastanawiać, przywołując na pomoc całą naszą wiedzę szkolną, i w końcu doszliśmy do wniosku, że jesteśmy między wyspą Olandią a wschodnim wybrzeżem szwedzkim, co potem okazało się zgodne z prawdą. Z tego powodu zaczęliśmy sterować na lewo od latarni, patrząc od naszej strony, idąc dokładnie kursem północnym. W pobliżu lądu morze było spokojniejsze, a może nie zwracaliśmy już tak na to uwagi. Jedyne, co się liczyło, to ląd; tylko on zajmował teraz nasze myśli.

Niebawem zauważyliśmy dużą pławę. Opłynęliśmy ją trzykrotnie, ale nie było na niej żadnego napisu, żadnego punktu odniesienia, który mógłby nam powiedzieć, do jakiego kraju się zbliżamy. Stąd płynęliśmy bardzo wolno, zbliżając się ostrożnie do latarni morskiej. Wszędzie wokół nas tuż pod wodą znajdowały się gładko oszlifowane złomy skalne. Z ich powodu musieliśmy teraz piekielnie uważać. Zbliżyliśmy się do latarni morskiej wzdłuż brzegu; na jej galerijce stał mężczyzna ubrany w marynarski mundur ze srebrnymi galonami. Widok człowieka stojącego na twardej ziemi dobrze nam zrobił. Latarnik wykonał gest, którego znaczenia nie zrozumieliśmy. Nie zrozumieliśmy również języka, w jakim się do nas odezwał, gdy już się do niego zbliżyliśmy. Z dużą jednak ulgą przyjęliśmy do wiadomości, że nie był to język rosyjski. Nasz oddech ulgi słychać było nawet bardzo wyraźnie.

A potem od strony lądu, z zatoki za latarnią, wypłynęła i zaczęła się do nas szybko zbliżać motorówka. Siedzieli w niej mężczyźni w niebieskich mundurach, Oni też nie wyglądali na Rosjan; wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi byli to

szwedzcy policjanci. Spróbowaliśmy się z nimi porozumieć, ale nie bardzo nam to wychodziło. Zdołaliśmy się tylko dowiedzieć, że leżące przed nami w zatoce miasto nazywało się Kalmar.

Czterech panów w policyjnej motorówce nie sprawiało wrażenia zbyt przyjaznych i chcieli nas skierować do portu. Przede wszystkim dwóch starszych miało bardzo oficjalny, służbowy wyraz twarzy, który nam się wcale nie spodobał. Raczej nie mogliśmy oczekiwać od nich pomocy czy zrozumienia. Zastanawialiśmy się głęboko, jaką podjąć decyzję, tym bardziej że jeden z młodszych policjantów, siedzący na rufie ich łodzi, dawał nam ukradkiem znaki, abyśmy płynęli dalej.

Pierwsza radość z powodu dotarcia do lądu już minęła. Na jego widok napłynęły jednak nowe siły i nadzieja oraz odwaga, by jasno zobaczyć sytuację.

Przed nami leżało pokojowe państwo... ale nie były to Niemcy. Byliśmy tu jeszcze bardziej oddaleni od naszej ojczyzny, aniżeli w chwili wypłynięcia znad Mierzei Wiślanej. W Szwecji groziło nam prawdopodobnie internowanie, gdyż młody policjant za plecami swoich starszych kolegów pokazał nam skrzyżowane w przegubach ręce. Z pewnością odbiorą nam łódź, a tym samym i możliwość ucieczki. Być może, na koniec nawet zostaniemy wydani w ręce Sowietów. Na myśl o tym zrobiło nam się niedobrze, gdyż oznaczało to tylko jedno: znowu musimy wyjść na otwarte morze. Co jednak z drugiej strony przybliży nas do ojczyzny.

Po raz pierwszy od chwili wypłynięcia zdania wśród nas były podzielone. W tym momencie młody Szwed dał nam jeszcze raz znak ręką, w sposób wyraźny i absolutnie jednoznaczny. Przerzuciliśmy ostro ster, dając silnik na najwyższe obroty i odpłynęliśmy na pełne morze. Szwedzka łódź zawahała się, a potem jednak zrezygnowała z pościgu za nami.

Jak się później okazało, postąpiliśmy słusznie, idąc za milczącą radą młodego policjanta, gdyż wszyscy ci, którzy wylądowali w Szwecji albo dostali się do tego kraju w inny sposób, zostali bez wyjątku zamknięci w obozach internowania i pod koniec 1945 roku przekazani w niewolę sowiecką.

Płynęliśmy dalej, starając się mieć ląd stale w polu widzenia, jako że jego widok dobrze nam robił. W jakiś sposób czuliśmy się wtedy bardziej pewni. Sztorm stopniowo się uspokajał. My zaś nie żałowaliśmy podjętej decyzji.

W naszym kierunku wychodziły daleko w morze porośnięte lasem cyple, zza których uśmiechały się do nas jodłowe lasy i łąki pokryte głęboką zielenią. Ogarnęła mnie wręcz nieprzeparta ochota, by dobić do jednej z tych samotnych wysp i przejść się po stałym lądzie, i wreszcie porządnie rozprostować nogi. Taka myśl przyszła do głowy również towarzyszącemu mi od chwili przesiadki z „Seadlera” pułkownikowi Hoffmannowi. Nie udało nam się jednak znaleźć odpowiedniego miejsca. Ląd i woda wokół nas były jak wymarłe, jak okiem sięgnąć nie widzieliśmy ani jednego człowieka, zwierzęcia czy statku. Wiatr nadal się zmniejszał. Z pokładu łodzi można było teraz zobaczyć dno płytkiej wody, z którego, niczym rzucone ręką olbrzymia, ciągle wystawały tuż pod powierzchnię

wygładzone falami złomy skalne.

Płynęliśmy raz na południe, raz na południowy wschód, a w pewnym momencie nawet na południowy zachód. To był najbardziej odpowiedni dla nas kurs, wywołujący mocniejsze bicie naszych serc. Jeden z pasażerów „Seedlera” miał ze sobą mapę Europy, kartę ze szkolnego atlasu. Co prawda, całe Morze Bałtyckie nie było na niej większe od dziecinnej piąstki, ale ta mapa była nam bardzo pomocna, bo jak mówi ludowe przysłowie: „Dobra psu mucha, gdy sama wpadnie mu do brzucha”.

Tymczasem zapadł już wieczór. Fale stopniowo się uspokoiły. Znowu szliśmy kursem południowo-zachodnim. Wszyscy mieliśmy dobry nastrój, każdy był pełen nowych nadziei. W tej sytuacji pułkownik kazał mi się wyspać, ale ze snu nic nie wyszło, ponieważ byłem zbyt podminowany wewnętrznie.

Północ. Zaczynał się nowy dzień, 12 maja. Morze już się zdecydowanie uspokoiło. Znajdowaliśmy się chyba na wysokości Karlskrony. Gdzieś, bardzo daleko na horyzoncie, widać było promień światła z latarni morskiej, omiatający bezgłośnie okolice. Mój kompas wskazywał, że płyniemy kursem zachodnim.

Około 04.00 zaczęło się powoli rozjaśniać. Nasze zegarki pokazywały jeszcze całkiem inny czas, gdyż były nastawione na niemiecki czas letni. Na naszych oczach rozgrywał się wspaniały spektakl natury: morze było gładkie jak lustro, a z przejrzystych oparów mgły wynurzał się na północy ląd szwedzki. W nocy minęliśmy w linii prostej zatokę, w której leżało miasto Ystad. Białe ściany domów, wiszące na zboczach niczym jaskółcze gniazda, musiały należeć już Trelleborga. Ponad nami rozpościerało się jasnoblękitne niebo. Zaczynał się prawdziwy, spokojny dzień majowy, taki, o jakim marzyłem od lat.

Około godziny 08.00 jakaś łódź z uporem usiłowała nawiązać z nami kontakt. Mężczyzna na jej pokładzie dawał nam ciągle znaki ręką, machając flagami sygnałowymi, a potem migając lampą. Nadawał sygnały, których nie rozumieliśmy i nie znaliśmy. Najpierw sądziliśmy, że to sowiecka łódź chce nas wywabić ze strefy trzech mil. Bardzo ostrożnie zaczęliśmy zbliżać się do niego. Ludzie na obcej łodzi pozostawali jednak do nas nadal pokojowo nastawieni. Z tego powodu znowu zbliżyliśmy się do nich ostrożnie, chociaż tamci nadal utrzymywali do nas dystans, ale teraz sprawiali już wrażenie dość zaniepokojonych.

A potem usłyszeliśmy od nich coś, czego zupełnie nie oczekiwaliśmy: okazało się mianowicie, że pas wody wzdłuż wybrzeża szwedzkiego był zaminowany. A my, nie mając o tym najmniejszego pojęcia, od wielu godzin płynęliśmy przez to pole minowe. Nie wiem do dzisiaj, czy mieliśmy tak nieprawdopodobne szczęście, czy też nasz „Zander” miał zbyt małe zanurzenie, aby trafić w jedno z tych diabelskich urządzeń, które wysłałoby nas natychmiast do nieba. Około godziny 09.00 opuściliśmy szwedzkie wody terytorialne, przeszliśmy przez Sund i zgodnie z naszą mapą Europy zaczęliśmy sterować w kierunku duńskiej wyspy Møn.

O godzinie 18.00 pojawiły się przed nami wysokie, białe kredowe skały. Przerażeni patrzyliśmy w stronę brzegu. To mogłaby być tylko Rugia...

Przynajmniej taką pamiętaliśmy ją z widokówek. Popłynęliśmy kawałek wzdłuż wybrzeża, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia, gdyż w żadnym wypadku nie chcieliśmy się dostać na Rugię. Płatnik sztabowy przysięgał po stokroć, że łąd przed nami to wyspa Rugia. Twierdził, że zna to wybrzeże doskonale, jako że był na Rugii w podróży poślubnej.

Po wszystkich trudach, szczęśliwej podróży omijającej wiele niebezpieczeństw, nie chcieliśmy się teraz znaleźć w niewoli sowieckiej — mogliśmy się do niej o wiele łatwiej dostać na Mierzei. Nie mogliśmy też zbyt nadkładać drogi ze względu na niewielki już zapas paliwa. Jednak zgodnie z naszą mapą, po dłuższym zastanowieniu, doszliśmy do wniosku, że to musi być duńska wyspa Møn. Dlaczego Møn nie miałyby mieć kredowych skał na wybrzeżu? Z kolei inni z nas twierdzili, że kredowe klify na Rugii są jedyne w swoim rodzaju.

Co więc robić? Gdyby to była Møn, to należało teraz przepłynąć obok niej od strony południowej. Jeśli z kolei była to Rugia, to najwyższy czas, abyśmy zniknęły na północnym zachodzie, zanim nas odkryją i schwytają Sowietci.

Zaobserwowaliśmy kilka samolotów lądujących na wyspie i ten widok zupełnie nam się nie spodobał. Dlatego na wszelki wypadek pospiesznie popłynęliśmy w kierunku północno-zachodnim, ponieważ nasz porucznik marynarki, który tymczasem odespał już swoje pijaństwo i wyzdrowiał z choroby morskiej, też nie miał na ten temat nic do powiedzenia.

Teraz wszędzie pojawiały się w naszej okolicy wyspy i grupy wysepek. Wokół pływały różne pławy, a na wzniesieniach stały latarnie morskie. Niebawem mieliśmy już pewność, że całkowicie zabłądziliśmy.

I wtedy zobaczyliśmy przed nami kuter rybacki. Zaczęliśmy do niego machać, ale mężczyzna na jego pokładzie zdawał się nas w ogóle nie zauważać. Zmienił kurs, dając nam w ten sposób do zrozumienia, że nie chce mieć z nami nic wspólnego. Byliśmy w końcu ubrani w czarne mundury i mógł nas uważać, za Bóg wie kogo. Zaobserwowaliśmy natomiast, że kuter płynął pod banderą duńską, a więc nie stanowił dla nas żadnego niebezpieczeństwa.

Kończyło się nam paliwo, także i zapasy, jakie przejęliśmy z „Seadlera”. Nie mogliśmy sobie już pozwolić na dalsze błądzenie. Musieliśmy więc dowiedzieć się koniecznie, gdzie się znajdujemy. Dlatego popłynęliśmy za samotnym kutrem rybackim, dobiliśmy do jego burty i przeskoczyliśmy na pokład. Rybak był sam na kutrze; rozgniewany udawał głupiego, nie rozumiejącego naszych pytań. Dopiero po długim proszeniu i wielu papierosach powiedział nam, że jesteśmy u wejścia do portu w Kopenhadze.

A więc ta wyspa z kredowymi klifami to była jednak Møn! Mądry płatnik sztabowy szybko zniknął z pola widzenia, natomiast porucznik marynarki znowu miał tępe spojrzenie pijaka. My zaś popłynęliśmy na przedostatniej kropli paliwa drogą, którą dopiero co przebyliśmy. Powoli wracało poczucie bezpieczeństwa.

Gdy zapadł zmierzch, zatrzymaliśmy silnik, gdyż według mojego rozeznania groziło nam teraz tylko jedno niebezpieczeństwo, mianowicie że tuz przed celem skończy się paliwo. Dlatego chcieliśmy go używać w sposób absolutnie celowy i

oszczędny. Wszyscy na pokładzie zasnęli snem sprawiedliwych. Fale cicho pluskały o burty, a przez błady welon mgły przeświecało upiorne światło księżycy. Na łodzi panowała grobowa cisza.

Obudził mnie warkot uruchamianego silnika. Była już godzina 3.30, 13 maja. Obok sternika stał pułkownik Hoffmann. Ruszyliśmy z miejsca, wracając wczorajszą drogą.

O godzinie 06.00 pojawiły się, znane nam już do znudzenia, kredowe skały. Opłynęliśmy wyspę Møn od południa, mając nadzieję, że nie spotkamy ponownie tego wspaniałego, skądinąd urlopowego krajobrazu. O godzinie 09.00 na horyzoncie ukazała się wyspa Falster. Teraz zmieniliśmy kurs na południowy. Niemieckie miasta Warnemünde i Rostock musiały leżeć przed dziobem, ukryte w szarej mgle. Ale tam powinni już być Sowietci! Dlatego naszym naczelnym hasłem było ciągle jeszcze: „Uważać!”.

O godzinie 12.00 minęliśmy południowy cypel wyspy Falster. Otaczało nas spokojne morze, świeciło wspaniałe słońce, a w duszy obudziła się nadzieja. Szliśmy dalej kursem zachodnim wzdłuż południowego wybrzeża wyspy Lolland.

Około godziny 15.00 opuściliśmy wody duńskie i skręciliśmy na południowy zachód w kierunku niemieckiej wyspy Fehmarn. A potem spotkaliśmy niemiecki żaglowiec płynący pod białą flagą. Od jego załogi dowiedzieliśmy się wielu interesujących rzeczy o aktualnej sytuacji w zajętych Niemczech.

Nieco później przeszliśmy na pokład okrętu niemieckiej straży przybrzeżnej, który opuszczony przez załogę kołysał się bezpiecznie na falach. Znaleźliśmy na nim makaron i konserwy rybne. Ugotowaliśmy sobie na obcym okręcie, na znalezionym tam kocherze spirytusowym, wspaniale smakujący, gorący posiłek. Wszyscy byli w jak najlepszym nastroju.

Od Niemiec dzieliło nas już niewiele kilometrów. Niosła nas tylko jedna, jedyna myśl: ponowne spotkanie z ojczyzną. Niektórzy z naszej grupy nie byli w domu od dwóch lat.

Nadciągała kolejna burza. Morze stawało się coraz bardziej niespokojne. Ale jakie to miało teraz znaczenie? Z wypełnionymi radością sercami, po sześciu latach okrutnej wojny, płynęliśmy na spotkanie z ojczyzną i pokojem.

Był 13 maja 1945 roku. Wskazówki zegarka znajdowały się na godzinie 16.48 niemieckiego czasu letniego, gdy po raz pierwszy w oddali zobaczyliśmy wyspę Fehmarn. Niemiecką ziemię. Niemiecką ziemię, na której nie stanęła noga sowieckiego żołnierza. Każdego z nas ogarnęło uczucie niewypowiedzianego szczęścia. Oczy nabrały blasku. Wszyscy zebrali się przy jednej burcie i łódź groziła wywróceniem, ale kto by zwracał teraz na to uwagę: przed nami byli Niemcy, nasza ojczyzna!

Zniszczone urządzenia nadawcze, pogięte stalowe dźwigary, rozwalone betonowe kłocy — to pierwsze wrażenie, jakie odnieśliśmy, patrząc trochę dokładniej na Niemcy. A na plażach beztroscy marynarze i żołnierze. Płynęliśmy tuż obok brzegu i nie mogliśmy się napatrzeć pokojowi, jaki tu panował. Nasz zachwyty był tak wielki, że mieliśmy zamiar zejść na ląd już na wyspie Fehmarn,

ale potem przypomniał sobie o planach, jakie tworzyli podczas samotnych nocy. Mieliśmy przecież zdobyć rowery oraz cywilne ubrania, a potem w jakiś sposób przedostać się do miejscowości, z których pochodziliśmy. Chcieliśmy do domu, nic, tylko do domu. Dlatego ta wyspa nie była najlepszym miejscem do cumowania.

Zmierzaliśmy więc dalej w głąb Zatoki Kilońskiej. Wiedzieliśmy, że nie wystarczy nam cierpliwości, by zbyt długo szukać odpowiedniego miejsca, wszystko bowiem w nas krzyczało, aby opuścić statek w pierwszym lepszym porcie na stałym lądzie.

W oddali widzieliśmy wąską wieżę kościelną wystającą znad wysokich drzew. Na plaży przed nimi byli ludzie. Skierowaliśmy łódź w tamtym kierunku. Byliśmy tak niecierpliwi, że najchętniej wyskoczylibyśmy już teraz do wody i przebyli wpływ ten ostatni kawałek.

W czasie, kiedy „Zander” szybko zbliżał się do lądu, mimowolnie przypomniałem sobie o minionych pięciu dniach i pięciu nocach; dwóch trudnych do zapomnienia, straszliwych nocach i dwóch pozbawionych nadziei, szarych dniach gdzieś między Prusami Zachodnimi a Szwecją. I wokół nic, tylko woda, kipiąca, kotłująca się, pełna chciwości woda, która pochłonęła tak wielu ludzi... A potem Szwecja, pierwsze światło nadziei... Później Dania. Najpierw zżerająca nerwy niepewność, a następnie tłumiona nadzieja. A teraz Niemcy. .. i wolność... i pokój... a wraz z nimi przyszłość i nowe życie!

Przez nieuwagę weszliśmy w pobliżu brzegu na mieliznę. Wstrząs wyrwał mnie gwałtownie z marzeń. Jakiś rybak, który prawdopodobnie zobaczył niecierpliwość wypisaną na naszych twarzach, szybko podpłynął do nas łódką. Pomógł nam tyczką zepchnąć „Zandera” znowu na wodę. Wskoczyłem do jego łódki i rzuciłem mu się na szyję. Ostatni odcinek dzielący mnie od lądu pokonałem, brodząc w płytkiej wodzie.

Była punktualnie godzina 18.16, kiedy poczułem pod stopami twarde ląd. A więc udało mi się dotrzymać danej w krytycznej sytuacji obietnicy że przeprowadzę ten statek, na koniec z dwudziestoma dwoma ludźmi na pokładzie, przez Bałtyk. Miałem zamiar skakać z radości, śmiać się, a jednocześnie chciało mi się płakać. Nie słychać było żadnych strzałów, wokół nie widziałem żadnych okopów, żadnych drzew z postrzelanymi koronami. Tu panował po prostu spokój!

W pierwszej chwili, ogarnięty kipiącą we mnie radością, nie mogłem po prostu zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi na plaży nie śmieje się razem z nami, nie weseli. Nie rozumiałem, dlaczego patrzą na nas pytającym wzrokiem, z wylęknionymi twarzami. Stopniowo powracałem do rzeczywistości: my, żołnierze, byliśmy w ich oczach tylko wyrzuconymi na brzeg pozostałościami wojny, synami innych rodziców, nie ich własnymi dziećmi, na które czekali tutaj pełni tęsknoty.

Rozeszliśmy się potem małymi grupkami, ściskając sobie tylko ręce bez wielkich słów, życząc jedynie szczęścia, szybkiego powrotu do domu i nowego

początku. W domku rybaka czekała na mnie załoga mojego transportera łączności.

Pod pretekstem zapytania o nazwę miejscowości, w której wylądowaliśmy, wymknąłem się na zewnątrz, gdyż po twarzy płynęły mi strugi łez wywołanych rozładowaniem się niewyobrażalnego napięcia. Chciałem przez kilka minut być sam.

Teraz, kiedy wszystko już minęło, mimowolnie zadałem sobie pytanie: dlaczego właściwie walczyliśmy? Czy musieliśmy znosić taki los? Za co zginęło tylu młodych, wspaniałych mężczyzn? Dlaczego... dlaczego... dlaczego? Gdzie był sens tego wszystkiego?

Niczym domek z kart zawalił mi się świat. A może ten świat, w który nauczono nas wierzyć, był tylko złudzeniem?

Przedemną piętrzyła się góra pytań, na które nie znalazłem jeszcze odpowiedzi.

13 KIEDY MINĘŁA GODZINA „ZERO“

W ANGIELSKIEJ NIEWOLI

Wioska rybacka koło Fehmarnsund, gdzie dobry los wyrzucił nas na ląd po pięciodniowym rejsie przez Morze Bałtyckie, nazywała się Heiligenhafen. Kiedy po krótkim zastanowieniu się doszedłem do siebie i rozejrzałem się w nowej sytuacji, okazało się, że zostałem sam jak palec. Pistolet wrzuciłem do wody w najgłębszym miejscu na Bałtyku. Przede mną rozpościerał się wypielegnowany park, w którym stała przypominająca zamek willa. Była to kwatery burmistrza, umocowanego tutaj przez władze okupacyjne. Jak mi ktoś pilnie doradzał, powinienem się tam zameldować jak najszybciej.

Idąc mechanicznie noga za nogą, mszyłem więc w stronę parku. Bez zastanowienia, bez planów na przyszłość, wędrowałem przez okolicę, w której wojna już umarła. W końcu zatrzymałem się niezdecydowany przez solidnymi, dębowymi drzwiami. Zostałem wpuszczony do środka i zaprowadzony do pustego pomieszczenia.

Po upływie odpowiedniego czasu pojawił się w nim mężczyzna w nieokreślonym wieku i beznamiętnym głosem służącego poinformował mnie, że niejaki pułkownik Hoffmann z jakimś kapitanem Illignerem zostali właśnie zabrani przez dwóch oficerów angielskich, a także, iż naczelnik gminy, pan tego domu, raczy mi udzielić pilnej rady, bym również niezwłocznie zameldował się u Anglików. Krótko mówiąc, oznaczało to, że w tym feudalnym domu nad morzem nie jestem osobą mile widzianą i nikt nie jest skłonny poczęstować mnie łykiem wody ani zaproponować krótkiego odpoczynku.

Zrozumiałem tę sugestię i z ciężkim sercem ruszyłem w drogę do zwycięzców, którzy zapewne powiadomieni przez pana domu, pełni dobrych manier, czekali na mnie przy bramie parku. Obaj sierżanci powitali mnie ze szczególnymi rewerencjami, potem wzięli bez słowa między siebie, oszczędzając mi w ten sposób zwyczajowych upokorzeń w rodzaju wezwania „ręce do góry!” czy rewizji osobistej.

Zaprowadzono mnie — nie... towarzyszone mi w drodze na posterunek, znajdujący się w pobliżu parkowego muru. Tu, w sposób bardzo służbisty i wzbudzający zarazem lęk, zajęli się mną dwaj angielscy żandarmi, z bagnetami nałożonymi na karabiny i paskami hełmów założonymi pod brodą. Po dłuższym czasie załadowano mnie do dżipa. Na przednich siedzeniach samochodu zajęło miejsca dwóch młodziutkich żołnierzy angielskich, ten po prawej, obok kierowcy,

miał w prawej, uniesionej ręce opartej o burtę auta, odbezpieczony pistolet. Wyglądało to przerażająco. Ruszyliśmy w drogę, jadąc przez niemiecki kraj, który wydał mi się teraz bardzo obcy i odpychający.

Na mijanych domach wisały flagi angielskie, amerykańskie, francuskie i sowieckie. U szczytu jednej ze stojących w polach stodół, na obrzeżach angielskiego, wojskowego pola namiotowego, wisiał transparent, na którym wielkimi, widocznymi z daleka literami wypisano hasło: „Deutsche Männer, deutsche Treue! Deutsche Frauen, deutsche Säue!”^[16]. Takie słowa bolały. Trudno było wywnioskować, kto wymyślił coś takiego. Nie przeczuwałem też jeszcze wtedy, co to hasło miało w praktyce oznaczać.

Z każdą mijaną miejscowością widziałem coraz więcej sowieckich flag, tak mi się przynajmniej wydawało. Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl: „Te potwory chyba nie będą mnie chciały wydać Sowietom?”. A przede mną siedział niemający o niczym pojęcia chłopczyk w angielskim mundurze, z wycelowanym w niebo pistoletem, który w każdej chwili mógł się znaleźć w mojej ręce. Zgodnie z Konwencją Genewską jeńiec wojenny, tak mi się przynajmniej wydawało, miał prawo wykorzystać wszystkie środki, by podjąć próbę ucieczki. I za to, jeśli zostanie znowu schwytany, nie wolno go potem karać. A więc wystarczy, że szybkim ruchem wyrwę temu chłopcu pistolet z ręki; potem bez trudu będę mógł trzymać obu młodzieńców w szachu. I pewnie bym tak nawet zrobił, gdybym był absolutnie pewien, że jedziemy do Sowietów. I gdyby nie było mi żal tych chłopców przebranych za żołnierzy. Z dużą pewnością można było przewidzieć, czym się skończy takie przedsięwzięcie.

Dobrze, że nie zamieniłem moich myśli w czyn, niebawem bowiem zostałem dostarczony do nowego więzienia znajdującego się w Plön, w głównej kwaterze generała Montgomery'ego. Znalaziono dla mnie otwartą w stronę korytarza, pojedynczą celę. O framugę jej drzwi opierało się dwóch bojowo wyposażonych angielskich żołnierzy, z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi, bez przerwy skierowanymi w moją stronę.

Należy podkreślić, że moja straż, mimo że nad wyraz uprzejma i pełna taktu, z naciskiem nalegała na zachowanie między nami dystansu czterech kroków. Zażądał tego od nich wyraźnie ich szef, pouczając wielokrotnie, że w walce wręcz nie mają najmniejszych szans z nieuzbrojonym niemieckim oficerem frontowym. Piękne dzięki za tak wysoką ocenę moich możliwości!

Trudno mi było w tym czasie stwierdzić, kto jeszcze wtedy był przetrzymywany w tamtym więzieniu. Niestety, nie wolno mi było ani usiąść na łóżku, ani się na nim położyć, mimo że padałem wprost z wyczerpania. Dopiero teraz wychodziło ze mnie całe nagromadzone w ostatnich tygodniach, tłumione zmęczenie. Aby nie zasnął na stojąco, jako że na taki przypadek żandarmi prawdopodobnie nie otrzymali odpowiednich instrukcji, obaj sympatyczni Anglicy próbowali mnie utrzymać w stanie przytomnym, opowiadając wyczerpująco i rozwlekłe, co ich król powiedział dzisiaj do żołnierzy, dziękując swojej dzielnej armii za wielkie zwycięstwo.

Prawdopodobnie błędnie lub w sposób niewystarczający ich zdaniem zareagowałem na te opowieści, gdyż jeden z moich ochroniarzy wyszedł, aby przynieść gazetę, w ten sposób dostarczając mi dowodu, czarno na białym potwierdzającego prawdziwość ich słów. Wychodząc, oparł naładowany ostrymi nabojami pistolet maszynowy o ścianę mojej celi. Drugi ze strażników również chciał mi wyświadczyć przysługę i zapytał, czy chciałbym zapalić. Chciałbym, chociaż niebytem palaczem. Z tego powodu także i drugi z żandarmów pozostawił broń pod moją dobrą opieką.

Łatwo mógłbym zawładnąć tą bronią, o czym poinformowałem obu moich strażników po ich powrocie.

— Niemiecki oficer nigdy nie nadużywa pokładanego w nim zaufania! O tym wie każdy Anglik! — zostałem rezolutnie pouczony.

Dostałem więc angielską gazetę wojskową, papierosy i zapałki; wszystkie te rzeczy zostały mi podane z odległości czterech kroków, tak jak to nakazywał angielski regulamin.

Około 02.00 w nocy uwolniono mnie w końcu od niepewności: zaprowadzono, zachowując rozliczne środki ostrożności, na przesłuchanie do całkowicie ciemnego pomieszczenia. Sądząc po echu, musiało być bardzo duże. Ciekawe, czego Anglicy właściwie spodziewali się po mnie?

Ustawiono mnie w sposób bardzo niewygodny w pewnym konkretnym miejscu, a potem zapaliły się nagle dwa reflektory, kierując jaskrawe światło prosto w moją twarz. Jakiś głos dochodzący z ciemności chciał się dowiedzieć, jak się nazywam, jaki mam stopień wojskowy i w jakim oddziale służę. Ponieważ trudno było tym pytaniom coś zarzucić, odpowiedziałem na nie uprzejmie, dając jednocześnie do zrozumienia, że tym samym spełniłem już obowiązek złożenia zeznań i dalsze informacje przekażę dopiero wtedy, gdy się dowiem, z kim rozmawiam i kto się ukrywa w ciemności za reflektorami. Odbyła się krótka narada, a potem ktoś zapalił światło w całej sali, gasząc jednocześnie oba reflektory. Przesłuchujący mnie angielski oficer przedstawił się jako kapitan Fraser.

Nie miałem przed nim absolutnie nic do ukrycia. Wojna się skończyła, nie znałem też żadnych tajemnic wojskowych, o których nie wszyscy powinni wiedzieć. Zresztą nie pytano mnie o nie. Przesłuchujący mnie oficerowie nie mogli jednak za żadne skarby uwierzyć w naszą awanturniczą ucieczkę z sowieckiego okrążenia pod Gdańskiem przez Morze Bałtyckie, Szwecję, Danię i Szlezwik-Holsztyn. Ciągłe wypytywali mnie o szczegóły, pytając bez przerwy o to samo, tyle że używając innych słów.

Co mnie bardzo zaskoczyło, wiedzieli już o niej bardzo dużo, czyli musieli przede mną przesłuchiwać innych ludzi z „Zandera”; innego wyjaśnienia bowiem nie było. Od razu poczułem się lepiej: a więc nie byłem samotny w tym więzieniu.

Na koniec przesłuchania pożegnano mnie ze szczególnie wyszukaną uprzejmością — angielski oficer podał mi nawet rękę. Mimo nocnej pory posterunki zasalutowały mi bardzo energicznie. Pan Fraser, mówiący doskonale

po niemiecku, poprosił o wybaczenie, że na resztę tej nocy może mi zaproponować jedynie kwaterę w celi więziennej. Na znak, że nie jestem o nic oskarżany, drzwi celi pozostały otwarte. Mogłem też, jak to się pan Fraser wyraził na swój dystyngowany angielski sposób, dysponować pomocą obu moich strażników.

Zasnąłem więc snem sprawiedliwego pod życzliwą opieką moich byłych strażników, mimo że moje łóżko stało w celi więziennej, mimo przegranej przez nas wojny i niepewnej przyszłości.

Około godziny 06.00 rano zostałem łagodnie obudzony. Jeden z „moich żołnierzy” zaproponował, że mnie ogoli. Sytuacja była dla mnie żenująca, ale w końcu — dlaczego nie? Nie miałem przy sobie moich przyborów do golenia — leżały na dnie Bałtyku. Po raz pierwszy więc i jedyny w życiu pozwoliłem ogolić się komuś obcemu — i trzeba przyznać, że ten ktoś zrobił to doskonale. Angielscy ordynansi najwyraźniej świetnie potrafili obchodzić się z brzytwą. Potem mogłem się umyć, wziąć nawet prysznic i pozbyć się całego brudu ostatnich tygodni. W tym czasie „moi żołnierze” wyszczotkowali mój mocno nadwerżony mundur i wyczyścili buty. Nie poznałem siebie, gdy stanąłem przed lustrem. Ale po co to wszystko? Niebawem miałem się tego dowiedzieć: oczekiwano „nas” na śniadaniu w angielskim kasynie oficerskim. Siedzieli tam już pułkownik Hoffmann i kapitan Illigner. A więc potwierdziły się moje przypuszczenia z czasu przesłuchania.

Owsianka i świeże mleko, jajka na bekonie, czarna herbata i prawdziwa kawa ziarnista, białe pieczywo, masło i marmolada, kiełbaski i szynka — po sześciu łątach niedostatku czuliśmy się jak w bajecznej krainie próżniaków. Jedliśmy ze smakiem i do syta. Nie powinniśmy byli tego robić; przynajmniej ja nie byłem w stanie zachować nic z tych wspaniałości. Niebawem wszystko zwymiotowałem. Młodości czułem potem jeszcze przez wiele godzin.

Po przedstawieniu nas pozostałym oficerom, kiedy przyjrano się już nam ze wszystkich stron, podziwiając z racji naszej awanturniczej ucieczki, przekazano nam, że jesteśmy wolni i możemy iść, dokąd chcemy. Ale dokąd można pójść w więzieniu otoczonym grubymi murami i tuzinem strażników na każdym kroku?

Po dłuższej dyskusji z jednym z wysokich angielskich oficerów pułkownik Hoffmann spowodował, że oddano nam do dyspozycji służbowy samochód z kierowcą z żandarmerii wojskowej. W podtekście dano nam do zrozumienia, że mamy się traktować jako „internowani”, a nie jeńcy wojenni, i dlatego możemy się poruszać swobodnie tylko w rejonie Szlezwika-Holsztynu jako obszaru internowania. Jakkolwiek by na to patrzeć, był to całkiem niezły początek.

Pułkownik Hoffmann przypomniał sobie o jednej ze swoich dalekich krewnych, która powinna mieszkać w Sierksdorfie, przy Timmendorfer Strand. Poprosiliśmy więc, aby nas tam zawieziono. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu angielski kierowca wojskowy bez jakichkolwiek zastrzeżeń zawiózł nas pod wskazany adres.

Podczas wyjazdu posterunki sprezentowały broń, a angielscy żołnierze strzelili obcasami. Odznaczenia za odwagę bardzo się liczyły w oczach Anglików,

nawet jeśli zdobyły piersi przeciwników — nie zapominajmy, że pułkownik Hoffmann nosił Liście Dębu do Krzyża Rycerskiego Krzyża Żelaznego.

Ciotka pułkownika Hoffmanna rzeczywiście egzystowała jeszcze w Sierksdorfie — mieszkała w wielkiej willi leżącej niemal bezpośrednio na Bałtykiem. Mimo że jej dom prawie pękał w szwach, wypełniony uciekinierami ze wschodu, dla pułkownika znaleziono jeszcze mały pokoik. Ja zaś, z kapitanem Illignerem, a potem także z porucznikiem Greinerem, znaleźliśmy schronienie w romantycznym domku letniskowym, należącym do pewnego adwokata z Lubeki. Obaj całkiem inaczej wyobrażaliśmy sobie niewolę jeniecką, więc przynajmniej na początku byliśmy zadowoleni. Ciekawe, jak powodziło się naszym kolegom przebywającym w niewoli sowieckiej?

Rzeczywiście, mogliśmy bez przeszkód poruszać się po olbrzymim rejonie internowania między Elbą a Morzem Bałtyckim, rzeką Trave i Kanałem Kilońskim. Pułkownik skorzystał z tej okoliczności, zbierając pozostałych przy życiu żołnierzy 4. Dywizji Pancerniej, tym bardziej, że Anglicy przydzielili mu samochód osobowy. Pierwszych pancerniaków wytropił koło Heringsdorf. Dotarli tam różnymi drogami, w mniej lub bardziej skomplikowany sposób, znad Mierzei Wiślanej, płynąc przez Bałtyk.

Podczas jednego z takich wyjazdów poszukiwawczych zaczęli nas byli więźniowie obozu koncentracyjnego w Stutthofie^[17]. Przed miesiącem umożliwiliśmy im ucieczkę znad ujścia Wisły na Zachód — i to po tych wszystkich przypadkach nieludzkiego traktowania, o jakich co prawda dowiedzieliśmy się o wiele, wiele później. W uszach niektórych może to zabrzmieć, jak tanie wykręty, ale odpowiada całkowicie faktom.

I ci podwójnie, w dosłownym sensie tego znaczenia, uratowani ludzie opowiedzieli nam z własnej inicjatywy, że wraz z siedmioma do ośmiu tysiącami innych więźniów z obozu koncentracyjnego zostali umieszczeni na pokładach statków — „Cap Arkona” i „Thielbeck”. Oba te statki, wraz ze statkiem pasażerskim „Deutschland”, stały na kotwicy, pod białą flagą, w Neustädter Bucht.

2 maja nad zatoką pojawiły się angielskie bombowce, które kilkakrotnie okrążyły kotwiczące statki, ale potem odleciały, nie atakując. Więźniowie ułożyli się na pokładzie głównym w formie liter „KZ”.

Angielskie samoloty myśliwsko-bombowe pojawiły się ponownie 3 maja około godziny 12.00. „Cap Arkona”, statek o wyporności 27 571 ton rejestrowych brutto, został natychmiast obrzucony bombami burzącymi oraz zapalającymi i ciężko trafiony. Ogień szybko rozprzestrzenił się na obu górnych pokładach. Doszło do wybuchu nieopisanej paniki, ponieważ drogę na pokłady zamykał szalejący pożar, szalupy ratunkowe zaś i tratwy zostały zniszczone przez eksplodujące bomby. Przez wąskie bulaje mogło się przecisnąć tylko niewielu ludzi, którym udało się dopłynąć potem do pobliskiego lądu pod Neustadt lub Pelzerhaken. Z sześciu do siedmiu tysięcy ludzi na pokładzie — przy życiu pozostało jedynie około dwustu. „Cap Arkona” paliła się jasnym płomieniem niczym pochodnia. Potem przewróciła się do góry kilem, idąc na dno, w tym

miejscu leżące dość płytko.

Około godziny 14.30 angielskie samoloty myśliwsko-bombowe zaatakowały raketami również „Thielbecka”, a te, wybuchając, rozerwały jego burtę na śródkręciu poniżej linii wodnej. Statek zatonął w ciągu 15 minut. Z dwóch tysięcy znajdujących się na pokładzie więźniów zdołało się uratować tylko niewielu.

Razem z „Cap Arkoną” został także zaatakowany „Deutschland”, statek o wyporności 21 046 ton rejestrowych brutto. Wcześniej uratował—ewakuując ze Wschodu—siedemdziesiąt tysięcy uciekinierów, a teraz został przebudowany na statek szpitalny. Z tej przyczyny statek był nieuzbrojony, a tym samym i bezbronny. Na jego pokładzie znajdowało się tylko osiemdziesięciu członków załogi i kilku lekarzy, którym udało się ugasić trzy pożary. Kiedy jednak później doszło do kolejnego nalotu angielskich samolotów na „Deutschland”, od jego burty odbijała ostatnia już łódź ratunkowa. Wszyscy członkowie załogi, lekarze i sanitariusze zdołali dotrzeć do lądu pod Sierksdorf, podczas gdy statek został tak ciężko trafiony raketami i bombami, że zaczął się palić. W pięć godzin później wielki, należący do armatora HAPAG, transatlantycki parowiec zatonął.

Ocalali z tej katastrofy, byli więźniowie obozów koncentracyjnych, oświadczyli nam z własnej woli, że chcą przed Anglikami złożyć dobrowolnie zeznania do protokołu. Na dowód pokazali nam dobrze widoczne z lądu wraki obu wielkich liniowców transatlantyckich. Wrak „Thielbecka”, mającego wyporność tylko 2815 ton rejestrowych brutto, w całości znajdował się pod wodą.

Nawet jeśli początkowo nie chciało nam się wierzyć w ich opowieści, wkrótce poznaliśmy bardzo realistyczną prawdę. Podczas kolejnych dni przyплыw wyrzucał na brzeg tuziny wzdętych ciał topielców, ubranych w pasiaste stroje więźniów obozów koncentracyjnych. Odór rozkładających się ciał czuć było z odległości kilometrów.

Jeden z angielskich pułkowników szalał z wściekłości; chciał nam jednak wmówić, że te wyrzucane przez morze ciała należą do więźniów zabitych przez Niemców. Z tego powodu zażądał, abyśmy te ciała pozbiali i pochowali. Doszło do ostrego sporu między nim i pułkownikiem Hoffmannem, który się upierał, aby najpierw jednoznacznie stwierdzono, kto zabił tych nieszczęsnych biedaków.

Ocalali z katastrofy twardo upierali się przy swoich zeznaniach, potwierdzonych i uzupełnionych przez mieszkańców wybrzeża. Stąd można było jasno oraz jednoznacznie wyjaśnić prawdziwy stan rzeczy i zachować te wyjaśnienia w formie pisemnej. Jednakże zapomniano do dnia dzisiejszego powiedzieć światu i przede wszystkim Niemcom, dlaczego Anglicy zaatakowali oraz zatopili również i te trzy statki, stojące na kotwicy pod białą flagą, i to w czasie, kiedy ustalono już warunki rozejmu.

Z Hamburga przyjechali eksperci i zaczęli wyciągać z wody, rejestrować, a potem grzebać te późne ofiary zakończonej już wojny. Nie mogliśmy tego już obserwować, ponieważ nakazano nam przenieść się do leżącej kilka kilometrów

dalej w głębi łądu miejscowości Bujendorf. To tam mieli się zbierać kompaniami żołnierze 4. Dywizji Pancерnej, którym udało się dotrzeć do Szlezwika-Holsztynu.

Problemem stało się wyżywienie naszych żołnierzy, Anglicy bowiem wydawali dziennie na głowę po 6 sucharów i jedną puszkę *corned beef* dla 14 ludzi — wychodziło mniej więcej po łyżeczce od herbaty na głowę dorosłego mężczyzny. Okolice Bujendorfu były całkowicie pozbawione żywności. Nie dało się tu już nic znaleźć. Uciekinierów ze wszystkich części Europy, do tego byłych cudzoziemskich robotników przymusowych, zaopatrywano w prowiant w pierwszym rzędzie, w przeciwnym razie zaczynali rabować i plądrować. Ludność Szlezwika-Holsztynu powiększyła się nagle czterokrotnie! Niebezpieczeństwo grabieży rosło z każdym dniem. Ale człowiek, gdy głoduje, zdolny jest posunąć się do wszystkiego!

Stworzyliśmy więc „gwardię porządkową”. Patrole składające się z dwóch żołnierzy wyposażonych w pałki z drewna grabu strzegły wszystkiego, co było do pilnowania: stad krów, chlewów ze świniami, pojedynczych chłopskich gospodarstw i sklepów spożywczych. Stopniowo w okolicy znowu pojawił się porządek. Chłopi, którzy jeszcze niedawno niechętnie nas widzieli, jako dodatkowe gęby do wykarmienia, byli teraz zadowoleni z naszej obecności, dodając od czasu do czasu nawet kilka ziemniaków do pszennych otrębów. To wszystko zaliczane było do wyżywienia społeczeństwa gminy. Poza tym, na nasze szczęście, wszędzie wokół zaczynało się już zielenić. Żołnierze kompaniami wyprawiali się, by zbierać liście mleczu, szczawiu i babki. Potem gotowano z tego razem z otrębami niezbyt nadającą się do jedzenia papkę; nie odrzucała ona tylko tych, którzy mieli za sobą pobyt i biedę na froncie w Rosji. Pocięszaliśmy się, że dzięki zawartym w niej witaminom możemy być tylko bardziej zdrowi.

Na razie rozkoszowaliśmy się intensywnie nowym życiem w czasach pokoju, ciesząc się niepoohamowanie mającym nastąpić zwolnieniem do domów. Ale do tego czasu miało się wydarzyć jeszcze kilka rzeczy i upłynąć dużo czasu. Nasza cierpliwość została wystawiona na bardzo ciężką próbę. Ze wzrastającym zatroskaniem myśleliśmy o naszych kolegach, którzy pozostali nad Wisłą i nie mieli tyle szczęścia, by uniknąć niewoli sowieckiej.

ROZEJM NA HELU

Półwysep Helski od tygodni przypominał jeden wielki obóz wojskowy. W wydmowym krajobrazie panował ruch jak w mrowisku. 28 kwietnia na wąskim pasie łądu, oddzielającym Zatokę Gdańską od Morza Bałtyckiego, znajdowało się dwieście tysięcy ludzi. A każdej nocy promy i statki dowoziły kolejne trzydzieści tysięcy uciekinierów i żołnierzy.

Kiedy 5 maja o godzinie 8.00 weszło w życie zawieszenie broni zawarte z aliantami zachodnimi, wszystkie nadające się jeszcze do użytku statki, jakie zgromadziły się w zachodniej części Bałtyku, wysłano na Hel i do Kurlandii, żeby

odebrały zgromadzonych tam, czekających na pomoc ludzi. Wielki Admirał Dönitz zarządził, aby „wykorzystano wszystkie dostępne możliwości”.

Jak już pisałem, brytyjskie siły powietrzne dokonały 2 i 3 maja wielkich nalotów, atakując stojące na kotwicy w zatokach Szlezwika-Holsztynu niemieckie statki, zatapiając podczas nich 23 statki handlowe i uszkodzając poważnie dalszych 8. Z tego powodu 5 maja na wschód mogło wypłynąć tylko 14 transportowców razem z 7 niszczycielami i 5 torpedowcami niemieckiej Kriegsmarine. Ta armada dotarła 5 i 6 maja do Helu. 6 maja wieczorem wszyscy uciekinierzy z rejonu Gdańska, którzy znaleźli się na Helu, byli już w drodze na zachód. Teraz należało uratować najwięcej jak to możliwe żołnierzy przed dostaniem się do sowieckiej niewoli.

W kwietniu z Helu ewakuowano na zachód 355 624 ludzi, a 6 maja wyruszyło na statkach z Helu w kierunku zachodnim 43 025 uciekinierów, rannych i żołnierzy. Była to największa dzienna liczba ewakuowanych od początku całej akcji.

8 maja niszczyciele i torpedowce, nieprzerwanie atakowane przez sowieckie samoloty i gwałtowny ogień z sowieckich dział, znowu weszły do portu na Helu i zabrały stamtąd następne dwadzieścia tysięcy ludzi, tym razem przeważnie żołnierzy. Wszystkie statki handlowe i okręty wojenne podjęły 8 maja marsz na zachód, by już więcej tam nie wrócić.

Warunki zawartego rozejmu określały, że po 8 maja, po godzinie 24.00, żaden statek czy okręt niemiecki nie może opuścić miejsca kotwiczenia, a jednostki znajdujące się na morzu mają jak najszybciej zawinąć do najbliższego portu.

Marynarze zrobili rzeczywiście wszystko, aby ewakuować ludzi na zachód. Udokumentowano, że w trakcie ostatnich 115 dni, czyli od momentu rozpoczęcia ofensywy sowieckiej, ewakuowano ze wschodu 1 977 000 Niemców. Ze względu na warunki kapitulacji nie wszystkich udało się uratować. Do niewoli sowieckiej dostało się na Helu 60 000, w rejonu ujścia Wisły, Mierzei Wiślanej i Zalewu Wiślanego — 40 000, a w Kurlandii — 200 000 niemieckich żołnierzy

Naczelnym Dowódcą 2. Armii niemieckiej, generał broni pancерnej von Saucken, dopiero 8 maja dowiedział się za pośrednictwem radiogramu, że od godziny 24.00, a dokładnie od 9 maja od godziny 00.01, zawieszenie broni zaczyna obowiązywać także i na froncie wschodnim.

W porcie pracowano na najwyższych obrotach, załadowując i upychając na statkach ludzi, wszędzie gdzie się dało — najważniejsze, że statki tu jeszcze były. W kierunku zachodnim wychodziły w morze promy i stateczki, które do tej pory przewoziły ludzi tam i z powrotem tylko w rejonie ujścia Wisły, ze Świbna i Mikoszewa.

Kiedy nie było już żadnych statków do dyspozycji, kiedy odpłynęła ostatnia łódź, wśród czekających w porcie i na wydmach żołnierzy zapanował zrozumiały niepokój. Każdy chciał się wydostać z tej pułapki. Żołnierze przełamali zapory.

Gdy przebywający na stanowisku dowodzenia Naczelnym Dowódcą dowiedział

się o tym, natychmiast pojechał na teren portu. Stojąc w swym samochodzie terenowym, przemówił uspokajająco do tysięcy rozczarowanych żołnierzy: „Musimy przyjąć do wiadomości, że nie ma i nie należy oczekiwać następnych statków. Jeśli mamy się udać teraz do sowieckiej niewoli, powinniśmy to zrobić z godnością oraz świadomością, że do końca wypełniliśmy nasz obowiązek”.

Zebrani wokół żołnierze zrozumieli swojego dowódcę; uspokojeni i pogodzeni z losem rozeszli się do miejsc postoju na wydmach.

10 maja rano, przed stojącym u wyjścia z Mierzei Helskiej na ląd stałym, byłym już swym dowódcą, generałem broni pancерnej Dietrichem von Sauckenem, przeszły w wielogodzinnym marszu i całkowitym porządku wszystkie oddziały niemieckie z Helu. Oberkommando der Wehrmacht wysłało samolot, który miał zabrać generała do Szlezwika-Holsztynu. On jednak kazał do niego załadować rannych i pozostał na miejscu, ponieważ uważał za swój obowiązek podzielić ciężki los swoich żołnierzy i towarzyszyć im w drodze do sowieckiej niewoli. Dołączyło do niego jedenastu innych generałów. Tylko czterech z nich wróciło do ojczyzny, ostatni w roku 1955.

Generał von Saucken, który płynnie mówił po rosyjsku, podczas osobistej rozmowy z sowieckim dowódcą naczelnym uzyskał zapewnienie, że niemieccy żołnierze będą mogli zabrać ze sobą w drogę do niewoli załadowane do pełna prowiantem samochody. Wiedzano bowiem, że w czasie takiego marszu Sowietci nie wydawali jeńcom żadnych racji żywnościowych. W taki sposób udało się generałowi uchronić wielu żołnierzy przed śmiercią głodową w czasie długiej drogi na wschód.

OSTATNIA INFORMACJA WEHRMACHTU Z 9 MAJA 1945

Z Kwatery Głównej Wielkiego Admirała Dönitza:
Oberkommando der Wehrmacht obwieszcza:

„Jeszcze wczoraj w Prusach Wschodnich niemieckie dywizje dzielnie broniły ujścia Wisły i zachodniej części Mierzei Wiślanej, przy czym szczególnie wyróżniła się w tym walkach 7. Dywizja. W uznaniu wzorowej postawy jego żołnierzy Naczelny Dowódca, general broni pancерnej von Saucken, odznaczony zostaje Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego z Liśćmi Dębu, Mieczami i Brylantami.

... Od północy broń zamilkła na wszystkich frontach. Na rozkaz Wielkiego Admirała Wehrmacht zaprzestał beznadziejnej już walki. W ten sposób zakończyły się honorowo, trwające niemal sześć lat. zmagania. Przyniosły nam one wielkie zwycięstwa, ale również i ciężkie porażki. Na koniec niemiecki Wehrmacht uległ w sposób honorowy przeważającym znacznie potęgom. Wierny przysiędze niemiecki żołnierz dokonywał dla chwały swego narodu rzeczy niezapomnianych. Ojczyzna zaś wspierała go do końca ze wszystkich sił,

ponosząc największe ofiary. Jedyne w swoim rodzaju wspólne działania na froncie i w ojczyźnie ostatecznie zostaną później godnie docenione przez historię. Sukcesy i ofiary niemieckich żołnierzy na wodzie, lądzie i w powietrzu zostaną także docenione przez przeciwnika. Dlatego też każdy żołnierz może dumnie odłożyć broń i w tej najcięższej w niemieckiej historii godzinie udać się dzielnie i ze spokojem do pracy na rzecz wiecznego istnienia naszego narodu.

W tej ciężkiej godzinie Wehrmacht czci pamięć poległych towarzyszy. Polegli zobowiązują nas do zachowania bezwarunkowej wierności, posłuszeństwa i dyscypliny wobec krwawiącej z niezliczonych ran ojczyzny”.

14 MARSZ DO SOWIECKIEJ NIEWOLI

Manfred Nase, w owym czasie porucznik i dowódca 1. kompanii 12. Pułku Grenadierów Pancernych 4. Dywizji Pancерnej, musiał wraz ze swymi ludźmi pozostać na Mierzei Wiślanej i po ogłoszeniu rozejmu, a potem kapitulacji, oddać się na łaskę i niełaskę Sowietów. Ciężkie przeżycia zachował dla potomności w formie pisemnej:

„Był 7 maja 1945 roku, kiedy kompanie naszego 12. Pułku Grenadierów Pancernych zaczęły się zbliżać do miejsca załadunku u ujścia Wisły koło Mikoszewa. Mieliśmy nadzieję, że dzisiejszej nocy będziemy mogli wejść na statek, ale naszą ewakuację ciągle przesuwano. Kolejne promy odpływały, lecz na ich pokładach były inne jednostki. Noc na 8 maja spędziliśmy w lesie na wydmach w pobliżu wybrzeża Morza Bałtyckiego.

8 maja — promienne słońce i bezchmurne niebo. Sowieckie samoloty atakują bez przerwy. W koronach drzew słychać syk przelatujących rakiet, a broń pokładowa samolotów szatkuje piasek na wydmach. Byłoby bardzo smutno, gdybyśmy musieli zginąć ostatniego dnia wojny. Po raz pierwszy mówi się o kapitulacji. Trudno się dziwić, że w nią nie wierzyliśmy, najpierw bowiem chcieliśmy mieć już za sobą tę podróż morską.

Jeszcze tego popołudnia kilka przepęnlionych statków wypłynęło z ujścia Wisły. Potem przypłynęło jeszcze kilka małych stateczków... i nagle zapanowała cisza. Nadeszła godzina przewidziana na załadunek naszego pułku, ale nie było już żadnych statków. Powierzchnia morza aż po horyzont była pusta, wokół zaś panowała grobowa cisza. Zaczęliśmy przeczuwać najgorsze. Po krótkiej rozmowie telefonicznej wszystko stało się jasne: nasza sytuacja była beznadziejna.

Kiedy około godziny 23.00 major von Heyden, dowódca naszego pułku, otworzył zalakowaną kopertę, mieliśmy już czarno na białym dowód, że nasz los został ostatecznie przypieczętowany. Dla większości naszych ludzi oznaczało to sowiecką niewolę, jeśli nie bezsensowną śmierć.

Być może kilku z nas, przy dużym szczęściu i jeszcze większej odwadze, uda się uciec z tej pułapki. Na północy leżało Morze Bałtyckie, a na południu zajęty przez nieprzyjaciela kraj, w którym pozostała już tylko głównie polska ludność. Szansa ucieczki jedną czy drugą drogą była bardzo mała.

Żołnierze w czarnych mundurach czołgistów, ostatni z 35. Pułku Pancерnego pod dowództwem porucznika Grigata, chcieli mimo to spróbować szczęścia i odmeldowali się u dowódcy swojej grupy bojowej. My natomiast, w bardzo złym nastroju, wycofaliśmy się do lasu, gdzie spędziliśmy poprzednią noc, kiedy

byliśmy jeszcze pełni nadziei. Drogę oświetlały nam rakiety opadające na spadochronach. Sowietci najwyraźniej nam nie dowierzali i chcieli przeszkodzić w ewentualnej ucieczce przez Bałtyk.

Podczas tej nocy wszystkich, którzy siedzieli pod sosnami, dręczyło zapewne tylko jedno pytanie: co nas czeka? Niektórzy ze starych współtowarzyszy jeszcze raz pewnie przeszli w myślach daleką drogę przez Bug, Dniepr, Prypeć, Desnę, Okę, Szusz aż po Moskwę... i jeszcze dalszą, o wiele bardziej krwawą drogę powrotną tutaj, nad Wisłę. A wzdłuż tej drogi stoją krzyże tych, którzy polegli. Może lepiej byłoby leżeć tam, aniżeli tutaj? Tę bezchmurną noc przepełniała cisza pełna zwątpienia i spokój rozpacz. Przerywało ją tylko brzęczenie silników nocnych samolotów. Jeden pilnował drugiego, aby nie popełnił jakiegoś nieprzemyślanego głupstwa. Każdy chciał coś uporządkować, przygotować się do długiej drogi, drogi w nieznane nieznane.

Przed południem 9 maja zobaczyliśmy pierwszych Sowietów, oficerów z tłumaczami, którzy nakazali nam maszerować do Elbląga. Z naciskiem przyrzekano nam szybki powrót do domu — „skoro damoj“

12. Pułk Grenadierów Pancernych wraz z podporządkowanymi jednostkami wyruszył w drogę, dobrze przygotowany do marszu do niewoli, z wyładowanymi prowiantem wozami z zaprzęgniętymi końmi. Na razie nie było widać żadnej straży. Minęliśmy zaporę na drodze, gdzie odebrano nam n pozostałą broń. Początkowo szliśmy w kierunku miejscowości Rybina. Potem konieczne były już obejścia drogami okrężnymi, gdyż w tej pełnej wody okolicy większość mostów została zniszczona. Pierwszą noc spędziliśmy w jakimś majątku.

10 maja spędziliśmy znowu w drodze. Teraz musieliśmy już zachować większą ostrożność i uważać na szukających łupów sowieckich żołnierzy. Prezentując jednak wewnętrzną i zewnętrzną jedność, nie dawaliśmy im specjalnie okazji do uwolnienia nas od części naszych ciężarów.

Pod Elbląg dotarliśmy dopiero 11 maja. Weszliśmy do miasta ze śpiewem na ustach, co zrobiło dość okropne wrażenie. Nigdzie nie zauważyliśmy mężczyzn, nawet starców. Wszędzie tylko same bezbronne kobiety i dziewczęta, które utraciły wszystko, co kiedyś posiadały: majątek, domy, swoich mężczyzn i kobiecość. Z płaczem wybiegały z ruin i opowiadały o swoich nieszczęściach.

Sowieci bez przerwy próbowali odebrać nam tych kilka konnych wozów z prowiantem. Tylko nasz energiczny opór sprawiał, że przynajmniej na razie zdołaliśmy im w tym przeszkodzić.

Na jednym ze stadionów urządzono miejsce zbiórki idących do niewoli jeńców — tutaj jeszcze raz nas zrewidowano. Musieliśmy do wielkich beczek wrzucić aparaty fotograficzne, naręczne kompasy i lornetki. Potem meldujące się kolumny podzielono na bloki liczące po mniej więcej tysiąc ludzi.

Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy dalej, w kierunku Braniewa. Wymarsz z Elbląga zamienił się we wzruszającą demonstrację. Nasz głośny śpiew i równomierny krok marszowy odbijał się przekornym echem od spękanych murów. Zalewające się strumieniami łez dziewczęta i kobiety rzucały nam

pierwsze wiosenne kwiaty związane w małe bukietki. Po raz ostatni w swej historii 12. Pułk Grenadierów Pancernych maszerował w szyku zwartym. Wspólne śpiewanie tej samej pieśni i równy krok kolegów obok nas, przed nami i za nami, pomagały zapomnieć o beznadziejnej sytuacji. Każdy indywidualnie idący człowiek byłby skazany na kompletną samotność.

Ciągle byliśmy zaczepiani, tym razem głównie przez sowieckich żołnierzy służb tyłowych, którzy też chcieli zabrać część naszego dobytku. Najbardziej poszukiwanymi „pamiątkami” były zegarki, buty z cholewami, ordery i odznaczenia. Musieliśmy wziąć między siebie naszych artylerzystów z samojezdnych lawet, gdyż ich czarne mundury wzbudzały szczególne zainteresowanie Sowietów.

Po dwóch dniach marszu dotarliśmy do Braniewa w Prusach Wschodnich, od dawna już będącego miastem etapowym na tyłach sowieckich. Także i tutaj nie istniała jeszcze żadna funkcjonująca linia kolejowa, którą — jak nam przyrzekano — moglibyśmy wrócić do domu.

Podczas gdy długa kolumna żołnierzy czekała przed bramą koszar dawnego 21. Pułku Piechoty, wezwano oficerów na jej czoło. Jeszcze szybki uścisk dłoni i życzenia, by wszystko poszło dobrze. Potem, na dziedzińcu koszar, znaleźliśmy jeszcze jedną okazję, aby przez ogrodzenie z drutu rzucić im następne „Do widzenia!” i w ten sposób podkreślić, jak bardzo oficerowie, podoficerowie i żołnierze 4. Dywizji Pancerniej żyli się ze sobą przez te ciężkie lata. Być może nie uświadamialiśmy sobie jeszcze, że na rozkaz przeciwnika będziemy musieli się rozstać.

Przez kilka dni przebywaliśmy nadal w oddzielnych obozach, a potem nasze drogi rozeszły się, prowadząc w różne strony olbrzymich połaci obszaru Związku Radzieckiego. W naszym życiu rozpoczął się nowy rozdział, wypełniony wielką niedolą, nadziejami, które rozpadły się w proch, upokorzeniami, śmiercią i drogo opłaconą doświadczeniami — sowiecką niewolą”.

Otto Alexander von Müller, podówczas porucznik i oficer łącznikowy w sztabie dowództwa 4. Dywizji Pancerniej, tak opisywał swoje przeżycia:

10 MAJA 1945

W milczeniu spadliśmy
w nicość
po drugiej stronie końca,
nigdy o niej
nie myśleliśmy.
Ukołysani bezsilnością,
byle tylko przeżyć.

Na trasie naszego marszu
napotkaliśmy miasto, niegdyś niemieckie;
jego ciało było jedną wielką
zniekształconą raną.
Pycha zwycięzców
wpędziła nas
w niedolę.
Z tępym wzrokiem, zataczając się,
szliśmy w jej otchłań.

... I wśród ruin
znaleźliśmy umierające serca:
niemieckich kobiet
zniekształconych biczem
bezgranicznej samowoli,
cierpiących.
A jednak w głębi swego bólu
bogate i silne miłością
do nas, zagubionych,
rzuconych na fale
odchodzącego życia.
Wyplutych z trzewi wojny.
Nie pocieszaliśmy się
wzajemnie.
Żadne słowo współczucia
nie powinno okrutnie
ukazywać naszej bezsilności.

Wymienialiśmy tylko spojrzenia:
nie skarżyły się.
Ziarno tych spojrzeń,
niczym iskra,
zamieniało się w płomień.

Zdawać się mogło,
że pełen bólu okrzyk
nawet ruinom
pokaże, czym jest okrucieństwo.

Ze śpiewem
opuszczaliśmy miasto,
patrzące za nami

pustymi oczodołami
wypłakanych pustych okien.

Drżenie warg
zadawało kłam
słowom naszej pieśni.

Kobiety pozostały
oddane na pastwę swych dręczycieli.
Naszych mieliśmy
dopiero poznać.

W Gdańsku nauczyliśmy się,
jak z czystym sercem
walczyć ze strachem i udręką.

15 INTERNOWANIE W SZWECJI

Erich Steinbach, podówczas kapral z 6. kompanii naszego 35. Pułku Pancernego, miał jeszcze na tyle szczęścia, by późnym popołudniem 8 maja 1945 wyruszyć wraz z ostatnim konwojem w drogę na zachód. W konsekwencji nieszczęśliwego splotu okoliczności niemiecki okręt wojenny, który miał go wraz z czterdziestoma innymi żołnierzami przetransportować do Szlezwika-Holsztynu, musiał zawinąć do jednego ze szwedzkich portów.

W poniższym sprawozdaniu Erich Steinbach opisuje, jaki był los internowanych tam niemieckich żołnierzy, którzy w końcu, wbrew postanowieniom prawa międzynarodowego i obyczajom wojennym, zostali wydani Sowietom:

„Ponieważ brakowało czołgów, nasz 35. Pułk Pancerny został w Gdańsku rozwiązany pod koniec marca 1945 roku. Wszystkie nadające się jeszcze do użytku bojowego pojazdy zebrano w 1. batalionie, a pozbawione czołgów załogi skierowano do zadań, jakie spełniała do tej pory piechota. Razem z trzydziestoma innymi żołnierzami 6. kompanii, po krótkim przeszkoleniu w 84. polowym batalionie zapasowym w obsłudze karabinów maszynowych i pancerfaustów, trafiłem do 4. pancernego batalionu rozpoznawczego.

Po akcjach w rejonie Mierzei Wiślanej, kiedy to ponieśliśmy duże straty, podobnie jak podczas zabezpieczania działań u ujścia Wisły — 7 maja zostaliśmy niespodziewanie, ciągle jeszcze w zwartej formacji, przetransportowani promem saperskim na Hel. Tam, 8 maja, weszliśmy na pokład okrętu. Wraz z dwoma kolegami z mojej 6. kompanii przeszedłem z jednego z holowników, na który zostaliśmy początkowo przydzieleni, na pokład niszczyciela okrętów podwodnych Kriegsmarine. Około godziny 18.00 ten ostatni konwój, składający się z mniej więcej 60 statków i stateczków, opuścił port w Helu, wy. pływając w kierunku zachodnim.

Kiedy 9 maja minęliśmy duńską wyspę Bornholm, sądziliśmy, że jesteśmy już bezpieczni. Bardzo się myliliśmy. W godzinach popołudniowych zostaliśmy zaskoczeni sowieckim atakiem z powietrza, w którym wzięło udział około 30 samolotów szturmowych typu Il-2. Tak właśnie wyglądało sowieckie podejście do zawieszenia broni. Co prawda, wyrządzone szkody były małe, ale ten nalot stał się przyczyną pecha, jaki spotkał nasz okręt. Otrzymał on mianowicie zadanie wzięcia na hol unieruchomionego promu saperskiego, co przy wzburzonym morzu wcale nie było takie łatwe. Konwój zniknął już dawno na horyzoncie, gdy wreszcie udało się wziąć uszkodzony okręt na hol. Bardzo powoli i samiuteńcy jak palec płynęliśmy przez wzburzone Morze Bałtyckie z ograniczającym naszą

szybkość promem na holu. Czuliśmy mdłości, chorując wszyscy bez wyjątku na chorobę morską.

Około godziny 22.30 poczuliśmy gwałtowny wstrząs całego okrętu. Obawialiśmy się, że to na pożegnanie jakiś sowiecki okręt podwodny poczęstował nas torpedą. Ale na szczęście te obawy były bezpodstawne — okazało się natomiast, że to ciężka stalowa lina holownicza zaplątała się w śrubę naszego okrętu. Teraz to my, niezdolni do wykonania jakiegokolwiek manewru i nie mogąc płynąć dalej, zostaliśmy wydani na pastwę sztormowego Bałtyku. Po dokładnym obliczeniu pozycji okazało się, że powinniśmy się znajdować w pobliżu południowego wybrzeża Szwecji. Wiatr wiał z południowego wschodu, więc nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko dalej dryfować.

Niebawem zatrzymał się koło nas szwedzki niszczyciel i obiecał pomóc nam o świcie. Przyplłynął znowu około godziny 07.30 i odholował nas wraz z saperskim promem do portu w Ystad.

Tam, tymczasem, rozpoczęto przygotowania na nasze przyjęcie. Rejon portu został odgradzony drutem kolczastym i zabezpieczony przez szwedzkich żołnierzy. Nie byliśmy jedynymi, którzy się tu znaleźli — oprócz nas znalazło tu schronienie dwadzieścia kolejnych statków i okrętów niemieckich.

Dopiero kiedy szwedzcy oficerowie solennie przyrzekli nam, że w żadnym wypadku nie wchodzi w grę wydanie nas w ręce Sowietów, po długim namyśle, postanowiliśmy poddać się internowaniu w Szwecji, zamiast pójść do niewoli angielskiej w Danii czy w Szlezwiku-Holszynie. Potem mieliśmy gorzko żałować tej decyzji.

Razem z następnymi dwustu dziesięcioma żołnierzami niemieckimi 14 maja zostaliśmy przewiezieni samochodami ciężarowymi do Malmö, a stamtąd — już koleją — do Udevalla. Z tej miejscowości odebrało nas 10 ciężarówek i zawiozło do obozu internowania w Backamo, w pobliżu granicy norweskiej.

Z naszej 4. Dywizji Pancерnej znalazło się tam dwudziestu pięciu ludzi, z tego czterestu żołnierzy z 2. batalionu naszego 35. Pułku Pancерnego i jedenastu z 4. batalionu rozpoznawczego.

Obóz dla internowanych w Backamo leżał na zachód od dużego jeziora Väner, w bardzo romantycznej okolicy między skałami wznoszącymi się w lesie, granicząc z innym, dużo mniejszym jeziorem. W czasach pokojowych służył jako obóz szkoleniowy szwedzkiej armii. Na jego terenie stały trzy baraki, w każdym z nich zaś przebywało trzystu pięćdziesięciu ludzi. Do tego dochodziły baraki gospodarcze i kuchenne oraz solidny, murowany budynek, w którym umieszczono stu dwudziestu niemieckich oficerów. W całym obozie ulokowano w sumie około tysiąca dwustu internowanych żołnierzy niemieckich. Backamo było największym obozem internowania w całej Szwecji. Obóz otoczono potrójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego, wysokim na dwa i pół metra, oraz trzymetrowymi odstępami między kolejnymi pierścieniami. W każdym rogu i w miejscach trudnych do obserwowania stały wieże strażnicze. Kwatery, a także budynek dowództwa obozu, znajdowały się poza obrębem ogrodzenia z drutu

kolczastego.

Po naszym przyjeździe zostaliśmy zarejestrowani, a potem rozdzieleni na poszczególne kwatery. Otrzymaliśmy pościel, świeże ubrania, a następnie zapoznano nas z obowiązującym porządkiem dnia. Codziennie o godzinie 17.00 zwoływano apel, podczas którego przeliczano internowanych, a o godzinie 22.00 zaczynała się cisza nocna.

W obozie spotkać było można żołnierzy wszystkich rodzajów broni: członków załóg okrętów podwodnych i pilotów myśliwców, piechurów i pancerniaków, SS-manów i członków jednostek policyjnych. Wedle wypowiedzi starych wyjadaczy w obozie dało się żyć całkiem nieźle. Liczyliśmy na to, że pozostaniemy tu tylko przez kilka tygodni, jako że wojna przecież już się skończyła. Wyżywienie było bardzo dobre; dostawaliśmy takie same racje, jak żołnierze armii szwedzkiej, tak że wkrótce zaczęliśmy wracać do sił.

Na próżniactwie minęło nam pięć tygodni. W połowie czerwca pojawiła się możliwość wysłania listów do domu, poprzez Norwegię, za pośrednictwem numeru angielskiej poczty polowej. Niemal w tym samym czasie szwedzki komendant obozu ogłosił, że minął już czas odpoczynku i od tej pory będziemy pracować przez pięć do sześciu godzin dziennie: znacznie powiększone miało zostać lotnisko polowe znajdujące się obok obozu.

Praca była ciężka, ponieważ dużo kłopotu sprawiała nam kamienista ziemia; mimo to cieszyliśmy się z tej odmiany. Poza tym przy pracy szybciej mijał czas oczekiwania. Przeszkadzało nam tylko, że pilnowano nas, jakbyśmy byli zbrodniarzami. Nie potrafiliśmy zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, przecież żaden z nas nie chciał stąd uciekać. W końcu w Szwecji pozostaliśmy dobrowolnie.

Postępy w pracy były codziennie kontrolowane przez poruszającego się konno szwedzkiego komendanta obozu. Widząc nasze osiągnięcia, nie miał powodu, by się na nas uskarżać pod jakimkolwiek względem. Wolno nam się było kąpać w jeziorze w określonym miejscu. Kilku marynarzom udało się podczas tych kąpiei nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym, więc wracali do obozu z najnowszymi wiadomościami.

Na terenie obozu znajdowała się też kantyna, w której mogliśmy kupić bezalkoholowe napoje, papierosy i przybory toaletowe. Co dziesięć dni dostawaliśmy nasz żołd, przyznawany zgodnie ze stopniem wojskowym, identycznie jak żołnierze armii szwedzkiej. W przypadku kaprali i starszych kaprali wynosił on 14 koron szwedzkich. Jeśli ktoś nie palił, była to suma, z jaką można już coś zrobić. W owym czasie papierosy w Szwecji były bardzo drogie. W czasie wolnym mogliśmy uprawiać sport: graliśmy więc w piłkę nożną, pływaliliśmy i uprawialiśmy biegi. Odbywały się również kursy języków obcych, pod każdym względem w obozie troszczono się o różnorodność zajęć i dalsze kształcenie.

Poza szwedzkimi mogliśmy kupować również i angielskie gazety. Dowiedzieliśmy się z nich o potwornych przestępstwach popełnionych przez nazistów w imieniu niemieckiego narodu. Teraz rozumieliśmy dlaczego strzeżono

nas tutaj jak zbrodniarzy. Byliśmy po prostu Niemcami

Z gazet dowiedzieliśmy się też, że niemiecki rząd podał się do dymisji, a Niemcy zostały podzielone na cztery strefy okupacyjne. Skoro nie było już niemieckiego rządu, kto się o nas zatroszczy? Nasza nadzieja na szybki powrót do domu powoli się rozwiewała.

Ale jednak, na przekór wszystkiemu, przygotowywaliśmy się do podróży do ojczyzny. Odkładaliśmy pieniądze, kupowaliśmy rzeczy do ubrania, takie jak skarpetki, bieliznę, koszule, pulowery i buty, gdyż z angielskich gazet dowiedzieliśmy się, że w powojennych Niemczech nie można ich kupić.

Pod koniec września wykonaliśmy nasze zadanie — lotnisko było gotowe. W połowie października pojawiły się pogłoski, że prowadzone są rokowania w kwestii naszego zwolnienia. W tym samym czasie mogliśmy przeczytać w gazetach szwedzkich, że Sowieci zażądali od rządu szwedzkiego, aby przekazał w ich ręce trzydzieści tysięcy Łotyszy i Estończyków, którzy uciekli do Szwecji: teraz są oni obywatelami Związku Radzieckiego i rząd sowiecki rości sobie do nich prawo. Małymi literkami napisano też, że poza tym, na terenie królestwa Szwecji w obozach dla internowanych znajduje się dwa tysiące sześciuset żołnierzy niemieckich.

Z początkiem listopada coraz częściej zaczynała się pojawiać pogłoska, że rząd Szwecji, w celu uspokojenia Sowietów, zaproponował im w zamian za trzydzieści tysięcy uciekinierów z Łotwy i Estonii przekazanie internowanych żołnierzy niemieckich.

O tym, że coś było na rzeczy, świadczyło zarządzenie, że od 10 listopada nie wolno było w obozie sprzedawać żadnych gazet. Przez wiele dni przetrzymywano również naszą pocztę.

Nadszedł dzień 15 listopada. W obozie panowało wielkie zaniepokojenie o naszą przyszłość, gdyż do ogólnej wiadomości podano, że rząd sowiecki przyjął propozycję Szwedów. Wybuchło wielkie oburzenie. Internowani odmówili stawienia się na codziennym apelu. Wszyscy natomiast zaczęli się zbierać przed siedzibą szwedzkiego komendanta obozu. Szwedzki pułkownik poczuł się zmuszony zaalarmować całą załogę straży obozowej, obawiając się gwałtownych rozruchów. Jednakże w obozie, dzięki naszym oficerom, którzy nawoływali do spokoju i opanowania, mimo całej tej sytuacji, panowała dyscyplina i porządek. Słowa oficerów niemieckich ciągle miały znaczenie.

Niemiecki komendant obozu został zobowiązany, by wraz z delegacją pięciu oficerów spotkał się ze szwedzkim kierownictwem obozu; chciano się zorientować, jak należy traktować pogłoski o tym, że zostaniemy wydani w ręce Sowietów.

Po 20 minutach niemieccy oficerowie wrócili do obozu z dobrą wiadomością: szwedzki pułkownik oświadczył im pod słowem honoru, że nic nie wie o wydaniu nas w ręce Sowietów. Ale ten nienawidzący Niemców, stary oszust znał już w tym czasie wszystkie szczegóły, nawet dzień i godzinę odebrania nas przez Sowietów. Mimo naszych wątpliwości, niemieccy oficerowie ufali słowu honoru danemu

przez szwedzkiego pułkownika.

Już następnego dnia w obozie ogłoszono całkowitą blokadę informacji. Wraz z moimi dwoma kolegami z 6. kompanii zaczęliśmy się zastanawiać, w jaki sposób moglibyśmy uciec z obozu i przedostać się do Norwegii. Nasza trójka nie była jedynymi, którzy zastanawiali się nad takim rozwiązaniem. Do celów naszego przedsięwzięcia wybraliśmy już odpowiednie miejsce, znajdujące się za stojącą z tyłu obozu wieżą strażniczą. Pogodziliśmy się nawet z ewentualną koniecznością siłowego wyłączenia szwedzkich posterunków, nie mieliśmy bowiem zamiaru, po wszystkich trudach i niebezpieczeństwach tej długiej wojny, bez jakiegokolwiek oporu i protestów dać się przekazać w ręce Sowietów, jak przedmioty handlu.

Nadszedł dzień 18 listopada 1945 roku. W obozie panowała złudna cisza, natomiast poza ogrodzeniem z drutu kolczastego był wielki ruch. Zaobserwowaliśmy, że zaczęto wzmacniać obsadę straży. Na miejsce przybyły nowe grupy żołnierzy szwedzkich, uzbrojonych w broń ciężką i transportery opancerzone. Teraz nawet dla największych optymistów i łatwowiernych spośród nas stało się jasne, że szwedzki komendant obozu oszukał nas w sposób haniebny.

20 listopada jeden z zwolnionych ze szpitala w Göteborgu żołnierzy przywiózł ze sobą hiobową wieść, że termin przekazania nas Sowietom wyznaczono na 30 listopada. Data ta została potajemnie potwierdzona przez jednego z pilnujących nas strażników. Wybuchła burza protestów. Ruszyliśmy gromadnie w kierunku obozowej bramy z plakatami: „Lepiej być martwym niż niewolnikiem!”.

Długo się naradzaliśmy. Nasze opinie początkowo bardzo się różniły w końcu jednak przyjęliśmy wspólne stanowisko, że od następnego dnia wszyscy rozpoczniemy ośmiodniowy protest głodowy, odrzucając jakąkolwiek formę przyjmowania pożywienia. O tej decyzji poinformowaliśmy szwedzkiego komendanta, który z odpowiednią ochroną pojawił się przy bramie obozu. Przyjął do wiadomości tę informację o ostatnim, legalnym sprzeciwie, pozbawionych możliwości obrony internowanych żołnierzy niemieckich, a potem zniknął bez słowa.

Stare patrole straży, z którymi wcześniej zdołaliśmy się już nawet niejednokrotnie zaprzyjaźnić, w ciągu nocy zastąpiono nowymi żołnierzami. Ich oficerowie zapewniali, że w przypadku ewentualnego przekazania nas Sowietom nie ruszą nawet palcem. Zanim zostali odwołani, założyli na ramiona białe opaski jako zewnętrzny znak solidarności z nami.

Tymczasem obóz internowania zamienił się w naszpikowaną bronią twierdzę, na dodatek otoczoną wielokrotnym pierścieniem ochronnym. Również i miejsce z tyłu obozu, nad jeziorem, wybrane przez nas na ewentualną ucieczkę, zostało obsadzone dodatkowymi posterunkami z psami, które zaczynały szczekać, kiedy tylko ktoś zbliżał się do ogrodzenia z drutu kolczastego. W tej sytuacji nie było nawet co myśleć o próbie ucieczki.

Następnego dnia nikt się nie pojawił w miejscu wydawania posiłków. Posiłek

czekał na nas jak zawsze; po jakimś czasie został zabrany bez jakiegokolwiek komentarza. Natomiast jeśli idzie o napoje, to zaopatrzyliśmy się w nie w wystarczającej ilości w kantynie.

Dzień później niemieckie kierownictwo obozu oświadczyło, że w wysłanym telegramie protestacyjnym rząd szwedzki zostanie oskarżony o złamanie prawa międzynarodowego, jeśli wyda nas w ręce Sowietów. Telegram ten skierowano do papieża w Rzymie, Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, amerykańskiego generała Pattona oraz rządu angielskiego i szwedzkiego. Ten krok został zaakceptowany przez wszystkich internowanych. Mógł jednak przynieść jakieś efekty tylko wtedy, jeżeli szwedzki komendant obozu będzie z nami współpracował i wyśle nasze telegramy do adresatów.

Nasza nadzieja opierała się na tym, że również i dla niego sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Szwedzka opinia publiczna w większości sprzeciwiała się naszej ekstradycji.

Jednocześnie podjęliśmy decyzję, aby wystawić warty nocne i w ten sposób nie dać się zaskoczyć jakimś niespodziewanym działaniem szwedzkich strażników. Patrolowaliśmy również i teren kuchni, by nikt nie złamał ogłoszonego protestu głodowego.

Poza ogrodzeniem z drutu kolczastego ustawiono duży namiot medyczny, w którym dyżur pełnili lekarze wojskowi i sanitariusze — był to znak, jak poważnie jest traktowany nasz protest głodowy. Do pierwszych przypadków załabnięć doszło po pięciu dniach. My zaś nadal, w napięciu, niecierpliwie czekaliśmy na odpowiedź na nasze telegramy. Nic się jednak nie wydarzyło. Zaczęliśmy podejrzewać, że Szwedzi po prostu nie przekazali ich dalej.

Jeszcze raz zostaliśmy zarejestrowani: każdy musiał powiedzieć, z jakiego pola bitwy dotarł do Szwecji, ze wschodu czy z zachodu. Powiedziano nam, że ekstradycji nie zostaną poddani żołnierze, którzy mogliby mieć kłopoty u Sowietów, na przykład z SS czy policji.

Ósmego dnia naszego protestu głodowego nadal nic się nie działo. Żadnej odpowiedzi, żadnej reakcji na nasze telegramy. Wszyscy byli apatyczni, niektórzy zaczęli już wariować; tych ludzi zabrano z obozu i przetransportowano gdzie indziej.

Po południu 29 listopada do obozu przyjechała szwedzka policja w niebieskich mundurach, specjalnie wybrani ludzie: każdy z nich miał dwa metry wzrostu. To na pewno oddział, który ma nas stąd zabrać! W nocy na 30 listopada z wielkiego napięcia, i mimo ogólnego wyczerpania, prawie nie mogliśmy zasnąć. Wszyscy się zastanawiali, co można jeszcze zrobić w naszej sytuacji. Nasza trójka z 6. kompanii nie mogła się na nic zdecydować: jeden z nas był za samookaleczeniem. Ja się wahałem, ale na koniec dałem się przekonać, że lepiej będzie, jeśli zabiorą nas w dobrym zdrowiu. Przeżyliśmy już tyle na tej wojnie, że to też przetrwamy z godnością. Nikt z nas nie przypuszczał, że będziemy w niewoli sowieckiej aż tak długo.

Tak jak nas po cichu uprzedzano, 30 listopada o godzinie 05.00 do obozu

weszli szwedzcy żołnierze poprzedzani przez dwustu policjantów w niebieskich mundurach. Żołnierze otoczyli każdy barak po kolei i rozdzielili nas od siebie, a także od naszych oficerów. W tej sytuacji jakiegokolwiek dalsze wspólne działanie było już niemożliwe. Każdy barak został otoczony potrójnym pierścieniem żołnierzy, a każdy pierścień był w sile co najmniej jednej kompanii. Pierwszy wewnętrzny pierścień tworzyły dryblasy z niebieskiej policji, Przebicie się w jakimkolwiek miejscu tych pierścieni nie było możliwe.

Wokół nagle rozległ się hałas: wielu kolegów łamało i miażdżyło sobie nogi odłamkami skalnymi albo ucinało palce u rąk czy u stóp. Wśród większości zapanowała swoista histeria. Mój stary towarzysz z 6. kompanii odciął sobie dwa paluchy u prawej stopy. Inni z kolegów przecinali sobie żyły, część przebijała się nożami. Był to straszny widok Szwedzcy sanitariusze bez słowa wynosili kolejnych rannych do namiotu medycznego albo przewozili ich od razu do szpitala w Udevalla. W ten sposób pożegnałem się z kilkoma towarzyszami z mojej 6. kompanii.

Wtedy do naszych kwater weszli olbrzymi policjanci w niebieskich mundurach. Po dwóch z tych policyjnych wielkoludów wyciągało każdego z nas pojedynczo na zewnątrz, trzeci z nich wynosił nasz bagaż. Kto nie wychodził dobrowolnie, dostawał po głowie gumową pałką i był ciągnięty siłą.

Na głównej drodze w obozie stały autobusy, z oknami zasłoniętymi płytami ze sklejki — najwyraźniej pomyślano o wszystkim, nie oszczędzając na wydatkach. Gdy któryś z autobusów był już pełny, odjeżdżał natychmiast, oczywiście przy zachowaniu wszelkich, ostrych środków bezpieczeństwa. Na stacji kolejowej w Udevalla czekał na nas pociąg specjalny. Stacja została hermetycznie odcięta od świata i otoczona zasiekami z drutu kolczastego. W każdym przedziale kolejowym umieszczano po czterech niemieckich żołnierzy i dwóch szwedzkich strażników. Na platformie zaś każdego wagonu stało jeszcze po trzech szwedzkich żołnierzy uzbrojonych w karabin maszynowy.

W pociągu zaopatrzone nas obficie w prowiant i napoje. Nie odmawialiśmy już ich przyjmowania, bo w tej sytuacji kontynuowanie protestu głodowego byłoby kompletnie bez sensu. Szwedzkie siostry Czerwonego Krzyża bardzo nam współczuły, ale co to mogło pomóc? Około południa wszystkich nadających się do transportu jeńców, włączając w to oficerów, załadowano do pociągu i tuż po godzinie 14.00 transport opuścił stację kolejową w Udevalla i wyruszył w kierunku Göteborga.

Główna stacja tego miasta przypominała obóz wojskowy. Najwyraźniej liczono się z gwałtownymi protestami ludności szwedzkiej, ponieważ w trakcie minionych miesięcy znaleźliśmy tu wielu przyjaciół. Strajkiem zagrozili także i szwedzcy kolejarze.

Przez Göteborg, a potem Hälsingborg i Malmö przejechaliśmy z najwyższą szybkością. Końcowym celem naszej podróży był Trelleborg. Wszystkie stacje kolejowe obsadziło wojsko i odcięło je od świata. W czasie naszego przejazdu nie mogły na nich przebywać osoby cywilne. Dla zabezpieczenia operacji transportu

„złych Niemców” zmobilizowano więcej żołnierzy, niż liczyła cała dywizja.

W Szwecji istniały wtedy trzy obozy dla internowanych: Backamo (1200 internowanych), Renneled (800) i jeszcze jeden obóz, w którym przebywało 600 niemieckich żołnierzy. W obozie w Renneled umieszczono wielu ochotników z 11. Ochotniczej Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Nordland”. Sytuacja w nim była podobno o wiele gorsza. Niektórzy z internowanych popełnili samobójstwo, wieszając się, inni strzelali sobie w głowę. W sumie w szwedzkich obozach internowania przebywało 2600 niemieckich żołnierzy, 210 z nich zostało przetransportowanych do Trelleborga, a 500 pozostało w szpitalach i lazaretach.

Około godziny 19.00 dotarliśmy do dworca głównego w Trelleborgu, który był ściśle otoczony kordonem wojska. Cały teren stacji i jej przedpole oświetlały baterie reflektorów. Tutaj po raz pierwszy do akcji wkroczyła szwedzka żandarmeria wojskowa, która wyprowadziła nas z pociągu. Mogliśmy zabrać ze sobą tylko bagaż podręczny; nasze walizki wyładowano osobno.

Na froncie wielkiej hali stacyjnej siedziała komisja składająca się z dwunastu szwedzkich oficerów. Każdy z nas musiał wymienić nazwisko i jednostkę, do której należał. Ta komisja decydowała o naszym dalszym losie. Można było opuścić halę dworcową z lewej strony albo trzeba było przejść na prawo. Wyjście lewą stroną oznaczało transport do Danii, do niewoli angielskiej; na prawo — ekstradycję do Związku Sowieckiego. Na lewo przeszło około 500 ludzi; byli to w pierwszym rzędzie marynarze, lotnicy, członkowie SS i policji. Po lewej stronie czekał na nich biały szwedzki parowiec, po prawej zaś cumował przy nabrzeżu olbrzymi, pomalowany na kolor oliwkowy transportowiec wojskowy o nazwie „Kubań”.

Z górnego pokładu opuszczono schodnię. Na co drugim jej stopniu, aż do wysokości burty, stało po dwóch szwedzkich żandarmów wojskowych. Kiedy wchodziliśmy na pokład „Kubania”, wyglądaliśmy jak banda zbrodniarzy.

Za to na samym pokładzie siedziały tylko cztery podwójne posterunki sowieckie z pistoletami maszynowymi niedbale zwisającymi z ramion. Wartownicy natychmiast kierowali każdego pod pokład, gdzie przeszukano nas po raz pierwszy: zabrano nam noże, zegarki i wszystkie przedmioty wartościowe. Minęła cała noc, zanim na pokładzie „Kubania” znalazło się tysiąc sześciuset niemieckich żołnierzy.

Następnego dnia rano Szwedzi załadowali dla nas na statek szwedzkie mundury wojskowe, płaszcze zimowe podbite futrem oraz prowiant na tydzień. Byliśmy z pewnością ostatnimi niemieckimi żołnierzami, którzy szli do niewoli sowieckiej. Wartownicy, w sumie z tuzin czerwonoarmistów, zachowali się wobec nas poprawnie. Marynarze z załogi statku powiedzieli nam, że „Kubań” zawinie do portu w Piławie^[18] i później przez dwa do trzech miesięcy będziemy pracować przy odgruzowywaniu i sprzątaniu Królewca. A potem zostaniemy zwolnieni do domu. Słuchając ich słów, można było odnieść wrażenie, że nasza sytuacja nie wyglądała zbyt czarno.

1 grudnia, około godziny 18.00, „Kubań” wypłynął z Trelleborga. Przez

pewien odcinek drogi eskortowały nas dwa szwedzkie niszczyciele. Cóż za nakład kosztów dla tysiąca sześciuset pozbawionych broni niemieckich żołnierzy!

Zgodnie z naszymi obliczeniami, do Piławy powinniśmy dotrzeć najpóźniej 3 grudnia przed południem. Ponieważ od czasu do czasu wolno nam było wyjść na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza, mogliśmy stwierdzić, że nie płyniemy na południowy wschód, lecz na północny wschód. Czyli znowu zostaliśmy okłamanymi.

Czwartego dnia podróży statek zwolnił i zaczęliśmy zbliżać się do wybrzeża, pytanie — jakiego? O godzinie 16.00 ponownie wyszedłem na pokład. Port, do którego właśnie zawijaliśmy, wydał mi się bardzo znajomy. Była to Lipawa^[19] łotewskie miasto. To z tego portu w styczniu zostaliśmy przetransportowani pod Gdańsk. Szybko zbiegłem pod pokład i przekazałem tę wiadomość kolegom, którzy początkowo nie chcieli mi uwierzyć.

Przez tę noc zostaliśmy jeszcze na statku, a następnego dnia zaprowadzono nas do przygotowanego już obozu na terenie portu. Rozpoczął się rozładunek „Kubania”. Z pokładu zniesiono szwedzki prowiant, nasze nowe szwedzkie mundury, walizki i rzeczy prywatne. Jednakże, z wyjątkiem kilku drobiazgów, żadnej z tych rzeczy nigdy już nie zobaczyliśmy.

Komendant obozu w Lipawie, doskonale mówiący po niemiecku rosyjski porucznik z Moskwy, dowiedziawszy się, jaki zamęt towarzyszył naszej ekstradycji ze Szwecji, pozwolił nam pierwszego dnia odpocząć. Poinformował nas o regulaminie, porządku dnia i obyczajach panujących w obozie. Codziennie rano i wieczorem odbywały się apele, podczas których byliśmy przeliczani. Codziennie też wywieszano jadłospis. Bardzo zwracano uwagę na to, aby każdy z nas dostał to, co mu się należało.

Minęło kilkanaście dni i nadeszły pierwsze święta w niewoli. W obozie w Lipawie nadal znajdowało się tysiąc sześciuset ludzi przewiezionych tu ze Szwecji. Krążyły pogłoski, że Sowietci nie bardzo wiedzą, co z nami zrobić i dlatego niebawem zostaniemy zwolnieni. Byłyby to całkiem dobre wieści, gdyby okazały się prawdziwe.

W drugiej połowie lutego, przez szczeliny w drewnianym ogrodzeniu otaczającym obóz mogliśmy zaobserwować, jak niemiecki krążownik „Nürnberg”, pod nadzorem i dowództwem angielskich oficerów marynarki, zostaje przekazany przez niemiecką załogę w ręce Sowietów. Niemieccy marynarze nosili jeszcze swoje dystynkcje i odznaczenia na mundurach. Bardzo nas zdziwił ten widok. Po 14 dniach nowa sowiecka załoga przejęła okręt w całości, nam w tym czasie nie udało się nawiązać żadnego kontaktu z niemieckimi marynarzami. Po przekazaniu okrętu angielscy oficerowie popłynęli z byłą niemiecką załogą krążownika na małym eskortowcu z powrotem do Niemiec. Bardzo im zazdrościliśmy, mimo że jeszcze nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka.

Sytuacja zaczęła się zmieniać z początkiem marca. Zostaliśmy rozdzieleni: codziennie stu ludzi przewożono do innego obozu jenieckiego na Łotwie. Listę nazwisk sporządzono według rosyjskiego alfabetu, w którym litery St, od których

zaczynało się moje nazwisko, znajdowały się pod koniec. Byłem więc jednym z ostatnich, którzy opuścili Lipawę. Z pięćdziesięcioma kolejnymi „Szwedami”, jak nas nazywali Sowieci, ponieważ nosiliśmy szwedzkie mundury, dostałem się do obozu pod Rygą.

Zostaliśmy zatrudnieni przy budowie fabryki fosfatów w Rydze. Przysięgając się na wszystkie świętości, obiecano nam, że po zakończeniu budowy fabryki zostaniemy zwolnieni do domu. Było to kolejne kłamstwo, potem bowiem przewieziono nas do obozu w Zagłębiu Donieckim, do nowego miejsca pracy. Stamtąd zwolniono mnie dopiero po upływie czterech pełnych lat. Do domu powróciłem tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1949 roku. Był to najpiękniejszy prezent świąteczny w moim życiu.

Na koniec muszę dodać, że wszystkich niemieckich żołnierzy, którzy z powodu chorób czy samouszkodzenia pozostali w Szwecji, po czterech miesiącach również przekazano w ręce Sowietów. Ci „spóźnialscy” opowiadali nam potem, że niektórzy szwedzcy oficerowie z naszej służby wartowniczej, na znak protestu wobec złamania danego słowa oddali patenty oficerskie i dobrowolnie wystąpili ze służby w armii szwedzkiej.

Mimo że upłynęło tak wiele czasu, chciałbym w tym miejscu im podziękować za ten znak solidarności, a także tym wszystkim, którzy nam w Szwecji dobrze życzyli”.

16 GWIAZDY ŚWIECĄ TAKŻE NAD GRIAZOWCEM

WSPOMNIENIA HERMANNA HOSSA O ŚWIĘTACH BOŻEGO NARODZENIA SPĘDZONYCH W SOWIECKIEJ NIEWOLI

Na dalekiej północy europejskiej części Rosji leży pośród olbrzymich lasów brzoźowych miejscowość Wołogda. W dawnej, głęboko wierzącej Rosji, nazywano ją „miastem stu cerkwi w krainie białych lasów”. Dzisiaj większość z tych świątyń już się rozpadła albo są używane jako magazyny lub stajnie. Na starych, zaśnieżonych dachach lśnią tylko jeszcze pozłacane krzyże, widoczne z oddali w tym północnym, leśnym krajobrazie.

Niezbyt daleko od tego dawnego świętego miasta leży wieś Griazowiec, co w swobodnym przekładzie na język [polski] może oznaczać „błotnista dziura”. Wedle tradycji, w czasie jednej z podróży caryca Katarzyna Wielka miała tu kiedyś zrobić przerwę i podczas wysiadania z karety wpadła aż po kostki w jesienne błoto. Rozgniewana rozkazała, aby od tej pory wieś ta po wsze czasy nosiła nazwę. „Błotnista Dziura”, po rosyjsku „Griazowiec”.

W dawnych czasach pobożni mnisi założyli tu klasztor położony w samotni pośród lasów i bagien. Ponieważ wodzie z przyklasztornego strumienia przypisywano uzdrawiające właściwości przy leczeniu różnych chorób, boży służebnicy prowadzili też leczniczą łaźnię, która cieszyła się w całej Rosji zasłużoną sławą. Poza tym produkowano tu „rosyjskie kadzidło”: zbierano i suszono liście rzadkiej białej topoli balsamicznej. Spalane przypominały trochę zapachem prawdziwe kadzidło sprowadzane ze Wschodu.

W roku 1945, z dawnego monasteru i budynków łaźni pozostały już tylko żałosne resztki. Pysznie zdobiona cerkiew została wysadzona w powietrze podczas rewolucji 1918 roku. Chłopi zebrali pozostałe cegły i użyli je do budowy pieców. A to, co zostało, Sowietci otoczyli podczas wojny drutem kolczastym, tworząc jeden z obozów dla jeńców wojennych.

Od czasu bitwy pod Stalingradem, niemieccy żołnierze jako jeńcy wojenni pędzili w nim nędzny żywot. Wielu z nich, zmarłych z wyczerpania, po cichu zakopano w ziemi obozowego cmentarza.

Jednak w roku 1945 wojna się skończyła. Pewnego majowego poranka sowieckie posterunki zaczęły wołać do nas przez płot: „Wojna kaputt, skoro damoj!” — „Wojna się skończyła, niebawem wrócicie do domu!”.

Ale mimo to do obozu ciągle docierali nowi jeńcy, a o powrocie do domu nic

nie było słyhać. Mówiono za to coraz więcej o pracy, wykonaniu norm i zadośćuczynieniu. Na takich mowach minęło krótkie lato i w okolicy pojawiły się pierwsze oznaki zimy. Zima oznaczała tutaj głód, biedę, a także śmierć dla ludzi, którzy nie zajmowali jakiejś szczególnej pozycji, a tym samym nie otrzymywali większych racji żywnościowych.

Ta powszechna rosyjska zasada dotyczyła przede wszystkim ludzi zajmujących najniższe szczeble w skali społecznej tego państwa, mianowicie nas, czyli jeńców wojennych. Zamiast letniej zupy z kaszą dostawaliśmy teraz codziennie cienki kapuśniak albo zupę z brukwi. Utłuczone na miazgę przemrożone kartofle smakowały słodkawo, jak nadgniłe. Zresztą i tak dostawaliśmy ich nie więcej niż dwie do trzech łyżek do zupy dziennie.

Kąsający mróz i lodowaty północny wiatr przenikały przez zniszczone płaszcze i dziurawe filcowe buty. Przytuleni do siebie siedzieliśmy w ciemnych, wilgotnych barakach, opuszczając je tylko za najpilniejszą potrzebą. Jak widać, również i zima ma swoje dobre strony, gdyż krótkie dni i szalejące często zamiecie śnieżne uniemożliwiały dłuższą pracę na wolnym powietrzu. Dlatego mieliśmy więcej czasu na sen i zastanawianie się nad sobą. Za to podczas nocy polarnych, kiedy niemal przez 24 godziny było jasno jak w dzień, pędzono nas bez przerwy do pracy.

Mrok baraków rozjaśniało tylko nikłe światło kilku prymitywnych samodzielnie zrobionych kaganków. Drzemaliśmy przy nich w oczekiwaniu na zbliżające się święta Bożego Narodzenia. W całym obozie podjęto przygotowania do wspólnego ich spędzenia. Po pracy w okolicznych lasach przytaszczono potajemnie, acz być może także za cichą zgodą nadzorców, kilka jodeł. Z niewielkiej ilości prowiantu kucharze — co było oczywiście zakazane — trochę zaoszczędzili, aby podczas świątecznych dni przygotować nieco lepszy posiłek. Chórki i grupy muzyczne ćwiczyły swoje programy, a jeden z rysowników przeniósł na papier program uroczystości.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że nasz rosyjski komendant obozu, pułkownik Sirma, miał jakieś miłe wspomnienia związane ze świętami Bożego Narodzenia, w innych bowiem obozach tego rodzaju świętowanie uważano za kpiny z komunizmu i prześladowano wszelkimi możliwymi szykanami.

Przygotowania do świątecznych obchodów napotkały jednakże na duże trudności w obozowym lazarecie, którego kierownictwo było bez wyjątku rosyjskie. Co prawda, niemieckiemu kierownictwu obozu udało się uzyskać zgodę rosyjskiego komendanta na zorganizowanie świąt w lazarecie, ale do sprawy wchodziły się całkiem inne siły, które niechętnie widziały tego rodzaju uroczystości. Jedną z nich była przede wszystkim rosyjska lekarka, wychowana i wyrosła w duchu komunizmu. Uważała ludzi jedynie za materię i obiekty mające wykonywać plany, zapominając przy tym zupełnie o czymś takim jak humanizm.

Zdarzały się już bowiem takie przypadki, gdy pani doktor wyrzucała z lazaretu niektórych ciężko chorych tylko dlatego, że biedacy nie mieli odpowiednio wysokiej, przepisowej gorączki. Gorączka, jako taka, stanowiła w

Związku Sowieckim miarę, wedle której oceniano, czy człowiek był zdrowy czy chory. Zawód lekarza dla tej damy był takim samym sztucznym dodatkiem, jak silna czerwien na jej zmysłowych ustach.

Kiedy więc nadeszła pora Wigilii, na naszej sali chorych niemal nie czuło się atmosfery świątecznej radości i świątecznego nastroju. Co prawda, drodzy koledzy wstawili nam na salę ustrojone drzewko z papierowymi gwiazdami pomalowanymi jodyną i z papierowymi łańcuchami zwisającymi z zielonych gałązek. Paliła się również świeczka na znak łączności z naszymi bliskimi w kraju. Byliśmy bardzo dumni z choinki i radośnie podnieceni, ale w jeszcze większym stopniu przepełniała nas obawa o to, co się stanie, gdy przyjdzie pani doktor. I pani doktor przyszła.

Nie zapytała nas, jak codziennie, o temperaturę, apetyt i stolec, lecz z nieprzeniknionym spojrzeniem natychmiast pomaszerowała prosto w stronę choinki. Oczy wszystkich chorych podążały jej śladem, przepełnione zaklinającą, niemal hipnotyczną prośbą. W pełnym ciszy pomieszczeniu zapanowało niemal namacalne napięcie między obiema stronami, chcącymi rzeczy przeciwstawnych. W oczach Rosjanki błysnęła pogarda; lekarka podniosła nogę, by przewrócić choinkę kopniakiem. Jednak nasze spojrzenia zmusiły ją od obejrzenia się i odebrały siłę. Jej twarz drgnęła, po czym lekarka, ironicznie krzywiąc uszmiukowane wargi, wyszła pospiesznie z sali. Z serc spadł nam wielki ciężar.

Tego dnia z lazaretu nie zwolniono żadnego z chorych, a nasza choinka dopiero teraz stała się Drzewkiem. Nagle serca wypełniły się świątecznym, bożonarodzeniowym nastrojem, który stał się jeszcze bardziej serdeczny, kiedy otrzymaliśmy pozwolenie, że tego wieczoru, w Wigilię 1945 roku, możemy napisać i wysłać pierwsze kartki Czerwonego Krzyża, aby przekazać w nich naszym bliskim wieść, iż jeszcze żyjemy. Wykonanymi samodzielnie piórami, atramentem z roztworu nadmanganianu potasu, gryzmoлилиśmy radośnie podnieceni, te niewiele słów, jakich wolno było użyć.

Wieczorem, już bez przeszkód, świętowaliśmy w lazarecie nasze Boże Narodzenie. Z obozu przyszedł do nas ksiądz z dwoma skrzypkami, przynosząc nowinę o narodzeniu Pana. W skromnie urządzonej sali chorych rozbrzmiały cienkie głosy skrzypiec, odpychając od nas smutną rzeczywistość. Nie zauważyliśmy więc niemal, że w sali znowu pojawił się biały, lekarski fartuch. Tym razem nie była to jednak nasza czerwonousta pani doktor, lecz żona dyrektora pobliskiej przędzalni lnu — z tego powodu nazywaliśmy ją „lnianą panią”. Ta kobieta o dobrym sercu pomogła już wielu chorym w ramach swych bardzo małych możliwości. Miała już swoje lata i pamiętała jeszcze starą, religijną Rosję.

Niemal więc przez nas niezauważona stała wśród łóżek, a jej oczy — najpierw zaciekawione, a potem rozpromienione — wpatrywały się w ubogo ozdobione drzewko i w usta księdza czytającego nam wigilijną ewangelię. Mimo że prawie nie rozumiała języka niemieckiego, można było dostrzec w jej oczach, że powracają do niej z coraz większą siłą wspomnienia dzieciństwa, obejmując

władzę nad jej uczuciami Kiedy potem, do muzyki skrzypiec, łamiącymi się głosami zaintonowaliśmy „Stille Nacht, heilige Nacht“, kobieta zakryła oczy dłońmi, a zza jej palców popłynęła struga łez.

Zachwiała się, szlochając, i starym, rosyjskim zwyczajem zaczęła całować w policzki obcych, wynędzniałych, znienawidzonych niemieckich jeńców wojennych, odzianych jedynie w koszule i spodni. Przyjęliśmy to z głębokim wzruszeniem. Gdzieś w głębi duszy czuliśmy, że przeżywamy w tym obcym kraju prawdziwy, bożonarodzeniowy cud.

Kiedy pieśń już ucichła, „Iniana pani” wymknęła się ukradkiem z sali chorych, nieco zażenowana, ale z promiennymi oczyma. Przez następne godziny nie czuliśmy zimna zakradającego się do środka przez szczeliny w ścianach, nie czuliśmy też naszej niedoli, niewypowiedzianej samotności i opuszczenia. Przez pokryte kwiatami z mrozu szyby okien wysyłaliśmy na zachód, w stronę ojczyzny, nasze spojrzenia i myśli.

Jeszcze nigdy gwiazdy nie świeciły tak jasno i promiennie nad Griazowcem, jak tej Wigilii roku 1945.

POSŁOWIE

- Piszząc tę książkę, autor — obok własnych przeżyć i zapisków — wykorzystał:
- cenne wskazówki i niestrudzoną współpracę emerytowanego generała broni pancernej Heinricha Eberbacha,
 - „Historię 4. Dywizji Pancerniej, cz. II”, napisaną przez emerytowanego generała broni pancerniej, Dietricha von Sauckena,
 - dokumenty i mapy sytuacyjne Oberkommando der Wehrmacht, które zostały mi łaskawie udostępnione przez Bundesarchiv/Militärarchiv, oraz pamiętniki i wspomnienia żołnierzy dawnej 4. Dywizji Pancerniej:
 - Roberta Poensgena, wówczas sprawozdawcy wojennego przy 4. Dywizji Pancerniej,
 - Hermanna Bixa, wówczas starszego sierżanta, dowódcy plutonu i dowódcy czołgu w 35. Pułku Pancernym,
 - dr. Klause Schillera, wówczas podporucznika i dowódcy kompanii w 35. Pułku Pancernym,
 - Otto Alexandra von Müllera, wówczas porucznika w sztabie dowództwa 4. Dywizji Pancerniej,
 - Jochena Hannemanna, wówczas starszego sierżanta w 6. kompanii 35. Pułku Pancernego,
 - Manfreda Nase, wówczas porucznika i dowódcy 1. kompanii 12. Pułku Grenadierów Pancernych,
 - Ericha Steinbacha, wówczas starszego kaprała w 6. kompanii 35. Pułku Pancernego,
 - Hermanna Hossa, wówczas porucznika i oficera łącznikowego 5. Brygady Pancerniej.

Fotografie pochodzą ze zbiorów:

dr. Wilfreda Grigata, Konrada Kűfnera, profesora Fritza Theilmanna, Bund der Danziger^[20], Maximilian-Verlag Herford — Koehlers Verlagsgesellschaft, der Kameradschaft ehem. Panzer-Regiment 35^[21] i Traditionsverband Panzergrenadier-Regiment 12.^[22] Pisarz Wolfgang Paul udostępnił dużą mapę sytuacyjną z 6 maja 1945.

Szkic sytuacyjny „Gdańsk — Hel od 1.3.45 do kapitulacji” pochodzi z książki „Der Kampf um Ostpreussen” („Bitwa o Prusy Wschodnie”) autorstwa Dieckerta/Grossmanna i został wykorzystany za uprzejmą zgodą Verlag Gräfe und Unzer/München, Motorbuch-Verlag/ Stuttgart.

Dziękuję też wszystkim, którzy przyczynili się do publikacji książki.

LITERATURA

- Fritz Brustal-Navel: *Unternehmen Rettung (Operacja Ratunek)*, Herford 1970.
- Kurt Dieckert, General Grossmann: *Der Kampf um Ostpreussen (Bitwa o Prusy Wschodnie)*, Monachium 1968.
- Ernst Fredmann: *Sie kamen über das Meer (Przyszli do nas przez morze)*, Kolonia 1971.
- Heine Guderian, Generaloberst: *Erinnerungen eines Soldaten, 10 Auflage*, Neckargemünd 1977; wyd. polskie: *Wspomnienia żołnierza*, wyd. 2, Warszawa 1991.
- Werner Haupt: *Kurland (Kurlandia)*, Bad Nauheim 1960.
- Egbert Kieser: *Danziger Bucht 1945*, Esslingen 1978; wyd. polskie: *Zatoka Gdańska 1945*, Gdańsk 2003.
- Lew Kopelew: *Aufbewahren für alle Zeit! (Zachować po wsze czasy')*, Hamburg 1976.
- Wolfgang Paul: *Der Endkampf um Deutschland 1945 (Ostateczna bitwa o Niemcy 1945)*, Esslingen 1976.
- Dietrich v. Saucken, General der Panzertruppen a.D.: *Geschichte der 4. Panzer-Division — Teil. II (Historia 4. Dywizji Pancerniej, cz. II)*, Monachium 1968.
- Oskar Schaub: *Panzergranadier-Regiment 12 (12. Pułk Grenadierów Pancernych)*, Bergisch Gladbach [b.d.].
- Hans Schäuflier: *So leben und so starben sie — Das Buch vom Panzer-Regiment 35 (Tak żyli i tak umierali — o 35. Pułku Pancernym)*, Bamberg 1968.
- Hans Schäuflier: *Der Weg war weit (Droga była daleka)*, Neckargemünd 1973.
- Hans Schäuflier: *Westpreussen-Jahrbuch 1976 — Die Tragödie an der Weichsel („Rocznik Prus Zachodnich” 1976 — Tragedia nad Wisłą)*, Münster 1976.

PRZYPISY

- [1] Heeresgruppe Nord — Grupa Armii Północ (przyp. tłum.).
- [2] Oberkommando der Wehrmacht — Naczelne Dowództwo Wehrmachtu (przyp. red.).
- [3] Wunderwaffe — cudowna broń (przyp. tłum.).
- [4] Heeresgruppe — pol. Grupa Armii (przyp. tłum.).
- [5] Stalinorgel — Organy Stalina; w Polsce używa się rosyjskiej nazwy Katiusza (przyp. tłum.).
- [6] Ostwall — Wał Wschodni (przyp. tłum.).
- [7] Himmelfahrtskommando — akcja samobójcza (przyp. tłum.).
- [8] „In der Nacht ist Mensch nicht gern alleine...“ — „Nocą człowiek nie lubi być samotny...“ (przyp. tłum.).
- [9] Przekład Jerzego Pomianowskiego, Warszawa 1990 s. 30.
- [10] „Wyspa opuszczona biegiem“ (przyp. tłum.).
- [11] „Wyspa zrodzona z marzeń“ (przyp. tłum.).
- [12] Schlossberg — dzisiaj Dobrowolsk w okręgu kaliningradzkim (przyp. tłum.).
- [13] Neustädter Bucht — część Zatoki Lubeckiej (przyp. tłum.).
- [14] Chyba jednak Mierzeja Helska, zwana też Półwyspem Helskim”! (przyp. tłum.).
- [15] Baltische Rotbannerflotte — w jęz. polskim: radziecka flota bałtycka (przyp. tłum.).
- [16] „Niemieccy mężczyźni, ich wierność nie ginie! Niemieckie kobiety, niemieckie świnię!” (przyp. tłum.).
- [17] pol. Sztutowo (przyp. tłum.).
- [18] Piława — obecnie Battijsk (przyp. tłum.).
- [19] Lipawa — łot. Liepāja (przyp. tłum.).
- [20] Bund der Danziger — Związek Gdańszczan (przyp. tłum.).
- [21] der Kameradschaft ehem. Panzer-Regiment 35 — Stowarzyszenie Koleżeńskie Byłych Żołnierzy 35. Pułku Pancernego (przyp. tłum.).
- [22] Traditionsverband Panzergrenadier-Regiment 12. — Stowarzyszenie Tradycji 12 Pułku Grenadierów Pancernych (przyp. tłum.).